Stron 20 NUMER SPECJALNY W 3-LECIE POWSTANIA PISMA Cena 2 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. Londyn, niedziela 28 maja 1950 Nr. 21-22 (152-3)

KARSKI

TRZYLECIE „ŻYCIA"

PRAGNĘ zacząć tych kilka uwag od niezbyt doprawdy wstrząsającego stwierdzenia, że okres 3 lat, mierzony samym tylko czasem, nie jest okresem zbyt długim. Ale czas, wypełniony trudem, nadzieją, klęskami, porywem, zniechęceniami, walką, odwrotami, radością i bólem, sprawianym przez bliskich — liczy się. Jak bardzo liczy się! To ta lewa, nieznana, nieoglądana strona tkaniny, kanwa. Znów banał. Każdy jednak, kto zna się trochę np. na dywanach, wie, że dla oceny ich wartości i autentyczności, właśnie kanwa, właśnie lewa strona, jest ważniejsza od prawej. Z prawej strony oceniają dywan tylko laicy.

O prawej stronie ŻYCIA mówić nam nie wypada, o wyniku mianowicie. To pole uwag i sądów tylko Czytelnika. Ale trzeba by powiedzieć coś o — lewej stronie.

Wpierw należałoby powiedzieć bardzo wiele pod takie adresy, że lepiej cofnąć się, jak cofnął się Klonowicz przed opisem lwiej skóry w „Worku Judaszów". Niech tu wystarczy cytat z B. Russell'a: „Ludzie boją się myśli bardziej niż ruiny, bardziej niż śmierci". I zawsze gotowi są znienawidzieć tych, którzy ośmielają się przyprawiać ich o myślenie. A ŻYCIE, jako pismo katolickie wzięło sobie za cel przyprawianie ludzi o myślenie. Nie zawsze się to udaje, bo znowu nie tak wielu mamy na emigracji pisarzy i publicystów, którzy by chcieli i umieli, jak powiada Maritain „myśleć świat" i siebie w tym świecie. Myśleć po katolicku, to znaczy uczciwie, wzrokiem wpatrzonym w rzeczywistość, a nie w fikcje i próchna świecące się w ciemnościach, w prawdę, a nie w bożki i bałwany, w duchu powszechności, a nie ciasnych zagródek. A to jest dopiero — i to cząstka — n a t u r a l n e j postawy katolika. Katolik — to bardzo niewygodny pasażer. Nie potrafię zapomnieć wspaniałego zdania z jednego z listów pasterskich X. Biskupa J. Gawliny o Kościele. „Nie jest on jak mgła poranna, przylegająca do każdego przedmiotu".

Jak jego Założyciel, mówi: „błogosławieni pokój czyniący", ale także: „nie mniemajcie, żem przyszedł pokój puszczać na ziemię. Nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz". Niesie pokój wewnętrzny duszom, które współdziałają z Łaską, ale burzy ten pokój, który ludzie nazywają „świętym spokojem", pokój, fundowany na przyleganiu do wszystkiego jak mgła: Rozrywa wszelkie zagojenia bez względu na ból, jeśli zabliźniły się na grzechu, kłamstwie, obłudzie, na spaczonych poglądach. Wymaga twardego opowiedzenia się za Bogiem, który j e s t Prawdą, w myśli i w czynie. Odrzuca więc wszelkie posługiwanie się Nim jako szyldem, choćby ten szyld miał być wywieszany w obronie najpiękniejszych ludzkich ukochań i wartości, jak Ojczyzna, miłość, wolność. Nie da się oszukać nie tylko Bóg ale i ludzie, którzy wiedzą więcej niż wypowiadają, a z nieodpowiedzialnego szastania imieniem Boskim, co ostatnio uchodzi za politycznie efektowny slogan, nie pociągający żadnej konsekwencji w życiu osobistym, wynoszą osłabiający zamęt w głowach. Podobnie jak Kościół, jak katolicyzm, jak katolik, tak i pismo katolickie nie jest jedynie balsamem czy oliwą na wszystkie rany, to znaczy na to wszystko, co ludzie uważają za rany.

Łatwiej, przede wszystkim wygodniej jest stosować oliwę. Polscy katolicy niechętnie pamiętają, że w rękach Jezusowych bywał i bicz, niechętnie słuchają o wszystkich ostrych słowach Chrystusa, o pełni jego pedagogii, która jest także pedagogią Kościoła. Kościół przygarnia, ale i rozdziela, błogosławi, ale i przeklina. Lecz mając serce Matki, wie najlepiej, czego w danej chwili bardziej potrzeba.

A więc chcieliśmy stosować w ŻYCIU i oliwę i bicz. A że tylko ludzie redagują pismo i tylko ludzie z nim współpracują, napewno proporcje były zachwiane. Reakcje były różne. — Kiedyś, jeszcze w Rzymie O. Bocheński napisał głośny artykuł, w którym m.i. stwierdził jak bardzo niektórzy Polacy, walcząc z hitleryzmem, nasiąkli jego złowrogim duchem. Można to strawestować do niektórych, którzy walcząc z sowietyzmem, za bardzo przejęli się sposobami sowieckimi: sloganem, zamiast prawdą, propagandą, zamiast wiarą, rygorem strychulca, zamiast trudem myślenia uczciwego. — Albowiem ludzie boją się myśli bardziej niż ruiny, bardziej niż śmierci...

Jeśli może, bez złej woli, znalazło się czasem coś w ŻYCIU zbyt dokuczliwego, to bardzo nam tego żal. Ale są krytycy, powiada Norwid, którzy chcą „tak dalece zgwałcić ciebie polemicznymi wyskoki, żebyś przebrał miarę oburzenia i dyskusję przemienił w potyczkę". Zawsze tak było i zawsze byli ludzie którzy gwałtownie wtedy protestowali.

Nie chcę już powoływać się na inwektywy bł. Jacopone da Todi, na niesamowite połajanki św. Wincentego Ferreriusza, na... Ewangelie, na św. Pawła; ale jeżeli święci. i to jacy święci, tak się bronią (!) i tak atakują, to z tego wynika sporo rzeczy. A więc wpierw, że katolik, to niekoniecznie taki słodki stwór („nie bądź za słodki, bo cię zliżą", zacytowałem w pierwszym numerze ŻYCIA polskie przysłowie; u św. Franciszka Salezego, owego wzoru słodyczy, mamy podobną radę: „Doprawdy, powiadam ci — kto chce mieć wziętość u wszystkich, u wszystkich ją straci). Niekoniecznie tak słodki, jak się to wydaje tym, którzy przykazanie tak męskie, tak twarde miłości bliźniego pojmują, zwłaszcza w interesownej potrzebie, jako sentymentalizm. Lecz wynika też z tego fakt, że krewkość jest uniwersalna, a więc obowiązuje nakaz wzajemnej wyrozumiałości i cierpliwości. „Nalegaj w czas (powiada św. Paweł), nie w czas; karz, proś, łaj z wszelką cierpliwością i nauką".

Możemy się mylić, ale tak bardzo chodzi nam o prawdę! Niedarmo przecież wydawcą ŻYCIA, jest Veritas, co się przecież wykłada — Prawda. Oni to, „ludzie z Veritasu", ponieśli tyle trudu, wysiłku, złożyli tyle wyrzeczeń, by pismo utrzymać, a było tak, że już, już ŻYCIE należało zamknąć, bo nie tylko, że nie było grosza na najbliższy numer, ale uciążliwe długi. — Jak mało te słowa znaczą, jak nic nie mówią. Trzeba jednak było przeżyć razem jakże żywe, jak dławiące, jak szarpiące wysiłki, aby potrafić ocenić to, że nie tylko ŻYCIE zostało utrzymane, ale powstała wielka jak na emigrację instytucja: Katolicki Ośrodek Wydawniczy, księgarnia, kolportaż, drukarnia. Powstało drugie pismo, o szerokim wzięciu, popularne pismo katolickie, które oprócz treści religijnej, oprócz informacji ze świata, oprócz wiadomości z terenów naszego obecnego zamieszkania, przynosi materiał artystyczny i literacki. — „Gazeta Niedzielna" nie jest chyba ostatnią w rzędzie zasług Katolickiego Ośrodka Wydawniczego. To nie za wiele chyba stwierdzić, że jest ona ogólno emigracyjnym dorobkiem.

Ale, mowa przecież o ŻYCIU. Jak by nie było, to wokół ŻYCIA powsta-

---

Przed trzema laty, dnia 18 maja 1947 r. ukazał się pierwszy numer katolickiego tygodnika religijno-kulturalnego ŻYCIE. W dniu 7 maja 1950 r. ukazał się 150 numer ŻYCIA. W związku z tymi rocznicami naszego pisma, które obie wypadają w maju, wydajemy bieżący numer w zwiększonej objętości i dodajemy do niego SPIS TREŚCI ŻYCIA za lata 1947, 1948 i 1949. Spis treści za rok bieżący ukaże się przy końcu roku.

Między wymienionymi datami, zawarł się okres trzech lat pracy i wysiłku, pomyłek i osiągnięć, w czasie którego ŻYCIE rosło z niewielkiego pisma w duży tygodnik, który nabierał coraz większego znaczenia w środowisku polskim. Rósł równocześnie nakład, który dziś — wśród poważniejszych tygodników na emigracji — należy do największych. Skromnemu jubileuszowi 150 numerów ŻYCIA poświęcimy uwagę w kilku kolejnych artykułach i wzmiankach. Drukowany dziś artykuł Jana Tokarskiego jest początkiem tego bilansu.

Obok ŻYCIA i przy jego pomocy tworzyły się instytucja wydawnicza, księgarnia i drukarnia, które z biegiem czasu wykrystalizowały się w dość znaczny KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", dostugujący się miejsca i głosu wśród polskiego społeczeństwa na emigracji.

Przy końcu roku ubiegłego KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS" ogłosił utworzenie NAGRÓD LITERACKICH. Inicjatywa ta, przy poparciu polskich władz kościelnych, podjęta została z chęci ożywienia twórczości pisarskiej i przyjścia z pomocą pisarzowi polskiemu, który boryka z ciężkimi trudnościami materialnymi. Nagrody te zostały w tym roku rozdane poraz pierwszy, w dniu Święta Narodowego 3-go maja, a na ich sumy złożyły się również drobne ofiary czytelników ŻYCIA i GAZETY NIEDZIELNEJ. Oczywiście udzielone nagrody są niewielką pomocą w stosunku do istniejących potrzeb. Wierzymy jednak, że Katolickie NAGRODY LITERACKIE będą tylko początkiem i zachętą do innych inicjatyw tego rodzaju.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

LAUREACI NAGRÓD LITERACKICH

Stoją od lewej: Bronisław Przyłuski, Tadeusz Nowakowski, Wojciech Wasiutyński, Beata Obertyńska, Edmund Różycki i Bolesław Kobrzyński

Fot. W. Szurowski

ło to wszystko. To zabawne, ale — obawiam się — prawdziwe: Nawet jego klęski mają w tym swój udział. Twórcy Ośrodka może nie wytężaliby tak bardzo swych energii — jakże bezinteresownie — gdyby z ŻYCIEM nie było nieraz źle. Wychodzili z założenia, że takie pismo jest potrzebne i zamiast założyć ręce i powiedzieć: Wali się? No, to niech się wali; cóż to nas obchodzi: Miłe nam ŻYCIE, ale milsze — własne, które od tego czasu nie zaznaje spokoju. Oni jednak postawili sprawę inaczej: Jeśli się wali, trzeba je skutecznie podeprzeć. Nie może na emigracji (choć powinno) utrzymać się pismo dla chcących myśleć katolików, stwórzmy jeszcze jedną instytucję, która zatrudni garść rodaków, zwiąże koniec z końcem i będzie pismo subwencjonowała. Tak też zrobili.

Więc o tych trudnościach z kolei.

W pierwszym numerze ŻYCIA, który ukazał się z datą 18 — 24 maja 1947 r. napisałem z upoważnienia wydawców: „—Pismo nasze nie jest obliczone ani na prywatny zysk, ani na zysk jakiejkolwiek instytucji. Od samego początku walczymy z trudnościami bez miary. I mając kiedyś nadzieję uporać się z nimi, wiemy jednak, że to nie prędko nastąpi".

Niech mi wolno będzie przyznać się publicznie do tego, co myślałem, pisząc tę przechwałkę o „uporaniu się" z trudnościami: Jeśli ŻYCIE ma być pismem k a t o l i c k i m, przytem religijnym, n i g d y nie będzie wolne od trudności. Musiałoby chyba nie spełniać swej roli w najmniejszym stopniu, gdyby mu kiedyś zabrakło znaku, obiecanego robotom katolickim: per tribulationes multas...

Tu nie chodzi o akcję t. zw. wrogów zewnętrznych, o napaści, plotki, szyderstwa, złą wolę, ignorancję etc. To przecież zwyczajna rola „wrogów", którą spełniają lepiej czy gorzej. W tym nie ma nic niezwykłego, nic animującego, choć czasem nie brak pewnej uciechy, gdy z siły ataku, ze skłębienia intryg, odczytać łatwo, jak bardzo zależałoby tym i owym, aby ŻYCIA nie było, aby ta prawda, której ono służy, była zakryta. Rzecz staje się interesująca dopiero z chwilą, kiedy s w o i przystępują do „roboty", a więc ci, na których pomoc, a nie — mówiąc eufemistycznie — niechęć, według ludzkich rachub liczyć by należało. Rzecz staje się interesująca, b o tu już chodzi o d o b r ą, nie o złą wolę.

Zdarzają się zarzuty, twierdzące, że poziom ŻYCIA jest za wysoki jak na potrzeby terenu.

„Zbyt wysoki poziom dla terenu"... (Teren, słowo — mit, znane mi jeszcze z Polski z ust społeczników i polityków, którzy nim pokrywali brak własnego rozeznania rzeczy, nie potrafiąc współtworzyć i współprzemieniać rzeczywistości, lecz dając się wlec okolicznościom). Jeden z czytelników naszych, prosty człowiek z „terenu" pisał w liście do redakcji o tych sprawach: „Skończyłem tylko szkołę powszechną. Nie wszystko, co w Ż Y C I U czytam, potrafię zrozumieć, proszę wtedy innych o wyjaśnienie. Ale na pytanie, czy obniżyć poziom ŻYCIA, odpowiadam — nie! To było by za bardzo na modłę sowiecką: Ustawić ludzi w szereg i równać do najmniejszego, obcinając wyższym głowy i ramiona".

Zarzut o „zbyt wysokim poziomie", aczkolwiek dziwaczny i świadczący o bardzo niedokładnym widzeniu tego, czego czas i Kościół wymagają od katolików, nie jest, n i e s t e t y nie jest, zarzutem prawdziwym. ŻYCIU jeszcze daleko do tego, aby było takim pismem, jakim być powinno. Dziś, w roku 1950! Ale to nie ze wszystkim nasza wina. Już poprzednio ośmieliłem się dać do zrozumienia, że redagować pismo katolickie na emigracji, pismo z pewnymi ambicjami, to, czasami tak się wydaje, robota Danaid.. I to nie ze względu na Czytelników, choć nie ma wśród nas zbyt wielu, chcących myśleć trochę trudniej (Polacy nazywają to nieraz „dzieleniem włosa na czworo"). Ale gorzej bywa ze znalezieniem ludzi, którzy pisząc potrafiliby pobudzić do myślenia. Przede wszystkim — siebie...

Wiele rzeczy jeszcze należałoby napisać. Bardzo ważnych. Właściwie najważniejszych. Może zrobimy to kiedyś. Na zakończenie jednak musimy napisać parę zdań — Czytelnikom.

Możemy Wam tylko po prostu, podziękować. Ilekroć w jakich kłopotach zwracaliśmy się do Was, zawsze spotykaliśmy się z jakże serdecznym echem. Wasze listy, przywiązanie do pisma, a teraz już do całej naszej instytucji, ratowały od czarnych myśli. Były pobudką do cierpliwej pracy tych, którzy instytucję tworzyli i są nadal bodźcem w wysiłku jej utrzymania. Ten kapitał serca, jakim dysponujemy tak hojnie, jest naszym potężnym motorem.

* * *

Oto garść trochę nieuporządkowanych uwag, które, jak sądzę, może i należało powiedzieć z okazji ponad przeszło 150 numerów emigracyjnego pisma. I jedno jeszcze:

Od samego początku chodziło nam o to, aby ŻYCIE nie było pismem... emigracyjnym. W kraju tak katolicy jak i komuniści narzekają na „Wewnętrzną emigrację", na ludzi, niewłączonych w konkretne warunki życia. Ludzi, którzy albo żyją coraz bardziej rozkładającym się kwasem wspomnień sprzed 1939 roku, albo marzeniami o tym, co to dopiero będzie, gdy cud made in USA zmiecie mącące sen zmory i nastaną „znowu" dobre czasy. Ten typ ludzi żyjących tylko wczoraj lub jutro, ale niezdolnych do trudnego dziś, emigrujących w przeszłość lub w przyszłość, jest szczególnie liczny na uchodźtwie. I my mamy swoją emigrację wewnętrzną, emigrację w emigracji, czy od emigracji.

ŻYCIE od samego początku zwraca się do ludzi żywych, żyjących hic et nunc, nie skamieniałych, jak żona Lota, odwracająca głowę wstecz, lub wpadających w wodę, jak Ikar, gdy bezkrytycznie wybiegają w czas, którego się nie da przeskoczyć. Chcielibyśmy iść w dalsze lata — z żywymi.

Jan Tokarski

OGŁOSZENIE I WRĘCZENIE NAGRÓD LITERACKICH

W tym roku do uroczystości trzeciomajowych w Londynie przybyła jeszcze jedna: ogłoszenie i rozdanie Nagród Literackich utworzonych przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas w porozumieniu z Polską Misją Katolicką na Anglię i Walię przy ofiarnym poparciu czytelników naszych tygodników „Życie" i „Gazeta Niedzielna".

Dzień Królowej Korony Polskiej i Święta Narodowego dla znacznej większości Polaków w W. Brytanii jest dniem pracy, ale pomimo tego na nabożeństwo w Kościele Polskim w Londynie, na uroczystość wręczenia nagród i na wieczorną akademię przybyła dość licznie polska publiczność.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się o godzinie 3-ej popołudniu w pięknie i poważnie przybranej sali Polskiej Misji Katolickiej przy Devonia Road. Przybyli na nią przedstawiciele polskich władz duchownych w osobach Ks. Infułata Michalskiego i Ks. Prałata Staniszewskiego, Ks. Kanonik Gogoliński-Elston i Księża Proboszczowie Cynar, Judycki i Wróbel. Przybyli reprezentanci świata nauki i sztuki, instytucji i organizacji kulturalno - oświatowych, oraz instytucji katolickich. Reprezentowane też były wszystkie większe pisma polskie w W. Brytanii i na kontynencie.

Przy stole prezydialnym zasiedli członkowie Jury Nagród Literackich: prezes A. Bogusławski, prof. Wł. Folkierski, ks. kap. T. Kirschke, red. J. Kisielewski i prof. St. Stroński. P. M. Małachowska musiała w tym dniu wyjechać z wykładem do Szkocji.

Zebranie otworzył Ks. Prałat Staniszewski hymnem do Ducha św. Jako gospodarz powitał przybyłych gości i wygłosił przemówienie, które poniżej podajemy.

Przemówienie ks. prałata W. Staniszewskiego

Wśród wielu innych spraw i dziedzin, Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" szczególną uwagę zwraca na twórczość kulturalną. Nie z jakiejś nadprogramowej gorliwości, ale z właściwie pojętego obowiązku. Uchwała 75-a Pierwszego Polskiego Synodu Plenarnego, jaki się odbył na Jasnej Górze w r. 1936, mówi wyraźnie: „Katolicy niech się starają zajmować przednie miejsca w życiu kulturalnym, przenikając je duchem wiary". Orędzie zaś Episkopatu Polskiego, wydane w sprawie uchwał tegoż Synodu, tak dalej objaśnia: „Pragniemy jednym słowem uwypuklić postanowienia synodalne, dotyczące pracy i kultury katolickiej. Pierwiastki pogańskiego laicyzmu i pokrewnych kierunków myślowych zaciążyły także na polskim życiu kulturalnym. Synod Plenarny wzywa Was do czytania katolickiej książki, katolickiej prasy, katolickiego pisma literackiego. Dziedzinę kultury zdobyć musimy wytrwałym wysiłkiem. Talenty, pisarze, poeci, artyści, krytycy, redaktorzy katoliccy niech przywracają chrześcijańskiego ducha twórczości kulturalnej, a społeczeństwo niech ich popiera, odwracając się od tego, co mimo innych zalet, jest demoralizacją duszy polskiej, szerząc niezgodny z chrześcijaństwem pogląd na świat, na człowieka, jego obowiązki i prawa".

Takie jest wyraźne stanowisko Kościoła. Tłumaczy ono dostatecznie jasno, dlaczego polskie sfery katolickie na uchodźstwie, pragnące kontynuować pielęgnowanie twórczości kulturalnej i literackiej, powzięły myśl ufundowania nagród literackich. Nie jest to sięganie po jakieś monopolistyczne prerogatywy. Katolicy polscy na emigracji, fundując nagrody literackie i pragnąc przyczynić się do ożywienia życia kulturalnego, czynią to w świadomości, że nie można przybierać dziś postawy wyczekującej: laissez faire, laissez passer — gdy czas ucieka, gdy problemy narastają, gdy czasy huczą od przełomów, — że nie można się oglądać na innych, że obowiązkiem jest nie tylko stać na straży polskiej i katolickiej kultury narodowej, — że jest też obowiązkiem tej kultury t w o r z e n i e. „Ci, co po nas przyjdą, widzieć nas będą" — mówi Szaman w Anhellim.

Co więcej, katolicy mają świadomość, że pracy kulturalnej tym bardziej powinni się podjąć, iż dostępny jest im skarbiec Bożej Mądrości i Bożej Wiedzy; że posiadają w Kościele prawdę, prawdę objektywną, objawioną przez Boga Samego, który mylić się nie może. „Magna est Veritas et non praevalebunt".

Kościół posiada prawdę: o człowieku, o życiu, o życiu przyrodzonym i nadprzyrodzonym, o świecie widzialnym i niewidzialnym. Posiada prawdę...

...„świętej wiary,
że miłość rządzi plemieniem człowieczym
a trofeami świata są ofiary".

Katolicy wierzą ,że człowiek w Kościele Chrystusowym znajduje swój stały i jedyny adres, jak również pełnię swego człowieczeństwa i synostwa Bożego, „stawszy się mężem doskonałym na miarę pełnego wzrostu dojrzałości Chrystusowej" (Ef. 4,13).

Katolicy wierzą, że czym jest dusza dla ciała, tym dla duszy jest Duch Święty.

Co więcej, uświadomieni katolicy wiedzą, że jak Bóg „tchnął w oblicze człowieka ducha żywota i stał się człowiek istotą żyjącą" (Gen. 2. 7.) „stworzywszy go na obraz i podobieństwo swoje". (Gen. 1. 26.) tak też dał mu misję do spełnienia. „Idźcie i nauczajcie" — powiedział Zbawca świata do swych wyznawców. Przyniósł ogień z nieba i niczego nie pragnie, „jeno aby zapłonął" (Łuk. 12.49.).

Szedł tedy Kościół i idzie przed narodami „na okazanie drogi: we dnie w słupie obłoku, w nocy w słupie ognistym" (Exod. 13.21), wyzwalając człowieka i wynosząc go na wyżyny kultury, staczając o niego walkę i zwyciężając tego, o którym księgi święte mówią, że jest: „mężobójcą od początku" (I. Jo. 3.8) i że „zwodzi cały świat", a nazywają go szatanem albo zgoła „księciem tego świata" (Jan. 12.31).

Kościół zna względność i ograniczoność bytowania ziemskiego, nie każe nam tu rozwijać namiotów na wieki, jakoże „postać tego świata przemija" (1. Kor. 7. 131), a jednak jest w wielkim stylu opiekunem i przyjacielem szlachetnej, ludzkiej kultury. Nie czyni tego ze względów oportunistycznych, ale dlatego, że rzeczywistości stworzonej, przyrodzonej, przyznaje pozytywne znaczenie fundamentu i pomocy dla nadprzyrodzoego życia — gratia supponit naturam. Nadnatura z istoty swojej odnosi się do natury. Buduje na niej.

Stąd też Kościół afirmuje świat, ale pod warunkiem, że nie zagraża on lecz pomaga wyższemu życiu duszy. Chrześcijańskie połączenie twórczości w świecie i wyrzekania się świata nie tylko nie udaremnia żadnych potężnych czynów kulturalnych, ale użyźnia je i wzbogaca duchem chrześcijańskim.

Pismo święte i tradycja nazywają Kościół, Oblubienicą Chrystusową, pięknym — „tota pulchra est" — wszystka jesteś piękna (Pieśń nad pieśniami IV.7). A jak czytamy u św. Tomasza z Akwinu, — z Bożego Piękna pochodzi wszelka rzeczywistość, ex divina Pulchritudine esse omnium derivatur, i że tylko z Piękna rodzić się może Piękno.

Istnieją liczne teorie estetyki i definicje piękna. Według św. Tomasza przedmiot jest piękny.

1) jeżeli harmonizuje ze sobą wielość elementów składowych (consonantia),

2) jeżeli jego forma istotna wypromienia się na zewnątrz w sposób intuicyjnie dostrzegalny (splendor formae),

3) jeżeli wreszcie ta sama struktura obejmuje w nim całość składników (integritas) (I. S. th. XXXIV, a 8).

Tak pojęte i urzeczywistnione piękno, w jakiejkolwiek by się uzwierciadliło sztuce, staje się wtedy ars sacra, sztuką chrześcijańską, która nie jest niczym innym, jak modlitwą Kościoła, Mistycznego Ciała Chrystusowego. Prawdziwe piękno, prawdziwa sztuka w pierwszym rzędzie chwali Boga ,a nie człowieka.

Cytowane przed chwilą tezy o pięknie odnoszą się również i do piękna twórczości literackiej, do sztuki słowa pisanego.

Synod Plenarny w krótkich słowach podkreśla ważność literatury i prasy, kiedy uwypukla jej „doniosłe znaczenie w kształtowaniu życia". Wszyscy Papieże ostatnich czasów zgodnie oceniali doniosłość pisarstwa w urabianiu opinii, a co za tym idzie i całokształtu życia.

„Nie jest to żadna przesada — mówił Ojciec św. Pius XI, — gdy powiemy, że prasa rządzi światem, ponieważ świat kieruje się myślą, a prasa jest kronikarzem i roznosicielem tej myśli".

„Potęga i wpływ prasy katolickiej są tak wielkie, że nawet najmniej napozór znacząca akcja na korzyść tej prasy, ma bardzo doniosłe znaczenie, gdyż może ona przynieść wielkie rezultaty".

„Prasa w naszych czasach jest jedną z największych potęg, gdyż w życiu tego świata może ona być siłą zarówno najniegodziwszą i odwrotnie: najbardziej błogosławioną. Dotyczy to również życia samego Kościoła".

„A zatem — konkluduje Pius XI z naciskiem — nigdy nie można dość zdziałać dla prasy katolickiej".

Słowa te odnieść można, oczywiście i do literatury pięknej. Obecny zaś Papież, Pius XII, dodaje od siebie:

„Ktokolwiek chce służyć opinii publicznej, musi powstrzymać się absolutnie od wszelkiego kłamstwa i wszelkiego prowokowania nienawiści...". „...Jeżeli redaktor, pisarz, czy mówca wykonuje swój zawód świadomie i odpowiedzialnie, wtedy zawsze stoi mu przed oczyma obowiązek, jaki ma wobec milionów ludzi, którzy mają się przejąć jego słowami, obowiązek dawania im niczego innego — jak tylko prawdy..."

Z radością witamy „Nagrody Literackie", zorganizowane przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas". Skromne są wprawdzie ramy dzisiejszej uroczystości — tak jak skromna nasza uchodźcza rzeczywistość — daje nam ona jednak obraz pięknej inicjatywy, szlachetnego porywu i jak najlepszej woli. A o tę jak najlepszą wolę dziś nam wszystkim chodzić powinno. O wolę dźwigania siebie i Polaków na uchodźstwie wzwyż. Kształcić, oświecać, uszlachetniać, krzepić i jednoczyć.

I starać się wciągać w krąg działania katolickiego wszystkich ludzi dobrej woli, choćby dotąd szli w pojedynkę, lub niedość znali Prawdę.

Po przemówieniu Ks. Prałat poprosił P. Ambasadora E. Raczyńskiego o przewodniczenie na zebraniu. Obejmując przewodnictwo P. Amb. Raczyński zwrócił się do obecnych:

Przemówienie amb. E. Raczyńskiego

Wielebny Księże Infułacie. Wielebni Księża Prałaci, Panie i Panowie. Czuję się bardzo niegodny przewodniczenia dzisiejszemu zebraniu. Jestem bowiem w obliczu ludzi piszących, tworzących piękno, uprawiających sztukę. Mam tylko tyle do powiedzenia w swojej obronie, że czuję się dobrze w atmosferze, którą panowie wokół siebie umiecie wypromieniować; czuję się jakby przeniesiony w inny, lepszy świat w warunkach wychodźczego życia.

Nie ulega wątpliwości, że każdy kraj i naród jest tyle wart, ile dóbr kulturalnych potrafi wyprodukować. Jest to szczególnie prawdziwe w odniesieniu do naszego narodu, gdyż w jego 1000-letniej historii mierzymy lepsze i gorsze okresy, zależnie nie tylko od wielkości zwycięstw na polu bitwy i rozszerzenia naszego terytorium, ale i od naszych osiągnięć kulturalnych. Ilekroć nasza kultura zanikała, tylekroć schodziliśmy w dół. W skarbnicy tej są zawarte wola przeżycia i wytrwania naszego narodu, jego pragnienia i dążenie ku wolności. Dlatego stosunek Polski do kultury i do ludzi tworzących jest szczególnie gorący.

Jesteśmy znów w położeniu smutnym i tragicznym. Wprawdzie nominalnie istnieje państwo polskie, są polscy pisarze, akademie i uniwersytety, — ale wolny umysł polski, wolność wykładania własnych myśli i przekonań zamarły na terenie Polski. W obecnej chwili to wszystko żyje tylko na emigracji. A na emigracji najpoważniejszym ośrodkiem, poza kilkoma ośrodkami na terenie Europy i Nowego Świata — jest Polski Ośrodek w Anglii. Wydaje mi się, że na tym terenie znalazło się grono ludzi wybitnych, którzy potrzebują zachęty. Życie jest bardzo ciężkie, codzienna walka o chleb, konieczność mycia talerzy lub innych zajęć nie sprzyja pracy umysłowej. Dlatego myśl zdobycia pewnych funduszów na to, aby to grono zdolnych ludzi, od których spodziewamy się uchronienia emigracji od zamarcia duchowego, obdarzyć nagrodami, jest myślą pierwszorzędną. Środki nasze są niewielkie. Kościół katolicki i ruch katolicki pierwszy daje ten znakomity przykład. O ile mi wiadomo, zebrane fundusze pochodzą od Misji Katolickiej, od Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas i od czytelników „Życia" i „Gazety Niedzielnej". To, co się dało zebrać, jest bardzo skromne, ale o ile mi wiadomo, nagrody objęły swoim zasięgiem różne działy twórczości pisarskiej. Wiem, że organizatorzy są dość ambitni w objęciu szerokiego zasięgu twórczości — Nie będę już długo wystawiał na próbę cierpliwości Państwa, chciałem tylko powiedzieć je-

Przewodniczący P. Amb. E. Raczyński przemawia
Fot. W. Szurowski

szcze, że uroczystość ta była potraktowana jako uroczystość w gronie osób zainteresowanych, przedstawicieli instytucyj kulturalnych i oświatowych i tym się tłumaczy dobór naszych gości na tym zebraniu, które w pewnej mierze ma charakter zamknięty.

Następnie Przewodniczący udzielił głosu Przewodniczącemu Jury Nagród Literackich, prof. St. Strońskiemu.

Przemówienie prof. S. Strońskiego

Przewielebni Księża, Szanowni Państwo i Drodzy Koledzy.

Imieniem jury, które tutaj zasiadło, prosiłem, aby nam dano nie ławę, lecz krzesła, ponieważ losem jury bywa, że wkrótce po udzieleniu nagrod sędziowie przechodzą na ławę oskarżonych.

Nagrody Literackie Ośrodka Veritas i Misji Katolickiej mają tę właściwość, że są pierwsze na obczyźnie, a to dużo znaczy, bo zawsze pierwszy krok jest najtrudniejszy. Nagrody te nie idą wysoko, bo wynoszą razem, jak miało być pierwotnie, 200 funtów, a jak później jakoś się zrobiło 225 funtów. Mógłbym powiedzieć, że suma 225 funtów przeznaczona na ten cel w jednym roku, stanowi znacznie więcej, niż w poprzednich 10-ciu latach nic. Byłoby to jednak uproszczenie niesprawiedliwe, dlatego, że i w dawniejszych latach na obczyźnie coś się robiło i dużo się robiło dla naszej twórczości, a ja, jako członek rządu gen. Sikorskiego oraz prof. Folkierski, jako członek rządu Arciszewskiego i Bora - Komorowskiego, wiemy, że twórczość ta była popierana. W ostatnich latach jednak wszystko ustało i dlatego było tak ważną rzeczą, aby to podjąć w jakiś sposób. To się stało.

Nadesłano ogółem 42 utwory, a nadesłało je 38 pisarzy, w tym jest 29 z W. Brytanii, a więc ogromna większość. Jest 27 zbiorków poezji, 8 powieści, 1 nowela, 3 dramaty, 2 zbiory pieśni historycznych, jeden opis kraju. To nie wszystko, gdyż bardzo wielu pisarzy, zwłaszcza do pierwszej nagrody za ogólną działalność, nie nadesłało swoich prac. Tak się złożyło, że nagrody tegoroczne przypadły pisarzom, którzy mieszkają w W. Brytanii, w znacznej mierze dlatego, że na 100 pisarzy 90 mieszka na Wyspie.

Warunki współzawodnictwa ustalone były w ten sposób:

„W rozumieniu wielkich obowiązków, jakie ciążą na pisarzach polskich, którzy znaleźli się w wyniku niewoli kraju na obczyźnie jako ideowa i polityczna jego emigracja, ... wierząc, że pomoc ta przyczyni się do ożywienia wolnej twórczości polskiej w duchu katolickim...“

Nagrody udzielono więc tylko pisarzom, przebywającym i piszącym na obczyźnie, gdyż udzielenie nagrody pisarzowi przebywającemu w kraju, lub pisarzowi który stąd pisze do kraju, byłoby dla niego wilczym biletem, nie tylko zewsząd go wypędzającym, ale nawet mogącym go wtrącić wiadomo gdzie. Nawet nie mogę wspomnieć o tym, jacy ludzie mogli być brani w rachubę, bo to mogłoby im zaszkodzić. Dla przykładu przypomnę Państwu prześliczny zbiorek poezji Teresy Bogusławskiej, który zadziwił wszystkich nie tylko szlachetnością, ale i przedwczesną dojrzałością natchnienia tego jeszcze nie piętnastoletniego dziewczęcia, a który mógłby być brany w rachubę, jako wydany na obczyźnie w roku 1946, ale jeśli wogóle mogę o tym wspomnieć, to tylko dlatego, że ona już nie żyje.

Następnym warunkiem była twórczość pisarska w duchu katolickim. Właściwie pisarz polski z zasady, z całego swego urobienia, świadomie, mniej świadomie, czy też wogóle nieświadomie, jest katolicki. Wyjątki są rzadkie i często tylko przejściowe. W rachubę wchodziło nie to, aby to był pisarz katolicki, to znaczy pisarz, który pisze dla szerzenia katolicyzmu, lecz, powiedziałbym, pisarz katolik... X. Rektor Staniszewski powiedział: —„Nie mam dla was żadnych wskazówek i z góry oświadczam, że nie będę miał przeciwko temu, co osądzicie, żadnych zastrzeżeń“. — Więc, jeśliby ktoś sądził, że my jako jury w wymaganiach sztiśmy pod tym względem za daleko, to chyba dlatego, że byliśmy plus catholiques que le recteur.

Pierwsza nagroda 50 funtów jest nagrodą za wybitną twórczość pisarską, przewidzianą dla wybitnego pisarza za granicami kraju za działalność literacką przedwojenną, w czasie wojny i powojenną.

Poza granicami kraju przebywa obecnie wielu wybitnych pisarzy polskich. Są poeci: Lechoń, Wierzyński, Łobodowski, Stanisław Baliński, Beata Obertyńska, Michał Pawlikowski; są pisarze takiej miary, jak Grubiński, Goetel, Parnicki, Naglerowa, lub chodzący swymi drogami Sergiusz Piasecki czy śmiały we zwrocie Janusz Kowalewski; są na pograniczach twórczości pisarskiej publicyści i krytycy, więc Nowakowski, Terlecki, Zahorska, W. A. Zbyszewski, Grudziński, Bielatowicz; a wymieniłem tylko niektórych. Między tymi pisarzami są niewątpliwie mistrze w całym tego słowa znaczeniu. Jest Jan Lechoń, o którym można powiedzieć, że jeśli jest ciągłość poetyckiego słowa polskiego od Kochanowskiego, poprzez Krasickiego i Trembeckiego, Mickiewicza i Słowackiego, Wyspiańskiego i Kasprowicza, to dzisiaj jej przedstawicielem jest właśnie J. Lechoń, którego można by nazwać — tak, jak się mówi: poeta z Bożej łaski — poetą z mowy polskiej. Jest Kazimierz Wierzyński który ma lirę bodaj o największej ilości strun, a który jeżeli potrąci strunę narodową, nie będzie to tak zwany wiersz patriotyczny, lecz wielka poezja. Jest bujny Łobodowski czy opanowany i panujący nad swym tworzywem Baliński. Jest Wacław Grubiński, pisarz śmiałych pomysłów i pióra tak cienkiego jak było Perzyńskiego, a z przeżyciem wojennym, które dało niezrównaną książkę o Rosji dzisiejszej, jest Ferdynand Goetel, którego proza nigdy nie wymuskana, jest zawsze tęga, jest Teodor Parnicki, niezwykle umiejętnie i barwnie sięgający w przeszłość, jest wielu innych pierwszorzędnych.

Nie mieliśmy wymienić najwybitniejszego pisarza, lecz mieliśmy wyróżnić pisarza, który całą swoją twórczością najlepiej odpowiada wymaganiom tego współzawodnictwa.

Wybór nasz padł na panią Beatę z Wolskich Obertyńską. Beata Obertyńska jest Lwowianką, która, jak pamiętam, zmieniała trochę we Lwowie mieszkania: najpierw mieszkała na stoku Cytadeli w willi, która była małą świątynią poezji, a w końcu mieszkała w Brygidkach, w więzieniu, kiedy przyszli Moskale. Jest córką Maryli Wolskiej, poetki Lwowa, jak nazywa ją Stanisław Wasylewski, która była znowuż córką Wandy Młodnickiej, narzeczonej Grottgera. Związana z domem Pawlikowskich, a Pawlikowscy to: Benedykt, Jan Gwalbert, Tadeusz, Michał, Jan; gdy się mówi Pawlikowscy jest to Medyka i Lwów i Koziniec; dom, który bodaj najwięcej zdziałał dla twórczości w Polsce w ciągłości kilku pokoleń. Dlatego, kiedy mówimy o nagrodzie dla Beaty Obertyńskiej, możnaby powiedzieć Beata i Tamci, jak jej „Gitara i Tamci“. Beata Obertyńska po wywiezieniu z Brygidek znalazła się pod biegunem północnym i wzięła udział w przeżyciu najcięższym, które jest przeżyciem naszych dni, a to, co z tego życia powstało w jej rzeczy „Z domu niewoli“ (Marty Rudzkiej), jest, obok książki Grubińskiego, najbardziej zwartym wyrazem tego, co tam było. Beata Obertyńska ze swego środowiska, ciągle twórczego, wyniosła głębokie zamiłowanie do poznania, czym jest mowa polska w swoim słownictwie i w swoich źródłach ludowych tak że,

KS. PRAŁAT STANISZEWSKI OTWIERA UROCZYSTOŚĆ PRZEMÓWIENIEM

Przy stole prezydialnym widzimy członków Jury. Od lewej: prof. Wł. Folkierski, red. Kisielewski, przewodniczący p. Amb. Raczyński, prof. St. Strońki, prez. A. Bogusławski i ks. T. Kirschke *Fot. W. Szurowski*

kiedy się ją czyta, widzi się, jak ona tego się dzień w dzień uczyła. Jest ona także poetką katolicką, i to twórczo katolicką, w ślicznych „Trzech braciach mroźnych“, w przekładzie „Drogi krzyżowej“ Ghéona, w pięknej „Nowennie do Matki Boskiej Zwycięskiej“ Ale Beata Obertyńska jest także pisarką prozą i nie przesadzę, gdy powiem, że w doskonałości i poezji i prozy przypomina chyba Kazimierza Tetmajera.

Drugą nagrodą jest t.zw. nagroda młodych, a może lepiej byłoby powiedzieć nagroda t.zw. młodych. Ta nagroda ma taki warunek, że może ją otrzymać pisarz, który niczego nie ogłosił przed r. 1939, a zaczął ogłaszać dopiero po r. 1946. Mieliśmy sporo kłopotu z tą młodością; młodych na obczyźnie prawie nie ma i teraz, wskutek wojny, trzeba odliczać trochę od tego wieku, do którego ludzie doszli. Ot tak liczyliśmy, że jeżeli ją dostanie dwóch pisarzy razem, to może ich wiek nie powinien dochodzić do 100-tki, tylko być bliżej 80-siątki. Z tego powodu odpadło tutaj kilka nazwisk. Jest pisarz, który przed r. 1939 niczego nie ogłosił, Wiktor Batycki, który był w obozie w Niemczech i tam powiedział sobie, że jeżeli nie można przeżywać, to trzeba rozmyślać, i dał bardzo piękne rozmyślania, ale trudno dać nagrodę młodych komuś, kto ma już 6 krzyżyków za sobą. Jest doskonały poeta, Jerzy Dołęga Kowalewski, który nadesłał śliczny zbiorek wierszy, ale znowu 6 krzyżyków. Właściwie takich, którzy ogłosili lub przygotowali swoje utwory dopiero po 46 roku było mało, około 10 osób, a wskutek warunku nie ogłaszania przed r. 1939 odpadli, np. Tadeusz Sułkowski, Jerzy Pietrkiewicz i inni.

W tej nagrodzie, rozdzielonej na dwie połowy po 50 funtów, pierwszym nagrodzonym jest pisarz nieznany przed r. 1939, który przysłał wogóle swój pierwszy utwór: Edmund Różycki. Jego powieść „Obrachunek Włodarzy“ opisuje walki wrześniowe w Polsce na odcinku południowym. Chcemy krzyku naszego dnia, naszego pokolenia, naszego przeżycia. Rozpoczęło się ono straszliwą klęską i od tej klęski ucieka się, a jednak musi ona też stać się wątkiem naszej twórczości. To jest książka z prawdziwego zdarzenia, a trzeba pamiętać, że w piśmiennictwie polskim największe rzeczy powstały na tle prawdziwych zdarzeń. Znalazł się pisarz, wojskowy, który podjął zadanie napisania powieści o tych walkach w południowej Polsce. Obciąć trochę tu i tam tę powieść, a zrobi się z tego niemal dziennik oficera. Ten oficer nie był ani tak wysoko, aby wogóle nie wiedzieć co się dzieje, ani tak nisko, aby widzieć tylko to, co się dzieje na kilka metrów od niego. Był w dowództwie jednej z dywizji i widział tyle i to co już mogło dać obraz. W tym obrazie najważniejszą rzeczą niewątpliwie była prawda. Ta prawda we wrześniu była rozmaita: smutna, chwalebna i bohaterska, a w książce jest cała prawda i mieliśmy przejmujące wrażenie, że piszący szukał tej prawdy. Powiedziałem, że obciąć tylko pewne części, a byłby to raczej dziennik oficera, ale szczególny dziennik, który sprawia, że to nie jest studium wojskowe (to nic nie szkodzi, jeśli się pisze ze znajomością rzeczy), lecz ciągle żywe wrażenia, tak że w toku opowieści ciągle jesteśmy raczej w duszy człowieka. Jest to pierwszy utwór tego pisarza. Może nie powinienem mówić takiej rzeczy, ale myśmy sobie zadawali pytanie, czy napisze on drugą powieść, bo to jest zupełnie możliwe, że nie. Ale jednak uważaliśmy, że przyznanie nagrody będzie zachętą dla pisarza, od którego tutaj na miejscu dowiedzieliśmy się, że do tej książki przygotowywał się pisarsko przez 30 lat ani słowa nie drukując. Uznaliśmy więc, że i ta nadzieja istnieje, a kierowaliśmy się także drugim względem, a mianowicie, że to powinno być zachętą dla innych z innych odcinków walk wrześniowych.

Jeżeliśmy tą pierwszą połową nagrody nagrodzili pisarza, który może na przyszłość nie obiecuje, to uzupełniliśmy to tym, że dla drugiej nagrody wybraliśmy pisarza, który bardzo dużo obiecuje. Jest to Tadeusz Nowakowski, młody z prawdziwego zdarzenia. Nowakowski też wyszedł ze zdarzeń wojennych i w tym tkwi do dnia dzisiejszego z żywiołową bujnością. Nie będę czytał wyjątków z jego utworów, ponieważ wszyscy państwo wszystko to niedawno czytali, a zresztą musiałbym być ostrożny, aby nie wpaść na coś, co nie powinno być czytane. Nie mówię tego, aby odradzać Nowakowskiemu żart, bo żart to piękna rzecz, ale przechodzi on swoje okresy od fraszek z 16-go wieku do pogodnego uśmiechu Sienkiewicza, Prusa, Makuszyńskiego, do którego napewno dojdzie Tadeusz Nowakowski. Nie będę więcej o nim mówił, bo zdaje mi się, że pęd jego twórczości jest niespornie uznany.

Nie mogliśmy w tym dziale wszystkich nagrodzić, którzy na to zasługują, ale przynajmniej chcemy niektórych wyróżnić:

Są nimi w zakresie prozy: Wiktor Batycki („Myśli za drutami“ — wspomnienia z niewoli), Andrzej Corvin Romański („Więźniowie nocy“, powieść o obozie w Komi, wydana już po angielsku w St. Zjednoczonych i Kanadzie, oraz po duńsku, szwedzku i hiszpańsku), Józefa Ra-

SYLWETKI LAUREATÓW

BEATA OBERTYŃSKA, ur. w r. 1898 w Skolem, córka Wacława Wolskiego i znanej „poetki Lwowa“ Maryli z Młodnickich Wolskiej, debiutowała powieścią pt. „Gitara i tamci“ wydaną w r. 1925. W roku następnym wydaje pierwszy tomik swych wierszy pt. „Pszczoły w słonecznikuˮ Do wojny ukazują się poezje: „O Braciach Mroźnych“ (1930), „Kronowe motyle“ i „Głóg przydrożny“ (1932) i przekład z Ghéona „Droga Krzyżowa“ (1936). Wszystkie jej książki wychodzą w Bibliotece Medyckiej Pawlikowskich, niektóre z nich ilustruje siostra poetki, znana malarka Lela Pawlikowska. W latach 1926 — 1939 Beata Obertyńska współpracuje stale z Wydawnictwem Książek Szkolnych Ossolineum, dając bardzo wiele własnych opracowań. W r. 1933 złożyła egzamin państwowy sztuki dramatycznej i w ciągu następnych 4 lat występuje w Teatrach Miejskich we Lwowie.

W r. 1940 aresztowana i wywieziona do Rosji, gdzie po amnestii wstąpiła do P.S.K. Przez Persję, Palestynę, Egipt i Płd. Afrykę przybyła do Anglii. W latach 1945-46 służyła w P.S.K. w 2 Korpusie. W. r. 1943 wydała opowieść pt. „Faustyna“ oraz „Nowennę do Matki Boskiej Zwycięskiej“, w r. 1944 tomik poezyj pt. „Otawa“. W r. 1946 pod pseudonimem Marty Rudzkiej wydała książkę pt. „Z domu niewoli“, opartą na przeżyciach w więzieniach i obozach sowieckich. Książka ta pt. „Workuta“ została już przetłumaczona na języki niemiecki (wydanie szwajcarskie), szwedzki i holenderski, w przygotowaniu jest wydanie włoskie.

Po demobilizacji B. Obertyńska pracowała w biurach polskiego szpitala w Penley, obecnie pracuje w administracji wydawnictw „Veritasu“.

*

TADEUSZ NOWAKOWSKI liczy lat 30, urodzony w Olsztynie na Warmii. Po ukończeniu gimnazjum w Bydgoszczy studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Aresztowany w r. 1940 przez Gestapo spędził lata wojny w więzieniach i obozach niemieckich. Zadebiutował swymi opowiadaniami umieszczanymi w r. 1947 w „Polsce Walczącej“. Po dwuletniej pracy nauczycielskiej w liceum polskim w Maczkowie (w zach. Niemczech) przybył przez Włochy do W. Brytanii, gdzie pracuje w „Światpolu“. W r. 1948 wydał zbiór opowiadań o tematyce obozowej pt. „Szopa za jaśminami“ Z braku możliwości wydawniczych publikował swe utwory, przeważnie nowele i opowiadania, na łamach emigracyjnych czasopism literackich („Kultura“ i „Wiadomości“) i innych. Składają się one na niewydany tom prozy pt. „Opowiadania tendencyjne“.

*

EDMUND RÓŻYCKI ur. 1898 na Podolu Ros. Przed wojną oficer służby czynnej, w r. 1927 ukończył Wyższą Szkołę Wojenną. Brał udział w kampaniach 1920 r., 1939 r. i w kampanii włoskiej w 2 Korpusie. Przed wojną publikował artykuły fachowe w prasie wojskowej, po wojnie w „Przeglądzie Wojskowym“ 2 Korpusu.

Powieść pt. „Obrachunek włodarzy“ na temat września 1939 r. jest debiutem literackim i została przesłana jury nagród w maszynopisie.

*

WOJCIECH WASIUTYŃSKI, ur. w r. 1910 w Warszawie. Szkoły średnie ukończył w Poznaniu i Warszawie. Ukończył wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego, na którym otrzymał doktorat historii prawa polskiego. W dziennikarstwie pracuje od r. 1928, publicysta i felietonista. Był współzałożycielem tygodnika „Prosto z Mostu“. W czasie wojny redaktor prasy podziemnej we Francji, redaktor prasy wojskowej w 1. Dyw. Pancernej w Holandii i na okupacji w Niemczech. („Dziennik Żołnierza“ „Defilada“, „Salamandra“), w latach 1944—1947 redaktor „Myśli Polskiej“.

Książki wydane: „Naród rządzący“ (1935), „Regal Młynny w średniowiecznym prawie polskim“ (1936), „Z duchem czasu“ (1937), „Między Trzecią Rzeszą a Trzecią Rusią“ (1938), „Tysiąc lat polityki polskiej“ (1946), „Ruiny i fundamenty“ (1947).

BRONISŁAW PRZYŁUSKI ur. w r. 1905 w Siemierzu w Ziemi Lubelskiej. Przed wojną oficer służby czynnej w pułkach artylerii konnej. W r. 1931 debiutuje pierwszymi wierszami drukowanymi w poznańskim „Promie“ i następnie aż do wojny należy do grupy poetyckiej „Promu“, ogłaszając swe wiersze w jej piśmie, a również w „Atenenum“ i „Skamandrze“. Do wojny wydał dwa zbiory wierszy: „Badyle“ (1931) i „Dalekie łąki“ (1934). Po kampanii wrześniowej 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej, którą spędził przeważnie w obozie oficerskim w Murnau. Po wyzwoleniu z niewoli służył w 2 Korpusie w 12 Pułku Ułanów.

Po wojnie w r. 1949 ogłosił tomik poezyj pt. „Obrona mgieł“. „Poemat Nielogiczny“ (drukowany w „Kulturze“) oraz „Pastorałkę Małoszowską“. W rękopisie nadesłał na konkurs nagród misterium pt. „Hiob“. Obecnie B. Przyłuski występuje na scenie w zespole Teatru im. Słowackiego.

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI ur. w r. 1914 w Westfalii. We wczesnej młodości zdradzał wielkie uzdolnienia do grafiki i malarstwa, z braku środków nie mógł ich jednak rozwijać. W r. 1935 ukończył seminarium nauczycielskie, ale nie pracował w szkolnictwie. Przez jakiś czas pracuje w zakładach graficznych a potem przechodzi do dziennikarstwa do redakcji „Głosu Pomorza“. W tym czasie zaczyna ogłaszać swe wiersze w „Okolicy poetów“. W czasie wojny bierze udział w kampaniach wrześniowej i włoskiej i w oblężeniu Tobruku. Na Środkowym Wschodzie współpracuje w piśmie ‚Ku Wolnej Polsce‘ (1949), ogłasza swe wiersze w polskiej prasie emigracyjnej i w ukazujących się antologiach. W r. 1944 we Włoszech wydaje swój zbiorek wierszy pt. „Przewodnik serdeczny“.

Na konkurs nagród nadesłał w rękopisie zbiór wierszy pt. „Dzwony i piekło“. B. Kobrzyński zarabia na swe utrzymanie jako robotnik w fabryce.

dzymińska (powieść „Spojrzenie na brzeg“ i „Noc cudzoziemska), oraz Marek Serb (pseudonim — powieść „Powroty“). W zakresie poezji: Zofia Bohdanowiczowa („Wiersze“), Edward Chudzyński („Szukanie sensu“), Jerzy Dołęga Kowalewski („1939 — 1949“), Henryk Mirzwiński („Etiudy“), Jan Olechowski („Chwile nocne“), i Jan Winczakiewicz („W mroku“).

Trzecia nagroda jest dla publicysty katolickiego. Po śmierci nieodżałowanego Jana Rembielińskiego braliśmy pod uwagę trzy nazwiska: Jana Tokarskiego, które nie weszło w rachubę z powodów chwilowych, niezasadniczych, że związany jest swą pracą stałą z działalnością ośrodka, który utworzył nagrody, następnie Jędrzeja Giertycha, którego bardzo bogata działalność zasługuje na najwyższy, powszechny szacunek, a wreszcie nagrodzonego Wojciecha Wasiutyńskiego, który odznacza się zarówno zdolnościami pisarskimi, jak też pierwiastkiem szczególnie twórczym w swojej publicystyce katolickiej z „Ruinami i Fundamentami“ na czele.

Pozostają dwie nagrody za tomik poezji.

Jedną przyznaliśmy Bronisławowi Przyłuskiemu. Przyłuski w swoim zbiorku „Obrona mgieł“, krąży jednak wśród tych mgieł, jako zawodowy oficer artylerji konnej, z wielką spostrzegawczością. Ten zbiorek został powiększony ogłoszonym przezeń „Poematem nielogicznym“, w którym wykłada w sposób niezmiernie zajmujący spojrzenie poety na twórczość i na tworzywo poetyckie.

Pierwotnie nagrody na tym się kończyły. Ale było tak, że w toku naszych badań mieliśmy już podzielić nagrodę młodych na trzy części, ostatecznie jednak podzieliliśmy na dwie, by nie rozdrabniać. A mieliśmy trzeciego pisarza, którego chcieliśmy nagrodzić: Bolesława Kobrzyńskiego. Wyłudziliśmy więc jeszsze jedną nagrodę od twórców nagród To wyłudzenie nie będzie jednak nigdy powodem jakiegoś dochodzenia sądowego, bo, prawdę mówiąc, oni się do tego wpraszali. W ten sposób mogliśmy nagrodzić jeszcze Kobrzyńskiego, który odznacza się tym, że nie boi się pracować nad swoimi wierszami co w Polsce nie zawsze jest dobrze widziane. Pamiętamy jak się mówiło że natchnienie przychodzi samo. Ale skreślenia w rękopisach Mickiewicza czy Słowackiego wskazują jednak, że ci poeci bardzo dużo pracowali nad swoimi utworami.

Czym mam zakończyć? Czymś miłym. Powiem więc, że te nagrody to są nagrody pierwsze, ale w zamierzeniu tych, którzy je stworzyli, bynajmniej nie jedyne, może, da Bóg, doroczne. Błędy, jakie tym razem jury popełniło, będzie można poprawić. Jeżeli powiedziałem, że doroczne, to razem z państwem dodam: oby nie trwało to za długo i obyśmy wrócili jak najprędzej do naszych nagród literackich: Akademii, Warszawy, Łodzi, Poznania i innych.

Po referacie Przewodniczącego Jury głos otrzymał p. płk. A. Bogusławski, który powiedział:

Przemówienie Prez. A. Bogusławskiego

W paru słowach chciałbym w imieniu związków pisarskich: Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Związku Dziennikarzy R.P. podziękować twórcom i organizatorom tego konkursu za to, co zrobili. Pomimo wszystkiego, co robiono dla poszczególnych literatów w ciągu ostatnich lat, nikt nie stworzył takiej jak dzisiejsza, która jest powszechnie uznanym sposobem popierania literatów. To się stało po raz pierwszy i jest godne wielkiego podziękowania z naszej strony.

Drugą rzeczą, którą chciałem mocno podkreślić, jest to, że w pracach jury, gdzie zasiadałem jako reprezentant Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, element literacki był brany przede wszystkim pod uwagę.

Chcę najserdeczniej powinszować kolegom, którzy otrzymali nagrody i jestem szczęśliwy, że ci, którzy otrzymali nagrody, są członkami Związku Pisarzy albo Związku Dziennikarzy, tak jak kol. Wasiutyński. Osobiście dodam, że jestem niezmiernie dumny, że pomiędzy nagrodzonymi jest dwóch oficerów zawodowych. Chciałbym też parę słów powiedzieć do p. majora Różyckiego, który nie jest jeszcze członkiem naszego Związku. Dziękuję serdecznie, że Pan wnosi świadomy element walki, walki z chęcią zwycięstwa i nutę nadziei i ufności w przyszłość. To są te mocne rzeczy, których potrzebujemy

Z kolei odczytano listy tych osób, które w związku z uroczystościami 3 Maja w Londynie i poza nim nie mogły przybyć. Życzenia dla laureatów nadesłali prof. T. Brzeski, dyr. L. Kielanowski, p. H. Naglerowa, p. Marian Nowakowski, p. Zygmunt Nowakowski, p. S. Zahorska oraz Zarząd Związku Artystów Scen Polskich.

Następuje wręczanie nagród przez Przewodniczącego Jury. Podchodzących do stołu laureatów obecni darzą hucznymi oklaskami. Zakłopotana p. Beata Obertyńska oświadczyła:

Przemówienia laureatów

P. Beata Obertyńska: Nigdy wyraźniej nie czułam, że na żadną nagrodę literacką nie zasłużyłam, jak w chwili, kiedy się dowiedziałam, że mi ją przyznano. Nie pozostaje mi jednak nic innego, jak tylko ogromnie się ucieszyć i podziękować i Organizatorom, i zespołowi Jury i tym wszystkim, których ofiarność przyczyniła się do utworzenia tych nagród. Strasznie bym chciała napisać jeszcze w życiu coś, coby mnie rozgrzeszyło z tego, że mnie tak niezasłużone wyróżnienie spotyka, bo nic tak nie zobowiązuje i zachęca, jak okazane zaufanie. I właśnie za okazanie mi zaufania i za zachętę na przyszłość uważam dzisiejszą nagrodę.

P. mjr. E. Różycki jako debiutant wyjaśnia, jak powstała jego pierwsza książka:

P. Edmund Różycki: Przede wszystkim proszę mi darować, jeżeli będę mówił za długo, ale wśród tych, którzy mnie znają, uchodzę za gadułę. Następnie proszę mi darować, jeżeli nadużyję słów wielkich takich jakich nie spotyka się w dniu powszednim, ale na usprawiedliwienie mam to, że nie uważam dzisiejszego dnia za dzień powszedni.

Chcę parę słów powiedzieć o tym, jak powstała moja praca, która znalazła uznanie. Dwa uczucia były źródłem: pierwsze — uczucie miłości znane nam wszystkim; zatarte rysy obrazu Matki Boskiej, które patrzą na dziecko z blach ryngrafu, pożółkłe karty pamiętnika pradziada i te znane nam wszystkim słowa, które dziecko odczytuje jednym tchem począwszy od tytułu: „Ogniem i Mieczem“. To jest uczucie, które tkwiło we mnie bardzo dawno.

Drugim uczuciem było uczucie gniewu. Nie będę wymieniał powodów, bo rozumiemy je wszyscy.

Do tych dwóch uczuć niespodziewanie dołączyło się uczucie radości z procesu samego pisania, które następnie wzmogło się, kiedy się dowiedziałem, że potrafiłem wzbudzić uznanie w pierwszych czytelnikach, jakimi byli członkowie sądu konkursowego. To jest radość, która pociąga, w tym się można rozsmakować. Jeżeli Pan Bóg pozwoli, to ze swej strony zrobię wszystko, co będę mógł. Chciałbym wytłumaczyć, w jaki sposób moja praca dostała się do sądu konkursowego. Człowiek nieznany nikomu, wysłałem swoją powieść listem poleconym i czekałem. Skromność, jeżeli mam jakieś zalety, nie należy do nich. Miałem wiarę w wartość mojej pracy, ale pomimo tego miałem bardzo poważne wątpliwości, dlatego kiedy dowiedziałem się, że moja praca została wyróżniona, sprawiło mi to wielką niespodziankę. Bo przez 30 lat wyrobiłem sobie nieco pesymistyczny pogląd na ludzi. Nauczyłem się, że często szereg względów ubocznych, a nie istotna wartość pracy decydują o powodzeniu. To był odrodzenie się mojej wiary w wartość człowieka. Niech mi wolno będzie dać wyraz uczuciu podziwu, jaki żywię dla Polaków, którzy zdobyli się na taki sąd niewątpliwie rzetelny i bezstronny. Od 10-ciu lat nie mamy rządu, któryby miał środki przymusu i tragedią naszą jest to, że zadanie jakie przed nami stoi wymaga działania jednolitego i zwartego. Zdaje się, że jedyna droga do celu prowadzi przez przymus w naszych duszach i rząd dusz ponad nami. Będę sobie uważał za zaszczyt, jeżeli moja mała cegiełka znajdzie miejsce w wielkim gmachu ducha, wznoszonym z takim mozołem.

Widocznie wzruszony p. Tadeusz Nowakowski odbiera swą nagrodę i dziękuje za nią:

Tadeusz Nowakowski: W pierwszej chwili, kiedy dowiedziałem się, że dostałem nagrodę, wydawało mi się, że to nieporozumienie, że to chodzi o p. Zygmunta Nowakowskiego. Kiedy w r. 1947 w obozie dla wysiedleńców w Niemczech zakleiłem kopertę zaadresowaną do redakcji „Polski Walczącej“ nie przypuszczałem, że w trzy lata potem spotka mnie tak zaszczytne i zobowiązujące wyróżnienie. Nagroda ta jest zaszczytna dlatego, że ufundowana jest przez ciężko pracujące społeczeństwo w W. Brytanji, nagroda zobowiązująca i zaszczytna, bo katolicka, niezupełnie zasłużona, bo napewno znaleźliby się pisarze lepiej piszący i ściślej związani z programową twórczością katolicką.

Gdybym miał w sumieniu rozważyć, co mnie łączy z tworczością katolicką, musiałbym się cofnąć do przełomu, który mi wcisnął pioro w rękę, mianowicie do dni wojny, do tego apokaliptycznego kataklizmu, o którym można powiedzieć słowami poety francuskiego: „teologia nie kłamie, piekło istnieje naprawdę“. W obawie, że pamięć ludzka to rzecz krótkotrwała i zawodna, chciałem dać świadectwo prawdzie, że w czwartym dziesiątku lat 20-go stulecia, w samym sercu Europy, rękami cywilizowanego człowieka zbudowano inferno, wobec którego piekło włoskiego poety było tylko łagodną przenośnią literacką. Pogwałcone zasady moralne, głoszone przez boską naukę z Nazaretu, nie zostały jednak zakończone triumfem przemocy, bo nigdy siły fizyczne i materialne nie mogą odnieść ostatecznego zwycięstwa nad bezbronnym pozornie, ale w istocie swej wolnym duchem ludzkim. Mówiąc to, myślą biegnę do kraju, do Ojczyzny. Albowiem za wszystko, co tutaj robimy, co tworzymy za wszystkie nasze powodzenia i niepowodzenia, słabości i grzechy, zdawać będziemy rachunek przed własnym narodem. A stanie się to owego dnia trzeciego, kiedy z mroku nawały Ojczyzna nasza wyjdzie na słońce wolności.

P. Wojciech Wasiutyński po odebraniu nagrody stwierdził:

p. Wasiutyński: Czuję się trochę nieswojo, albowiem od 11 lat bywam na zebraniach polskich które są poto zwoływane, aby kogoś potępić, skrytykować, a potem ściągnąć datki. Tu jest odwrotnie — sytuacja więc jest bardzo dziwna.

Publicystyka jest sztuką powtarzania i dlatego nie powiem nic oryginalnego ani nowego. Na parę lat przed wojną udzielono nagrody literackiej Zygmuntowi Wasilewskiemu. Ten naprawdę czcigodny człowiek powiedział wtedy o zawodzie publicystycznym następujące zdanie: publicysta ma te same obowiązki, co zegarek: nie wolno mu się zatrzymywać, musi iść naprzód i pokazywać czas. Jest to bodaj najlepsze i najprostsze ujęcie obowiązku publicysty, jakie słyszałem. Od siebie dodam tylko jedno, że w zegarku tym nie może być tylko jedna wskazówka, która pokazuje momenty dostrzegane, notowane, ale musi być i ta druga wskazówka, której nam dla oka niewidoczny, jest jednak najważniejszy.

Chcę wyrazić moją głęboką wdzięczność zarówno dla organizatorów dzisiejszej uroczystości, jak i dla tych wszystkich, ktorzy się do tego przyczynili, a w szczególności dla tych dość licznych ludzi, którzy często sami nie mając wykształcenia, swym drobnym groszem sprawili, że ta impreza stała się możliwa i dali dowód temu, że kultura nasza jest całemu narodowi wspólna i doceniana przez najszersze warstwy narodowe.

P. Stanisław Przyłuski dziękuje Przewodniczącemu za nagrodę i oświadcza, że bardzo przeprasza, ale nie ma nic do powiedzenia. Prof. Stroński prosi go, by powiedział to zebranym. Laureat rozkłada ręce i uśmiecha się.

p. B. Przyłuski: Chciałem podziękować za nagrodę i niestety... nie mam nic do powiedzenia.

P. Bolesław Kobrzyński bierze sprawę sportowo i po odebraniu nagrody powiada:

B. Kobrzyński. Oczywiście bardzo się cieszę z wyróżnienia. Żałować tylko wypada, że ilość nagród nie była równie duża jak ilość prac złożonych, wydaje mi się bowiem, że wielu z nienagrodzonych miało takie same szanse i możliwości. Dlatego może w przyszłości celowym byłoby stosowanie photo-finishu.

Zakończenie

Prof. Stroński: Na zakończenie chciałem od jury powiedzieć, jak bardzo my cenimy to, że ta pierwsza nagroda powstała. Przez szereg posiedzeń zrozumieliśmy, jak to było potrzebne i słuszne. Dlatego niech mi wolno będzie na ręce ks. rektora Staniszewskiego i p. J. Kisielewskiego złożyć wyrazy najgłębszej wdzięczności.

P. J. Kisielewski: Powiem tylko parę słów podziękowania. Chcę podziękować tym wszystkim, którzy się przyczynili do powstania tych nagród, przede wszystkim polskim czynnikom katolickim w W. Brytanii, które to zainicjowały; dziękuję bardzo ks. prałatowi Staniszewskiemu i wszystkim, którzy się przyczynili. Chcę również złożyć podziękowania dla jury. Praca jury nie była łatwa, zwłaszcza, że to była pierwsza nagroda i wybór był rzeczywiście bardzo trudny. Przytem okres prac jury był bardzo krótki, bo załatwione one zostały w ciągu trzech tygodni. Chciałbym też podziękować p. Amb. Raczyńskiemu za zgodę na przewodniczenie na dzisiejszym zebraniu i wszystkim państwu za przybycie tutaj.

Jednocześnie chcę powiedzieć, że to jeszcze nie koniec: te dzieła odznaczone trzeba wydać, a to nasza największa trudność. Jeżeli ten zamiar zostanie uwieńczony powodzeniem, stanie się to dzięki czytelnikowi polskiemu na emigracji. Ten czytelnik jest lepszy niż myślimy, pragnie więcej słowa drukowanego, niż mu się dostarcza. Ogłaszając poprzednio subskrybcję, baliśmy się, że to się nie powiedzie ale okazało się, że się myliliśmy. Ostatnio np. subskrybcja na książkę p. J. Giertycha daje znów dobre rezultaty. Jestem więc przekonany że właśnie dzięki czytelnikowi polskiemu akcja nasza da się przeprowadzić.

Po części oficjalnej Ks. Rektor Staniszewski podejmował gościnnie laureatów i członków Jury w salonie Misji.

Członkowie Jury Nagród Literackich mieli zaledwie miesiąc czasu do zapoznania się z nadesłanymi 42 pracami. Łącznie odbyli 5 zebrań plenarnych. W jednym z końcowych zebrań w dyskusji i głosowaniu nad przyznaniem nagrody publicystycznej, zgodnie z ogłoszonymi warunkami, wziął udział Ks. Michał Lewandowski z polskiego hostelu w Ludford Magna, jako przedstawiciel czytelników „Życia“ i „Gazety Niedzielnej“. Tak się złożyło że wylosowani spośród czytelników obu tygodników p. S. Milewska z Leicester i p. J. Stefanowicz z Huddersfieldu nie mogli przybyć do Londynu na posiedzenie Jury, wybrani w drugim losowaniu p. S. Kolberg z Taunton i p. A. Morawski z Bradfordu usprawiedliwili się złym stanem zdrowia.

PIERWSZE GŁOSY PRASY
O INICJATYWIE NAGRÓD LITERACKICH

„3 maja odbyło się w sali Polskiej Misji Katolickiej w Londynie wręczenie nagród literackich. Było to ważne wydarzenie w świecie literackim, gdyż już od dłuższego czasu nie było przyznawania nagród na taką skalę“.

(CHIP) CHRZEŚCIJAŃSKA —INFORMACJA PRASOWA

* * *

„...nagrody literackie dla pisarzy, których twórczość zgodna jest z zasadami wiary i obyczajów katolickich“. Były to więc nagrody za twórczość typu określonego, zgodnie z założeniem fundatorów.

„...Doniosłość uroczystości zasługuje na podkreślenie. Pierwszy raz na uchodźstwie stworzono i przyznano nagrody literackie; pierwszy raz dokonano tą drogą próby bilansu literackiego za lata wojny i powojnia.

„Dla literatury polskiej, wolnej od przymusu, a borykającej się z tylu trudnościami, pierwsza to jasna chwila. Zbiorowość katolicka dała dobry przykład i nie zamierza ograniczyć się do tej pierwszej manifestacji“.

(Ucz.) w DZIENNIKU POLSKIM I DZIENNIKU ŻOŁNIERZA, — Londyn.

* * *

„...Podkreślić należy, że są to pierwsze na emigracji nagrody literackie i że ufundowane zostały w części ze składek czytelników prasy katolickiej a w pierwszym rzędzie „Życia“ i „Gazety Niedzielnej“.

MYŚL POLSKA, — Londyn.

* * *

„...Nagrody nie były duże; przyznano ich 6 (jedna podzielona) na łączną sumę 225 funtów. Ale nie to jest najważniejsze. Radosny i krzepiący jest natomiast fakt, iż p o r a z p i e r w s z y n a e m i g r a c j i podjęto inicjatywę udzielenia zachęty pisarzom, wyróżnienia bodaj kilku osób z szeregu tych, na których w pierwszym rzędzie spoczywa ciężar pomnażania dorobku polskiej kultury.

W momencie, gdy w Polsce skrępowano niemal zupełnie wszelką twórczość artystyczną, emigracja — dzięki pięknej inicjatywie sfer katolickich — zdobywa się na pierwszy, najtrudniejszy krok, świadczący o zrozumieniu konieczności otoczenia twórczości wolnych polskich artystów serdeczną i czułą opieką.

Podkreślić należy i to, że część pieniędzy przeznaczonych na nagrody złożyło społeczeństwo, złożyli polscy robotnicy z „cenzusem“ i bez cenzusu ze skromnych, często niewystarczających zarobków. To — jak powiedział jeden z nagrodzonych — zobowiązuje pisarzy do tym większego wysiłku“.

H. Delawski w Dodatku Tygodniowym „OSTATNICH WIADOMOŚCI“ — Manheim, Niemcy.

* * *

„Z inicjatywy polskich ośrodków katolickich w Anglii utworzono Nagrody Literackie dla pisarzy polskich, którzy wskutek zagarnięcia Kraju przez komunistów zmuszeni byli pozostać na emigracji. Celem tych nagród jest pobudzenie polskiej twórczości artystycznej w krajach zachodniej demokracji, gdzie pisarze mają nieograniczoną swobodę myśli“.

INTERCATHOLIC PRESS AGENCY — New York.

Ponadto krótsze lub dłuższe sprawozdania z przebiegu londyńskiej uroczystości ogłoszenia i wręczenia nagród literackich umieściły prawie wszystkie pisma polskie w W. Brytanii i na kontynencie.

UDZIAŁ CZYTELNIKÓW W NAGRODACH LITERACKICH

Suma Nagród Literackich, rozdzielonych w dniu 1 maja b.r., wyniosła £. 225.

Z sumy tej £. 100 pochodziło od polskich Władz Kościelnych w W. Brytanii.

£. 25 — od Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas“, który wziął na siebie zadanie zorganizowania i przeprowadzenia całej imprezy nagród.

£. 100 mieli złożyć czytelnicy „Życia“ i „Gazety Niedzielnej“ na skierowany do nich apel inicjatorów Nagród Literackich.

Wpłaty od Czytelników w chwili rozdziału nagród wynosiły około £. 60 i Ośrodek „Veritas“ brakującą do sumy £. 100 kwotę założył ze swej kasy.

Dalsze ofiary na ten cel od Czytelników naszych tygodników napływają bez przerwy i, jak to wynika z dziś załączonej dalszej listy wpłat, do kwoty £. 100 brakuje tylko £. 34.14.6.

Można więc mieć nadzieję a nawet pewność, że dzięki ofiarności tych, którzy zawsze cenią znaczenie naszych wysiłków na polu kultury katolickiej, pełna kwota będzie osiągnięta w ciągu najbliższych tygodni. Gdyby wpłaty przekroczyły £. 100, nadwyżka będzie stanowić zawiązek nagrody Czytelników w roku następnym.

WPŁATY NAPŁYWAJĄ BEZ PRZERWY
Lista Nr. 8

Zebrano poprzednio	£. 59. 5. 6
W. Malinowska	0. 4. 0
Ks. St. Paraszewski	0. 10. 0
Prof. St. Stroński	0. 10. 0
Bezimiennie z Birmingham	1. 0. 0
J. Wilmanowicz	0. 5. 0
Z. Jankowska	0. 3. 6
B. Bednarski	0. 5. 0
F. Żebrowski	0. 1. 0
Bajzatki z Bolton	1. 0. 0
A. T. Miarka	1. 1. 0
E. Pogoda	0. 1. 0
Bezimiennie	0. 4. 0
„Drucik“	0. 2. 6
J. Żurawski	0. 13. 0
R a z e m :	£. 65. 5. 6
Pozostaje do zebrania wśród Czytelników	34. 14. 6

I. M. BOCHEŃSKI O.P.

W. M. POŚWIĘCAM

O ZNIECHĘCENIU

...Jutro — nie będzie nawet i mogiły... SŁOWACKI

JEŚLI nawet nie jest prawdą, by człowiek b y ł projektem, jak chcą egzystencjaliści, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wszelkie życie łączy się z projektowaniem, to jest, że nie można żyć bez projektów, bez pro-jektowania swojego bytu w przyszłość. Projekt taki jest nieświadomy w roślinie, świadomy ale nierefleksyjny w zwierzęciu; u nas, ludzi, jest nie tylko świadomy, ale i refleksyjny: nie tylko wiemy, czego chcemy, ale ponadto możemy ogarniać myślą szanse wykonania. W związku z tym można bodaj mówić o trzech stopniach zniechęcenia. W roślinie będzie to zniechęcenie metaforyczne, po prostu biologiczna reakcja na niemożność wykonania projektu; w zwierzęciu przejawi się ono w postaci t. zw. „moralnego" cierpienia, gdy na drodze ku spełnieniu dążenia stanie przeszkoda; ale tylko u człowieka zniechęcenie może wystąpić nawet wtedy, gdy na razie wszystko idzie doskonale, gdy bezpośrednie projekty są spełniane, gdy nic nie zdaje się temu spełnieniu zagrażać. Wystąpi ono mianowicie w chwili namysłu nad dalszymi losami człowieka i jego projektów wogóle. Człowiek jest ze wszystkich zwierząt najbardziej podległy zniechęceniu; u innych zniechęcenie będzie zazwyczaj skutkiem osłabienia organizmu; u nas bywa i tak, że biologicznie wszystko jest w porządku — a noc zniechęcenia przecież ogarnia wolę i paraliżuje czyn. Możność takiej sytuacji jest ceną, jaką płacimy za posiadanie ducha. My, ludzie, znamy wiele stopni zniechęcenia.

1.

Jest najpierw zniechęcenie w obliczu przegranej projektu bezpośredniego. Starałem się o coś, pracowałem z uporem i wysiłkiem, może przez lata. Okoliczności złożyły się tak, że celu osiągnąć nie mogłem, że projekt został niespełniony. Jako reakcja występuje zniechęcenie. Jesteśmy tutaj na poziomie, jeśli nie zupełnie zwierzęcym, to w każdym razie zwierzęcego bliskim: i zwierzę potrafi się zniechęcić niepowodzeniem. Coprawda, u człowieka zjawisko jest głębsze i trwalsze; niektórzy umieją sobie życie nawet odebrać po zawodzie w miłości albo utracie stanowiska czy pieniędzy — — dowód, że człowiek znacznie bardziej niż zwierzę żyje projektem.

Zniechęcenie takie ma zarazem charakter rozumowy i nieracjonalny. Rozumowy o tyle, że nie wchodzą w rachubę czynniki biologiczne i że tylko rozum może nakreślić ponury obraz sytuacji z niespełnionym projektem. Nieracjonalny dlatego, że człowiek jest istotą niezwykle zdolną do przystosowania się, tak dalece, że po zawodzie w jednym projekcie zawsze znajdzie sobie drugi. Innymi słowami, zniechęcenie takie jest— tak się przynajmniej wydaje — zawsze błędem, jest oparte na błędnym rozumowaniu. Coprawda, mówi się zawyczaj, że to nie rozum zawiódł, ale wola i, co za tym idzie, uczucia, a więc ciało; ale choć te czynniki zapewne odgrywają przy tym rolę, nie widać dlaczego byśmy mieli z tej sprawy, na rozumowej ocenie opartej, eliminować ten sam właśnie rozum, który szkicuje czarne sytuacje.

2.

Dużo poważniejsze — ale też dużo rzadsze — jest zniechęcenie związane ze śmiercią. Człowiek jeden wie, że umrze. Ta perspektywa powinna właściwie odebrać mu wszelką chęć do pracy, wyjąwszy może taką, jaka jest konieczna do zaspokojenia elementarnych potrzeb ciała. Bo, gdy się pomyśli, że musimy umrzeć, poco właściwie starać się o tyle rzeczy? Poco, w szczególności, tworzyć rzeczy niepraktyczne? Są tacy, którzy wymyślają baśnie na uzasadnienie takiej twórczości: prawią o wielkości czystej nauki, czystej sztuki, o jakimś świecie czystych ideałów i ponadziemskich wartości. Ale świata takiego nie ma. Istnieje tylko rzeczywistość, a w niej człowiek, który sobie ideały tworzy. Ideał istnieje tak długo, dopóki człowiek żyje; po jego śmierci, nie ma ideału. Zostaje zespół gnijących tkanek, który zresztą z żywym człowiekiem posiada tylko powierzchowne podobieństwo. Umrzeć trzeba — a w ponurym świetle śmierci wszystko jest marnością i złudą.

Bergson uczył, że przeciw myśli o śmierci człowiek zbroi się w mity. Heidegger twierdzi, że nie mity, ale zapomnienie, ucieczka w świat ułudy, w prace i rozrywki, po to tylko wymyślane, aby nie widzieć śmierci, ratują go od zniechęcenia. Myślę ,że obaj mają rację, że, zwłaszcza teoria ucieczki od śmierci przez zapomnienie, zawiera wiele prawdy. W rzeczy samej, czym jest życie wielu spośród nas — może wszystkich — jeśli nie ustawiczną ucieczką od siebie i od swojej śmierci? Ta ucieczka tłumaczy dlaczego wielu ludzi nie popada w zniechęcenie na myśl o śmierci. Ale, jeśli się nie mylę, działa tu jeszcze inny czynnik, ważniejszy.

3.

Tym czynnikiem jest transcendencja, aby użyć modnego słowa, ku przedmiotom trwalszym niż człowiek sam. Życie wszelkie, a już najbardziej człowiek, potrafi się utożsamiać w projekcie z innymi bytami. Roślina właściwie nie jest wogóle jednostką; czy i w jakim stopniu niższe zwierzęta są jednostkami, nie wiemy; ale wyższe zwierzęta, które, sądząc z ich zachowania się, nimi zapewne są, identyfikują się łatwo z potomstwem i stadem. Ta identyfikacja staje się u człowieka prawdziwą transcendencją, bo występuje nie tylko w czynie, ale i w świadomym projekcie, ba, nawet w czystej teorii. Człowiek potrafi przekroczyć ramy swojej istoty w projekcie, myśleć i czuć za rodzinę, za gminę, za naród, nawet za cywilizację. Może być tak zafascynowany tą transcendencją, że jego własna śmierć wyda mu się nieważna — byle owe większe byty żyły. Nie tylko potrafi oddać za nie życie, ale ginąc będzie szczęśliwy. Bo projekt jego stał się projektem większym: stał się, na przykład, projektem zachowania honoru Grecji, z tym cichym założeniem, że Grecja żyć będzie po jego śmierci i że projekt zostanie spełniony. To ta transcendencja pozwala ludziom tak często przezwyciężyć zniechęcenie, wywołane myślą o indywidualnej śmierci.

Nie trudno jednak spostrzec, że transcendencja tego rodzaju, jeśli odsuwa zniechęcenie na plan dalszy, nie znosi go przecież. Bo owe większe byty, z którymiśmy się zidentyfikowali, dają równie jak my sami powód do zawodu w projektach. Coprawda, człowiek indywidualny jest słabszy, bardziej narażony na niepowodzenia; ale i wielkie narody ich doznają. Los narodu niemieckiego w 1945 roku może stanowić pod tym względem groźne momento dla tych, którzy sądzą, że transcendencja ku narodowi uchroni ich od zniechęcenia.

4.

Możnaby jednak sądzić, że śmierć przynajmniej narodowi, a już tym bardziej cywilizacji, nie zagraża. Niestety, jest to iluzja: narody i cywilizacje są najbardziej oczywiście śmiertelne. Giną nie tylko fizycznie, jak zginęła Kartagina na przykład, ale przepadają także duchowo. jak owe wielkie cywilizacje, których pomników w szczątkach zachowanych nikt zrozumieć już nie może. Nie ma wierutniejszego kłamstwa niż twierdzenie, że duch narodu jest nieśmiertelny i trzeba być naprawdę ślepym aby móc je głosić na cmentarzysku kultur i narodów, jakim jest nasza ziemia. Oczywiście, można i tutaj uciekać się w iluzję jakiegoś ponad-ziemskiego „ducha" narodu; naprawdę jednak jest tak, że duch ten wogóle nie istnieje. Żadna baśń nie może przesłonić tej jasnej rzeczywistości śmierci — i tego prawa, tak niezbicie stwierdzonego jak mało które, że wszystko co ludzkie zapada się bez śladu w otchłań historii.

Są nawet ludzie, którzy potrafią nieustraszenie patrzeć w oczy własnej śmierci, tak dalece transcendują siebie ku narodowi — ale którym opadają ręce na myśl o zagładzie narodu i cywilizacji, których zniechęcenie ogarnia w obliczu ich łamliwości.

5.

Wydaje się, że popełniają oni błąd właśnie przez transcendencję, ku grupom społecznym. Śmierci wydani jesteśmy wszyscy, i my ludzie indywidualni i one. W pędzie ku zniweczeniu, ku otchłani, nie dostrzegamy niczego, co by mogło nadać wartość naszym czynom, sprawić, by nasza praca i męka miała jakikolwiek sens. Bo ostatecznie, to ja żyję, wysilam się, projektuję i cierpię. Dla siebie czynić tego nie mogę, to prawda — bo jestem atomem nicości, porwanym ku śmierci; ale tym bardziej nie mogę znaleźć sensu dla mojego życia w równie jak ja śmiertelnej grupie ludzkiej. Kto myśli o tym trzeźwo, jak o śmierci myśleć wypada, doznać musi, mimo wszystkie bunty krwi i wszystkie baśnie, jakie nam prawią poeci i politycy, zniechęcenia.

6.

Nieśmiertelność duszy! W niej znajduje wielu ukojenie swojej trwogi przed nicością i ratunek przed zniechęceniem. Wiara i filozofia nas uczą, "że dusza ludzka jest nieśmiertelna, to jest, że nigdy nie umiera". Jeśli tak jest, dlaczego się martwić? Jeśli życie doczesne jest tylko wycinkiem czegoś wiecznego, cóż znaczyć mogą wszystkie zawody własne i grupowe w tym życiu doznane? „A przed nim leży Kryton i żywot Katona": Kryton, w którym Platon nieśmiertelności duszy dowodzi i żywot Katona, niezłamanego żadnym zawodem. Cóż dopiero, gdy możemy powołać się na większy od Platona autorytet: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot: kto we mnie wierzy nie umrze na wieki".

Tylko, że myślącego człowieka sama myśl o nieśmiertelności zaspokoić nie może. Jeśli wierzymy w nieśmiertelność duszy i w nieważność naszych zawodów, wydaje się, że tym samym wierzyć powinniśmy w nieważność naszych projektów. Zniechęcenie może odpadnie; ale na jego miejsce przyjdzie pogarda dla czynu. „Marność nad marnościami i wszystko marność" mówi mędrzec Pański. Nie ma już powodu zniechęcać się czymkolwiek; ale zarazem nie ma już żadnej racji dbać o cokolwiek ziemskiego. Wiara w nieśmiertelność duszy tak pojęta prowadzić może do zupełnej apatii, do ucieczki od życia.

7.

Na szczęście taka wiara nie jest pełną wiarą chrześcijańską. Chrześcijaństwo jest czymś więcej niż asekuracją na śmierć: jest nauką o transcendencji projektów ku innej, nieskończonej wyżynie: ku Bogu. Ta transcendencja w dwojaki sposób może być wykonana.

Jest najpierw drogą, którą w przejmujących słowach opisał współczesny myśliciel, Karol Jaspers. Dla niego wszystko co stworzone, ze mną włącznie i z wszystkimi moimi projektami, zginąć musi naprawdę i zupełnie. Jaspers nie wierzy w nieśmiertelność duszy. Równie jasno jak wielu chrześcijańskich myślicieli, widzi on znikomość wszelkich naszych wysiłków. Ale, zapatrzony w Boga, uważa, że nam, stworzeniom, nie wolno szukać innego losu. Nie zachęca do bezczynności, przeciwnie domaga się czynu, tworzenia, rzucenia się w wir życia i walki, chce tylko, abyśmy szli w życie z wiedzą, że wszystko skończy się zawodem: **das Scheitern ist das Letzte.** I tak jest dobrze: bo załamanie się i zniweczenie wszystkiego jest szyfrem, najwyższym szyfrem Nieskończoności. Zginąć razem z naszymi dziełami, to jedyny sposób, w jaki oddać możemy świadectwo Jemu, który nieprzemija.

Nauka Jaspersa jest piękna i wzniosła; potrafi zapewne postawić tamę zniechęceniu. Jest nauką na pół chrześcijańską; ale na pół tylko. Ma przy tym tę właściwość, że nie daje człowiekowi żadnego drogowskazu dla czynu: działać trzeba — ale jak działać, skoro Bóg przemawia tylko w niezrozumiałych dla nas szyfrach?

8.

Nasza wiara daje więcej niż Jaspers: daje sens nie tylko naszym zawodom, jak on, ale także naszemu czynowi. Nauka jej jest prosta, tak prosta nawet, że podczas gdy nieuczeni żyją nią nieraz bez trudności, wielu mędrcom jej sens głęboki zdaje się być niezrozumiały. Oto jej treść. Jeden jest tylko, co trwa na wieki: Stwórca i Jego święta wola. Historia i to, co w niej nieustannie przesuwa się z życia ku śmierci, jest niczym innym, niż projekcją w czas Jego myśli i woli. Dzieje się to przy tym tak, że choć historia jako całość odejść nie może na krok od dróg wytyczonych jej przez Opatrzność, Bóg, z niezrozumiałych dla nas względów, chciał nas, ludzi, użyć jako swoich wolnych tej historii narzędzi. Nieraz nie znamy prawdziwej Jego woli. Wiemy nieraz później, że chciał naszej klęski, skoro do klęski doszło; ale to czego Bóg od nas żąda, wola Boża, „wolą znaku" przez św. Tomasza zwana, jest dla nas zawsze poprzez prawo moralne i nasze sumienie wiadoma. Sensem ludzkiego życia jest pełnić Bożą wolę znaku i pełnić ją tak, jak gdyby od tego wszystko zależało. Kto tę wolę pełni, ten pracuje dla nieskończoności. Nic z jego czynów nigdy nie zaginie. I choć projekty zostaną niespełnione, choć życie moje i życie mojego narodu usunie się w śmierć, choć walą się jedne po drugich w gruzy cywilizacje, projekt projektów zawieść nie może: spełnienie woli Boga. W nim i w nas po śmierci czyn dobrym sumieniem spełniony żyć będzie na wieki.

9.

Zniechęcenie nie jest dla chrześcijanina dopuszczalne. Wśród burzy i w katastrofie, z oczami otwartymi na śmierć, chrześcijanin trwać potrafi nie tylko spokojny, ale w pełni czynu. Najmniejsze, same w sobie marne, projekty osobiste, rodzinne, narodowe, kulturalne, nabierają w oczach jego wiary nieskończonej wartości. On jeden ma prawo bez iluzji i fanfaronady wziąć sobie za ideał horacjuszowe si fractus illabatur mundus, impavidum ferient ruinae.

I. M. Bocheński O. P

TEKSTY LITURGICZNE NA ZIELONE ŚWIĄTKI

ZE MSZY ŚW.

INTROIT.

Duch Pański napełnił okrąg ziemi, alleluja. Ten, który ogarnia wszystko, ma też znajomość wszelkiej mowy, alleluja, alleluja, alleluja.

Powstaje Bóg: pierzchają nieprzyjaciele Jego; uciekają przed Nim ci, co Go nienawidzą.

ORACJA.

Boże! Tyś w dniu dzisiejszym pouczył serca wiernych światłem Ducha Świętego: daj nam w tymże Duchu poznać, co jest prawe i pociechą Jego zawsze się weselić.

OFERTORIUM.

Utwierdź to, Boże, coś dla nas uczynił. W przybytku Twoim świętym Jeruzalem wszyscy królowie niech Ci złożą dary, alleluja.

POKOMUNIA.

Tchnienie Ducha Świętego, Panie, niechaj oczyści serca nasze, a Jego rosy zwilżenie użyźni wnętrze dusz naszych.

Z NIESZPORÓW

PSALM 111

Błogosławiony, kto się boi Pana, rozmiłowany w Jego przykazaniach.

Może na ziemi będzie jego plemię; ród ludzi prawych jest błogosławiony.

Zamożność i dostatek będzie w jego domu, uczynność jego trwa na wieki.

Dla dobrych wschodzi jak światło w ciemnościach człowiek łagodny, miłosierny i sprawiedliwy

Błogo jest temu, co się lituje i chętnie użycza, a sprawy swoje prowadzi uczciwie.

Taki się bowiem nigdy nie zachwieje; w pamięci wiecznej będzie sprawiedliwy.

Żadne złe wieści go nie zatrwożą, stateczne jego serce zaufało Bogu.

Duch jego mocny nie straci odwagi, aż ujrzy wreszcie zawstydzenie wrogów.

Hojnie jałmużną obdziela ubogich, cnót jego zasługa trwa na wieki, znaczenie jego chwalebnie się wzmaga.

Patrzy się na to grzesznik i oburza, zgrzyta zębami, z zazdrości usycha; nadzieje bezbożnych zwodnicze!

ANTYFONA DO MAGNIFICAT

Dziś spełniły się dni Pięćdziesiątnicy, alleluja: dzisiaj Duch św. ukazał się uczniom w postaci ognia i udzielił im darów charyzmatów: posłał ich na wszystek świat ogłaszać słowo Boże i świadczyć: Kto uwierzy i ochrzci się zbawion będzie, alleluja.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

W CZASACH POWSTAWANIA POLSKI

Z POWODU KSIĄŻKI DVORNIKA

POCZĄTKI państw słowiańskich, a także wyrosłych z nimi w jednej orbicie dziejów Węgier i Rumunii, wciąż jeszcze stanowią wdzięczny temat dla historyków. Przy całej bowiem skąpości źródeł dokonywane są nieustannie dalsze odkrycia, rzucające nowe światło na poszczególne fakty, pozwalając na rewidowanie starych poglądów i ustalanie nowych, odmiennych. Pod tym względem historyk, który bada dzieje średniowieczne jest w położeniu o wiele szczęśliwszym od historyka epok późniejszych, znajdując w w tym niejako rekompensatę większych trudów.

Jeżeli chodzi zwłaszcza o wcześniejsze dzieje Polski, sumienny historyk musi się ponadto przebić przez gąszcz poglądów tendencyjnie sformułowanych przez historyków niemieckich XIX w., na podstawie celowych przeważnie niedokładności i dwuznaczności kronik saskich, które stanowią podstawowe źródła dla tych dziejów. Tak samo musi odrzucić rozmaite fantazje niektórych historyków polskich, zbyt dowolnie operujących hipotezami, nie mającymi żadnego poważnego uzasadnienia. Początki Polski znalazły w ciągu ostatnich 50 lat kilku wielkiej miary „odkrywców" wśród historyków polskich, jak Tadeusz Wojciechowski, który rzucił nowe światło na mroki XI wieku w Polsce („Szkice historyczne XI wieku"); jak Balcer, prawdziwy tytan naszej nauki, żmudny genealog Piastów i badacz pierwszych dokumentów naszej państwowości, m. in. bezcennego dla historii naszych pierwotnych granic dokumentu „Dagome Judex"; i wreszcie jak Stanisław Zakrzewski, który w swoich monografiach Mieszka I i Bolesława Chrobrego pierwszy mocno oparł historię piastowskiej Polski o Bałtyk, wiążąc ją z dziejami Skandynawii. Te badania i odkrycia Balcera, Wojciechowskiego, Zakrzewskiego i innych z ich wielkiej generacji, kontynuuje dzisiaj w Polsce szereg młodszych historyków, jak m. in. Zygmunt Wojciechowski, szczególnie o ile chodzi o nasze ziemie zachodnie i dostęp do Bałtyku. Natomiast na emigracji, w Londynie, inny historyk polski „młodszej" generacji, Henryk Paszkiewicz, postawił sobie jako zadanie wyjaśnić genezę polskiej polityki wschodniej oraz stosunków polsko-ruskich, w szczególności zaś historię ziemi czerwińskiej.

Wśród tych badań i opracowań pierwotnych dziejów Polski, brak było dotąd próby ich przedstawienia na szerszym tle — historii środkowej i wschodniej Europy, zatem stosunku Polski do Czech, Rusi oraz Węgier, jak również do Rzymu i do „świętego cesarstwa" oraz do Bizancjum. Takiego trudu podjął się dopiero ostatnio czeski historyk, Franciszek Dvornik, czyniąc z historii Polski oraz Czech główny przedmiot swoich zainteresowań, w znakomitej pracy wydanej w języku angielskim przez „Polish Research Centre" w Londynie (1949), pt. „T h e m a k i n g o f C e n t r a l E u r o p e". Praca ta zgodnie z tytułem, zajmuje się wczesną historią innych również narodów środkowej i wschodniej Europy, poświęcając wiele miejsca dziejom Węgier oraz Rusi, ale jej przewodnią myślą jest **związek pomiędzy losami Polski oraz Czech i Słowacji** (Wielka Morawia) oraz idea jednego, wielkiego państwa zachodnio-słowiańskiego.

Pierwsza myśl takiego państwa zrodziła się na początku IX w. na terenie dzisiejszej Słowacji, która była centrum państwa wielko-morawskiego, obejmującego obok Czech i Moraw, a także dzisiejszych Węgier, również i całą południową Polskę z Krakowem. Państwo to przyjąwszy chrześcijaństwo z Bizancjum, od greckich apostołów św. św. Cyryla i Metodego, ale według obrządku rzymskiego i niejako pod patronatem papieży Hadriana II i Jana VIII, którzy zatwierdzili inowację słowiańskiego języka liturgicznego wraz z nowym alfabetem („głagolica", a później „cyrylica"), było niejako predystynowane do roli pośrednika pomiędzy dwoma ośrodkami ówczesnej cywilizacji chrześcijańskiej. Pisze na ten temat Dvornik:

„Gdyby Wielka Morawia i kościół Konstantyna — Cyryla i Metodego dłużej przetrwał, rozwój Europy środkowej i wschodniej poszedłby po zupełnie innych drogach. Wielkie imperium słowiańskie powstawało, aby walczyć o swoje miejsce obok imperium Franków..., oparte zaś na słowiańskiej adaptacji kultury grecko-bizantyńskiej, powołane było do swego udziału w wychowaniu dziewiątowiecznej Europy. Państwo takie stanowiło właściwe centrum, około którego rozwinęłyby się wszystkie zachodnie plemiona słowiańskie i niektóre południowe". Upadło ono jednak na przełomie IX i X w. pod naporem Madziarów, których przywołali przeciw niemu królowie wschodniej Frankonii, pozostawiając jednak jako dziedzictwo kościół słowiański, mający utrzymać się jeszcze przez parę wieków obok nowego — na tych terenach — kościoła, łacińskiego w Czechach i Morawii oraz w Polsce a także mający — w interpretacji wschodniej — odrodzić się na Rusi.

Przez chwilę zdawało się, że idea Moimirowiczów morawskich przejdzie na państwo czeskie Przemyślidów, którzy przejęli znaczną część ich spuścizny. Okazało się jednak, że nie byli oni w stanie stawić czoła niemieckiej ekspansji i dlatego musieli się pogodzić z rolą wasali państwa niemieckiego. Pochód niemiecki zatrzymali polscy Piastowie Mieszko I i Bolesław Chrobry i oni dopiero mogli pomyśleć o zjednoczeniu wszystkich zachodnich Słowian w ramach jednego potężnego państwa. Podjął tę próbę Bolesław Chrobry, z razu w sojuszu z cesarzem, za Ottona III, później przeciwko jego następcy, Henrykowi II. Potrafił utrzymać niezawisłość Polski i stworzyć potężne zręby państwowe na przyszłość, ale głównego celu nie dopiął". Przy wszystkich swoich osiągnięciach — pisze Dvornik — nie zdołał Bolesław spełnić głównej swojej ambicji, trwałego zjednoczenia z Polską krajów Przemyślidów, przy czym niepowodzenie to było następstwem nie tylko oporu Henryka II i strategicznych błędów Bolesława przy obronie Czech oraz braków jego dyplomacji wobec Czechów, ale i stanowiska samych Czechów, którzy nie umieli docenić ważności trwałej unii z Polską, przenosząc swoje lokalne interesy ponad wspaniały zamysł Polaka..." Cokolwiek mogliby krytycy powiedzieć o planach Bolesława, musi— my stwierdzić, że były zdrowe i że mogły się były urzeczywistnić, gdyby tylko Czesi byli je poparli".

Jednako rozmiłowany w cywilizacji Rzymu i w cywilizacji Bizancjum, wielokrotnie powraca Dvornik w swojej książce do sprawy Kościoła słowiańskiego, jako ich wspólnego dziedzictwa. Z melancholią też pewną notuje on zanik tego Kościoła w Polsce i w krajach czeskich w ciągu XI w., na korzyść wyłącznego odtąd Kościoła łacińskiego. Ta predylekcja do „narodowej" liturgii może być zrozumiała u historyka czeskiego, zważywszy późniejsze zwłaszcza dzieje jego kraju. W Polsce, odmiennie niż w Czechach, Kościół łaciński stał się od samego początku naszym jak by Kościołem „narodowym" i nie był nigdy uważany za „niemiecki". W istocie rzeczy niezależna organizacja naszego Kościoła od r. 1000 stworzyła pierwszy i główny początkowo fundament niepodległości państwa polskiego, której zewnętrzny symbol, koronacja, przyszedł dopiero 25 lat później.

W przekonaniu Dvornika, upadek Kościoła słowiańskiego w Polsce i w Czechach podkreślił różnice pomiędzy nimi a Rusią, oddalił też od Bizancjum zachodnią Europę. „Odległość pomiędzy Kijowem a zachodnią Europą była tak duża, że przedłużenie tego kanału poprzez Czechy i Polskę było konieczne. „...Na to trzeba było, aby pomiędzy właściwymi Niemcami a Rusią kijowską znalazła się potęga polityczna dostatecznie silna, aby powstrzymać germański napór na wschód, oraz dostatecznie światła, by mieć swą kulturalną atmosferę otwartą dla świata łacińskiego, nie zamykając jej jednak dla greckiego". Dvornik wierzy, że rolę taką mogło było spełnić państwo polsko-czeskie, gdyby się był udał wielki plan Chrobrego . Ale projekt ten nie powiódł się i wszelkie nadzieje na ucnwycenie okazji, zdającej się być w zasięgu, która wzbogaciłaby całą Europę, zostały udaremnione. „Skutkiem tego ominęły Polskę te blaski cywilizacji grecko-bizantyńskiej, którym Ruś kijowska, a po części i Czechy, zawdzięczały swój okres świetności. Zaś bezcenne skarby tej cywilizacji, które trafiły na zachód dopiero z ginącego Konstantynopola w XIV i XV wieku, zapóźniły się o kilka wieków, kiedy mogły tam były oddawna przenikać za pośrednictwem Krakowa i Pragi!"

Bizancjum miało jeszcze jedną przewagę nad cesarstwem zachodnim wskrzeszonym przez Ottona I: było bardziej uniwersalne i pod tym względem było wierniejszym dziedzictwem Rzymu. Cesarstwo wschodnie nie było greckim w tym znaczeniu, w jakim „święte imperium" było niemieckim (a o którym historyk brytyjski napisał, że nie było ani „święte" ani „imperium"). Było to może przyczyną politycznej i militarnej słabości Bizancjum, ale zwiększało jego atrakcyjność kulturalną. Cesarze bizantyńscy nie przebierali może w środkach, kiedy zmuszeni byli bronić państwa przed uporczywością barbarzyńskich napastników, ale nie szerzyli chrześcijaństwa mieczem i podbojami. Przeciwnie, cesarstwo wschodnie było w ciągłej defensywie — i na jego terytorium osiadały całe narody, zachowując swój język, narodowość, niezależność, a przyjmując tylko dobrodziejstwa wiary i cywilizacji. Cesarz zadawalniał się jedynie formalnym zwierzchnictwem, jak 5 wieków przed tym zadawalniali się nim wobec nowych narodów, Wizygotów, Franków, Ostrogotów, ostatni cesarze rzymscy na zachodzie. Była to „Pax Romana".

Otto III był synem bizantyńskiej cesarzówny Teofano i uczniem miłośnika dawnej wielkości Rzymu, Gerberta, i od tych dwojga, a nie od swoich saskich przodków przejął misję cesarstwa. Tytuł, który sam przybrał, Imperator Romanorum, i tytuły dworskie, które odnowił, zapożyczając z Bizancjum (jak „Patricius Romanorum"), to były symbole **Renovationis Imperii**. Zaś treścią nowej idei miała być Wspólnota państw chrześcijańskich z cesarzem, jako protektorem Kościoła na czele (stąd inny tytuł Ottona, „Sługa Jezusa Chrystusa"). Pierwszym władcą chrześcijańskim, którego zapoznał Otto ze swoją koncepcją cesarstwa, i którego odwiedził w tym celu w Gnieźnie, był Bolesław Chrobry. Zdaniem Dvornika, nadanie Bolesławowi przez Ottona tytułu „Patrycjusza" miało sens podwójny: Przyjmując ten tytuł, Bolesław stwierdził przystąpienie Polski do tak pojmowanego **cesarstwa rzymskiego** i uznawał cesarza za głowę społeczności chrześcijańskiej, zaś Otton rezygnował z wszelkich materialnych uprawnień, jakie by mógł mieć w stosunku do krajów Bolesława w powyższym charakterze. Na podobnych zasadach oparł Otton swój stosunek do Stefana węgierskiego.

Słusznie zauważa Dvornik, że Otto III był „jedynym cesarzem niemieckim, który potrafił zarysować dla środkowej i wschodniej Europy plan do przyjęcia zarówno przez naród niemiecki, jak przez narody słowiańskie i inne, oraz dostatecznie zrozumiały, aby ukształtować przyszłość tej części Europy z pożytkiem dla wszystkich zainteresowanych ludów".

Tadeusz Piszczkowski

DYSKUSJE

ZOFIA KOSSAK

KRZYWDZĄCA OCENA

UWAGI dotyczące życia konspiracyjnego w Polsce pod okupacją niemiecką zamieszczone w artykule Jędrzeja Giertycha, zatytułowanym „Problemat zabójstwa", (ŻYCIE nr. 17; dyskusja nad sztuką Zawieyskiego „Rozdroże miłości") muszą wywołać żywy sprzeciw w każdym człowieku, który owe lata wojny przeżył aktywnie w kraju, zawierają bowiem zarzuty straszliwe.

„...krew, krew, krew, oto obraz narodu polskiego pod okupacją. Całe życie kraju pod okupacją niemiecką wygląda jak zły i okrutny sen, nie tylko dlatego, że sprawili to Niemcy, ale także dlatego, że sprawiliśmy to sami... ...Polska ma ręce splamione krwią i czuje z tego powodu wyrzuty sumienia... Kraj zatrząsł się z obrzydzenia i grozy... Zatrząsł się — wyrzutami sumienia..."

Aczkolwiek trudno na podobne twierdzenia odpowiadać spokojnie i z umiarem, postarajmy się spojrzeć bezstronnie na zjawisko Polski Podziemnej, ów jedyny w swoim rodzaju moment, gdy życie narodu, zdławione przez okupanta, spłynęło pod ziemię i tam, niby strumień ginący w piaskach błędowskich, ukryte przed wzrokiem wroga, trwało nadal z całym aparatem państwowym, delegaturą rządu, szkolnictwem, wyższymi uczelniami, wymiarem sprawiedliwości, armią, sanitariatem, kulturą, teatrem, prasą, skarbem, reformami socjalnymi. Obraz to wysoce skomplikowany i niełatwo przyjdzie skrupulatnym badaczom ustalić właściwe oblicze Podziemia, wykazując zarówno zalety, jak wady.

Życie upływające w ciemności i ciągłej walce, nie mogło — rzecz prosta — być życiem normalnym. Rządziło się swoistymi prawami, narzuconymi koniecznością istnienia, prawa te jednak wypływały z poczucia odpowiedzialności, a problemy chrześcijańskiego sumienia grały znacznie większą rolę, niż zdaje się sądzić autor „Problematu zabójstwa".

Działający i walczący pod ziemią naród nie decydował sam o sobie. Kierował nim Rząd nieobecny, posiadający pełne zaufanie społeczeństwa, wytyczający zasadnicze linie postępowania. Nic ważniejszego nie postanawiano bez jego wiedzy. Nieobecny Rząd kontaktował się z krajem przez emisariuszy i kurierów, finansował Podziemie, nawoływał, by wszystkie siły narodu wprowadzić do walki. Zapewniał, że powszechność tej postawy stanowi o autorytecie Polski wobec aliantów i że cały Zachód patrzy na polską konspirację z podziwem. Czyż trzeba było lepszej zachęty? — „Niech widzą nas, jak umieramy"... Wprawdzie już wówczas podnosiło się wiele rozważniejszych głosów jednozgodnych z opinią p. Giertycha, co do „nieopłacalności" wyczynów wojennych pociągających za sobą masowe represje, p. Giertych zapomina jednak, iż zarzuty te nie mogą odnosić się do społeczeństwa w kraju, ani do podziemnych władz wojskowych, działających w myśl otrzymywanych rozkazów.

Nie ulega wątpliwości, iż w szeregach konspiracji nie wszyscy byli herojami. Heroje, podobnie jak święci, są, niestety, zawsze w mniejszości. Nie ulega też wątpliwości, że w podziemiu zachodziły nieraz godne potępienia nadużycia. Nadużycia władzy są nieodłączne od wszelkiej władzy, sprawowanej przez ludzi. Do normalnych jej przerostów dołączmy jeszcze zrozumiałą mściwość okrutnie pokrzywdzonych jednostek względem bestialskiego wroga. Nieuniknione te nadużycia stanowiły jednak wąski margines karty heroicznej i wspaniałej. Jakże odmienną jest np. ocena sądów tajnych, wypowiedziana przez p. Giertycha, od oceny ówczesnego społeczeństwa! Mimo swych wad, natura ludzka posiada wrodzone łaknienie sprawiedliwości i owe wyroki łaknienie to zaspakajały. Wprawdzie trup Niemca lub zdrajcy z kartką wyroku na piersi, nie leżał nigdy „kilka dni", gdyż Niemcy uprzątali go natychmiast, lecz afisz, rozlepiony na murach, ogłaszający, że „Z wyroku Sądu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, za takie a takie zbrodnie tacy i tacy zostali skazani na śmierć. Wyrok wykonano". — sprawiał zadowolenie, podnosił na duchu. Nie przez mściwość lub krwiożerczość, ale z potrzeby sprawiedliwości. Zaznaczyć trzeba, że tajne sądy Rzplitej złożone z prawników, wyrokowały z wielką ostrożnością, mimo niebezpieczeństwa przesłuchując licznych świadków.

Zarzut jakoby walka podziemna prowadzona była „nierycersko" „skrytobójczo" i „w piwnicy, kilku na jednego" — musi wywołać uśmiech na twarzy każdego jej uczestnika. Nie kilku na jednego, lecz kilku na stu. Przeciw potężnej armii, wyposażonej w nowoczesną broń — granaty domowego wyrobu, konspiracyjne karabiny lub strzelby myśliwskie. Cień, w jakim kryli się młodzi obrońcy kraju, był właściwie jedyną ich bronią, jakże niedostateczną! Zresztą, rozumując w ten sposób, należy każdego żołnierza nazwać skrytobójcą, dążeniem bowiem jego jest zawsze osłonić własne stanowisko i pozostać możliwie najdłużej niewidzialnym dla wroga.

ALFONS BRONARSKI

POWRACAJĄCA FALA

HISTORIA nie zna nawrotów w ścisłym słowa znaczeniu, w nieubłaganej swej ewolucji idzie stale naprzód, na drogę raz przebytą nie powraca więcej i nie daje możności wymazania lub naprawienia faktów, które już raz wpisane zostały w księgi przeszłości. Lubi ona jednak stwarzać od czasu do czasu paralelizmy i analogie, rzekłbyś powracająca fala, pozornie tylko ta sama, bo w istocie każdym razem jest ona zasilana dopływem nowych elementów. W historii narodu polskiego mamy dość często tego rodzaju spotkania. Epoka, którą obecnie przeżywamy jest takim właśnie okresem.

Sytuacja obecna Polski pod wielu względami przypomina położenie, w jakim kraj nasz znalazł się w pierwszej połowie XIX w. w szczególności po katastrofie Powstania 1831 r. Jak wtedy tak i dzisiaj Ojczyzna nasza opanowana jest przez obcą przemoc, a znaczna część społeczeństwa polskiego znalazła się poza granicami Kraju — na emigracji. I tak jak przed przeszło stu laty, wychodźtwo to skupiało się na Zachodzie: we Francji i Anglii(w tej ostatniej jednak obecnie znacznie liczniej niż po Powstaniu), w Belgii i Szwajcarii. Czy i jakie nasza emigracja wniesie walory do skarbca narodowego, jaki będzie jej czyn dziejowy, przedwcześnie o tym orzekać, nie wypowiedziała się ona bowiem jeszcze całkowicie. Poprzednia t.zw. Wielka Emigracja, ta sprzed stu lat, nie zostawiła trwałych śladów w dziedzinie politycznej, lecz jej nieśmiertelną zasługą są wiekopomne dzieła twórczości literackiej i artystycznej. Wśród nich dwa utwory nabierają szczególnego znaczenia przez swą aktualność w stosunku do doby dzisiejszej. Są to ‚Księgi Narodu i Pielgrzymstwa polskiego' Mickiewicza (1832) i ‚Anhelli' Słowackiego (1838).

Wiadomo, że obydwa te utwory wynikły bezpośrednio z nastrojów i potrzeb emigracji polskiej popowstaniowej, ściśle biorąc paryskiej, że odźwierciedlają znakomicie jej stan umysłów, pragnienia i nadzieje, a nadewszystko stosunek obu genialnych poetów do niej. Wiemy, że ‚Księgi' znalazły od razu zrozumienie i olbrzymi rozgłos nie tylko wśród Polaków, ale i wśród cudzoziemców, czego dowodem są tłumaczenia ich na prawie wszystkie języki europejskie. Co do ‚Anhellego' przyjęcie było mniej entuzjastyczne, współcześni bowiem nie zrozumieli zrazu głębokiej symboliki poematu. Tym gorętszy był zachwyt następnych generacji, które wniknąwszy w treść utworu i w myśl poety postawiły ‚Anhellego' w rzędzie największych arcydzieł literatury polskiej, a nawet europejskiej. Stwierdzili to zresztą i cudzoziemcy tak wybitni i kompetentni jak Juliusz Zeyer i Jerzy Brandes.

Czytając oba te arcydzieła znajdujemy szereg ciekawych analogii z epoką dzisiejszą. Co więcej: nie jedno z wskazań poetów odnieść możemy do naszej emigracji. Ile tematu do rozważań dają nam n.p. słowa Mickiewicza, które czytamy na wstępie ‚Ksiąg Pielgrzymstwa':

„Duszą Narodu Polskiego jest pielgrzymstwo polskie.

A każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący bez celu.

Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego.

Polak w pielgrzymstwie nie ma jeszcze imienia swego, ale będzie mu to imię potem nadane".

Niemniej sugestywne jest zdanie, które czytamy w „Anhellim", zwrócone do emigracji z 1831 r., której godności nie mógł poeta wymowniej wyrazić:

„Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci co przyjdą, widzieć was będą".

Do wielu członków emigracji dzisiejszej odnieść się dadzą też słowa Mickiewicza: „Pielgrzymie polski, byłeś bogaty; a oto cierpisz ubóstwo i nędzę; abyś poznał co jest ubóstwo i nędza, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są.

„Pielgrzymie, stanowiłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś spod opieki prawa, abyś poznał bezprawie, a gdy wrócisz do kraju, abyś wyrzekł: Cudzoziemcy razem ze mną współprawodawcami są".

„Pielgrzymie, byłeś uczony, a oto nauki, któreś cenił stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył cenisz teraz, abyś poznał co jest nauka świata tego, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Prostaczkowie współuczniami mymi są".

Czy nie nabrzmiałe dzisiejszą aktualnością są słowa Szamana, w ten sposób charakteryzujące w ‚Anhellim' emigrację popowstaniową: „Oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi. Dobrzy by byli z nich ludzie w nieszczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych". Jak bardzo znowu na czasie brzmi uwaga Mickiewicza: „A z was wiecie, iż którzy dobrzy byli senatorowie wasi i posłowie wasi i dowódzcy wasi, tych imperator moskiewski nazywa najwinniejszymi, a których on nazywa najwinniejszymi ci są najszacowniejsi, a których on zamęczy ci będą święci".

Wiadomo jak silne i w wielkiej części niesprawiedliwe krytyki wyraził Mickiewicz w ‚Księgach' w stosunku do t.zw. „mocarstw zachodnich". A jednak, gdyby Mickiewicz **był dzisiaj** napisał ten utwór, zarzuty, sformułowane przed przeszło stu laty, nie byłyby zbyt surowe, lecz raczej chyba za słabe... Wszak i dzisiaj jeszcze zachowała pełne znaczenie i aktualność opowiedziana w rozdziale VII ‚Ksiąg' przypowieść, gdzie mowa jest o mieście, w którym wybuchł pożar. Część zaś mieszkańców, stanąwszy w drzwiach mówiła: „będziemy gasić kiedy ogień do nas przyjdzie", ludzie zaś poczciwi nie mogli tego uczynić, bo ich było za mało. I poeta dodaje: „Miastem owym jest Europa, a ludzie we drzwiach stojący Francuzi i Anglicy, a ludzie poczciwi Polacy". W świetle wypadków, których świadkami jesteśmy przypowieść ta nabiera tragicznej aktualności i życzyć chyba wypada, aby nie nastąpiło to o czym mówi parabola, że miasto zgorzało, a gdy je odbudowano owych co we drzwiach stali z miasta wypędzono.

W innej znów przypowieści nie mniej wymownie poeta mówi o chwili, gdy „Wolność zasiądzie na stolicy świata i będzie sądzić narody. I rzeknie do jednego narodu: oto byłam napastowana od zbójców i wołałam do ciebie, narodzie, o kawał żelaza do obrony, i o garść prochu, a tyś mi dał artykuł gazety.A naród ów odpowie: pani moja, kiedyż wołałaś do mnie? I odpowie Wolność: oto wołałam ustami tych pielgrzymów, a nie słuchaliście mnie, idźcie więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzęst ukazów.

„I rzeknie wolność do drugiego narodu: oto byłam w utrapieniu i w nędzy, i prosiłam ciebie, narodzie, o opiekę prawa i opatrzenie; a tyś na mnie rzucał ordonansami. I odpowie naród: pani moja, kiedyś przychodziła do mnie? I odpowie Wolność: przychodziłam do ciebie w stroju tych pielgrzymów, a tyś mną wzgardził...

Odrzuciły mocarstwa kamień wasz od budowy europejskiej".

I istotnie gdyby mocarstwa zachodnie, pamiętne swych zobowiązań zaciągniętych wobec Polski, nie były odrzuciły tego kamienia — **clef de voûte** europejskiej organizacji politycznej, jak mówił Napoleon — Kontynent nasz nie znajdowałby się w stanie takiego upadku, w jakim się obecnie znajduje.

Potępia więc Mickiewicz — i nikt mu słuszności odmówić nie może — egoizm wielkich mocarstw i, co więcej, machiawelizm w polityce międzynarodowej. Te właśnie zasady uderzyły redaktora najnowszego wydania ‚Ksiąg' w tłumaczeniu francuskim, Ks. Prałata Ch. Journet'a, który we wstępie pisze o tym: „Ce qui fait la grandeur de ces pages, c'est la violence avec laquelle elles protestent contre la conception de la politique séparée de la morale, c'est la force avec laquelle elles affirment, au nom du bonheur méme de l'humanité, les droits de la politique chrétienne. — Mickiewicz a conçu et formulé avec une étonnante puissance la nécessité de renier le 'réalisme' politique de Machiavel..." (A. Mickiewicz: Le Livre des pélerins polonais. Texte présenté par Charles Journet. Coll. Les Classiques de la politique, Ed. Egloff, Paris 1947).

Podawał więc Mickiewicz na ocalenie Europy środek, który uchronić ją mógł od wielu katastrof, i mógłby dziś jeszcze sprowadzić jej odrodzenie, ale którego nie znają politycy nazwani przez Mickiewicza krótko ‚bałwochwalcami', bo i Machiawel jest dla niego, kapłanem Baala, Molocha i Równowagi .

Obok krytyk skierowanych do obcych narodów i państw, wypowiedział Mickiewicz w ‚Księgach' nie mniej surowe i wymowne uwagi zwrócone do własnych rodaków t.j. do emigracji i w tych poglądach znajdujemy dziś pełną zgodność z analogicznymi zarzutami postawionymi nieco później przez Słowackiego w ‚Anhellim'. Jakież to są zarzuty? Pierwszy dotyczy niezgody i kłótliwości. Piętnuje je Mickiewicz w szeregu rozdziałów i na poparcie swych krytyk przytacza aż trzy przypowieści. Najwymowniejsza z nich jest o jamie wilczej, (rozdz. XVI)), do której wpadło kilku podróżnych. W innym miejscu znów mówi (r. X): „Pamiętajcie, że jesteście w pośród cudzoziemców jako trzoda śród wilków i jako obóz w kraju nieprzyjacielskim, a będzie między wami zgoda". „Bądźcie łagodni dla drugich, a dla siebie surowi" — Z niemniejszym naciskiem piętnuje ze swej strony Słowacki brak zgody wśród emigracji. Zrazu wygnańcy zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej. Wnet jednak „kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady, a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny". Aby rozstrzygnąć spór o zasady wymyślili potworny sąd boży, polegający na przetrzymaniu w cierpieniu ukrzyżowanych przedstawicieli każdej z trzech gromad. Przy końcu zaś poematu Aniołowie obwieszczają osamotnionemu po śmierci Ellenai Anhellemu: „Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i

---

Wręcz przeciwnie niż twierdzi p. Giertych, polska armia podziemna, armia krajowa była rycerską. W czasie powstania warszawskiego, na tym i owym odcinku dostało się do niewoli sporo Niemców. Tych samych łotrów, co mordowali kobiety i dzieci, palili rannych. Żaden z nich nie został zamordowany...

Trzęśli się ze strachu. Powtarzali: „Zabijcie nas, ale nie męczcie". Polskie szczeniaki z biało-czerwonymi opaskami, odpowiadały dumnie: My jeńców nie mordujemy! W jednym ze szpitali powstańczych, na zdobytym przez Niemców odcinku, gdy rozwścieczone bestie wpadły podpalać, zabijać, ranny Niemiec krzyczał: „Kameraden! Zostawcie ich! Oni byli dla mnie dobrzy!" — ale ten uczciwy głos nie wstrzymał morderców.

Kraj walczył jedyną bronią i jedyną metodą, jakie były dla niego dostępne. W walce tej wykazał męstwo, inicjatywę, poświęcenie. Wspomnienie łajdaków żerujących na konspiracji, nie może zaćmić piękna epoki pełnej rozpaczy i nadziei, pogardy śmierci, doskonałej obojętności na straty materialne, dumy narodowej, wyegzaltowanego patriotyzmu, wielkości. Cokolwiek by ze strony obcych i swoich mówiono, krakano, pluto i szczuto, i osądzano i wyśmiewano i krytykowano: — to była epoka niezaprzeczonej wielkości.

Zarazem epoka ta była konieczna. Trudno sobie wyobrazić co stało by się z krajem, gdyby pozostał „rozsądny". Gdyby walki nie było wogóle. Gdyby Londyn zamiast przysyłać rozkazy, pieniądze, zrzucać spadochroniarzy, nakazał ciszę, spokój, bierność, czeskie przetrwanie. Niewątpliwie, oszczędziło by to wiele zniszczeń, wiele krwi, ale...

Ale, mimowoli, staje żywo w oczach pierwsze zebranie konspiracyjne, w jakim niżej podpisana miała zaszczyt brać udział, w październiku 39 r. Odbywało się w ruinach domu Związku Osadników przy ul. Myśliwieckiej, w zupełnej ciemności. Przez puste otwory okienne widać było czarne niebo. Schodzono się po omacku, wymieniając szeptem hasło. W ciemności głos niewidocznego człowieka pouczał, że wojna nieskończona, że pierwszy etap walki wypadł niepomyślnie, lecz nie wiadomo, co dalsze przyniosą i że obecni mogą na wynik ich wpłynąć. Mogą i muszą. Jest to ich powinność. — Ogłaszam powszechną mobilizację, mówił — bez granicy wieku. Nie spodziewajcie się z walki ani korzyści, bo to będzie walka śmiertelna, ani sławy, bo nikt o was nie będzie wiedział, ale spełnicie swój obowiązek Polaków...

Mężczyzna przemawiający wówczas, zginął dawno. Nic jednak nie zatrze w pamięci wrażenia, jakie słowa jego wywarły. Przyszli na zebranie sponiewierani, upokorzeni niewolnicy, nieszczęśliwi, załamani, zrozpaczeni. Zabrakło Ojczyzny pod ich stopami, runęło wszystko na głowy i nie mieli po co żyć. A teraz stojąc wyprostowani, słuchali jako żołnierze biorący na siebie cały honor walki za nieobecnych lub poległych, lub pozostających w niewoli. I wierzyli, ufali, podnosili głowy. Gdy pojedyńczo wymykali się z ruin na pogrążone w mroku, owładnięte przez wroga miasto — zdawało im się, że w ciemności dostrzegają blinski świt...

W tetmajerowskim arcydziele „Na Skalnym Podhalu" znajduje się opowiadanie górala, który całe prawie życie spędził w więzieniu austriackim za udział w powstaniu chochołowskim. Udział ten zresztą ograniczył się do dołączenia do oddziału i przemaszerowania z nim kawałka drogi, gdyż wnet potem oddział został zlikwidowany przez Austriaków. Bohater powieści wróciwszy z więzienia stary, schorowany, nie zastaje ani żony, ani dzieci, ani domu. Nie ma nic, jest dziadem, żebrakiem. Ale krótkiej przynależności do powstania nie żałuje „Bo ta kwila — powiada — to beło wszyćko..."

* * *

„Okrutny i krwawy sen" Jędrzeja Giertycha, w oczach uczestników mieni się pięknymi barwami. Zasadniczą cechą tego okresu była jedność — zespolenie całego narodu, prawdziwe, istotne. Dziedzic i chłop, rolnik, fabrykant, sprzedawca, kupujący, żołnierz, dowódca — jedna myśl, jeden cel, jeden duch. Bojownik podziemia był przez Niemców tropiony, ścigany jak dzikie zwierzę, lecz wieleż radosnej siły dawało mu poczucie niezawodnego zaplecza! Domy, ludzie, wszystko mu sprzyjało, chroniło, wspomagało. O, wzruszające wspomnienia wędrówek po kraju, gdy nieznajomy robotnik zapytany, gdzieby można znaleźć nocleg, wskazując ręką gospodę, dodawał poufnie: „Politycznie, ja za nich nie ręczę... Z polityką lepiej ostrożnie... Za to w tamtej chałupie, choć ciasno, ale o wszystkim mówić można... To Polacy murowani..."

Albo piaszczysty, senny mazowiecki trakt. Upał. Po obu stronach sosnowy las. Jedzie gościńcem chłopina szkapiną, wózczyną, obdarty, spłowiały, kudłaty, obojętny. Sądziłbyś, że nie wie nic o walce podziemnej, o walce cywilnej, zna co najwyżej kontyngenty, nałożone przez Niemców na wieś. Jedzie, kiwa się miarowo, biczyskiem nad grzbietem szkapięcia wywija i mruczy coś pod nosem. Ni to śpiewa, ni mamrocze: „Na przystanku żandarmi rewidują... Na przystanku żandarmi rewidują... Na przystanku żandarmi rewidują!.." Jedzie, jedzie, powtarza monotonnie swoją gadkę i niejeden z mijanych przezeń pieszych, albo rowerzystów, wsłucha się w tę powtarzankę, stanie, odkrzyknie: Bóg zapłać gospodarzu! i hulnie w las, by bokami, ścieżkami, ominąć niebezpieczny przystanek pobliskiej kolejki.

... Jedności, kto ciebie nie znał...

Dalsze cechy, to były braterstwo i ludzkość. Tak, panie Jędrzeju. Nigdy i nigdzie nie spotkałbyś pan tyle przejawów dobroci, ofiarności, poświęcenia dla drugich, co w życiu podziemia. Żyłam w tym środowisku długie cztery lata, widziałam, doznałam, stwierdzam. Przytoczę choć jeden przykład, nie wszystkim może czytelnikom znany, epizod dzieci z Zamoyszczyzny.

Zamość w pierwszym roku wojny ofiarowany przez Hitlera Himmlerowi przezwany Himmlerstadt został przeznaczony na bastion S.S-ów, stolicę nowej Marchii wschodniej. Całą ludność miasta oraz kilkudziesięciu wsi okolicznych, wysiedlono z właściwym tego rodzaju operacjom okrucieństwem. Ludność ta przeważnie wymarła z głodu, brudu i chorób w okropnym obozie podzamoyskim, dzieci odebrano rodzicom i miano wywieść do Niemiec. Wszystkie dzieci w wieku od 2 do 14 lat.

A była zima. Jedna z owych srogich, okupacyjnych zim, gdy mróz utrzymywał się stale poniżej 20 stopni. Pierwszy pociąg wiozący dzieci w zaplombowanych wozach, przejechał przez Warszawę zatrzymując się zaledwie godzinę. Obstawiony był wartą nie pozwalającą zbliżyć się nikomu, niemniej kolejarze warszawscy zdołali doń dotrzeć i sprawdzić, że oszronione wagony wypełnione są **trupami zamarzniętych dzieci.** Z około tysiąca niewiniątek, nie żyło żadne. Ze stosów sztywnych ciałeczek nie wydobywał się ani jeden jęk. Pociąg trumna pojechał dalej ku któremuś z krematoriów, a kolejarze zaalarmowali miasto. Zarazem kolejarze lubelscy dali znać kolegom, że następny transport wyrusza z Zamościa tejże nocy. I wtedy zaszedł fakt jedyny w swoim rodzaju. Bez niczy-

będąc wściekli od krwi ludzkiej, a ty jesteś ostatni".

I znowu nasuwa się pytanie czy nie można **mutatis mutandis** odnieść krytyk obu naszych wieszczów i do naszych czasów? Niestety, więcej niż prawdopodobną jest rzeczą, że gdyby obaj wielcy poeci powstali dziś z grobu i znaleźli się wśród naszej emigracji, odezwaliby się niejednokrotnie do niej słowami Szamana: „Bądźcie potępieni kłótliwi ludzie. Dlaczegożeście nie słuchali rad moich i nie żyli jak przystoi na ludzi, którzy nie mają Ojczyzny?".

Inne zarzuty zgodnie przez Mickiewicza i Słowackiego podniesione dotyczą: pijaństwa i obżarstwa, gadatliwości, obmowy i oszczerstwa. Być może, że gorsze w porównaniu z epoką popowstaniową warunki materialne istniejące wśród dzisiejszej emigracji i społeczeństw, u których znalazła schronienie, ustrzegły ją przed dwoma pierwszymi z wymienionych zarzutów. Zdaje się też, że naogół biorąc emigracja dzisiejsza postępuje według wskazówek, wyrażonych w ‚Księgach' przez Mickiewicza, aby zachować prostotę w ubiorach i zadawalać się ‚żołnierskim mieszkaniem'. O ile jednak chodzi o dalsze zarzuty trudno powiedzieć, aby nie stosowały się one i do naszego wychodźtwa. Ostrzeżenie Mickiewicza: „Nie krzyczcie: oto na tym człowieku taka plama jest, muszę ją pokazać, oto ten człowiek popełnił taki a taki występek" pełne jest aktualności, podobnie jak i to zdanie: „Strzeżcie się w pielgrzymstwie utyskiwania i narzekania. Grzechy to są". Niepozbawione aktualności są też zarzuty Szamana o nadużywaniu prawa gościnności przez emigrację, oraz energiczne potępienie wszelkiego defetyzmu, wyrażone przez Mickiewicza w słowach: „i między wami trafiają się ludzie zaraźliwi, to jest źli Polacy; od tych uciekajcie, bo nad trąd zaraźliwsza choroba ich. — Człowiek zaraźliwy nie wierzy w zmartwychwstanie Polski..." „bo przeciwko Ojczyźnie można ciężko grzeszyć mową i myślą".

We wszystkich tych wskazaniach tkwią głębokie i trwałe walory etyczne, wykazujące szczególnie swą żywotność w okresach przełomowych i kryzysowych jak obecne.

Zwróciliśmy uwagę na zgodność krytycznych sądów Mickiewicza i Słowackiego w stosunku do emigracji. Są to jednak jedyne styczne punkty, o ile chodzi o treść omawianych utworów. Poza tym bowiem wyrażają one biegunowo przeciwne poglądy. ‚Anhelli', jest, jak wiadomo, repliką daną przez Słowackiego Mickiewiczowi i jego „Księgom", genetycznie wiąże się więc z historią ‚antagonizmu wieszczów', datującego się od czasu pojawienia się ‚Dziadów' i ‚Kordiana'.

Nie łatwą było rzeczą wniknąć poprzez subtelną symbolikę najbardziej eterycznego z poematów Słowackiego w filozofię ‚Anhellego' i wyłowić przewodnią myśl autora. Już Małecki skarżył się na niezrozumiałość, pisząc, w r. 1866, w swym podstawowym dziele o Słowackim: „Nie wiem czy jest, czy był kto dotąd szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w nim (w Anhellim) na wskroś przeniknął cały autora zamiar". Od tego czasu, badania uczonych jak Hoesick, Ujejski i Kleiner pozwoliły znaleźć klucz do tego arcydzieła, jednego z najbardziej niematerialnych poematów literatury światowej, i wniknąć w tajniki „anhellizmu". Wiemy dzisiaj napewno, co poeta chciał w nim wyrazić: Potępiając zasadniczo wybuch Powstania, nie mającego widoków powodzenia, uważając, że generacja romantyczna, współczesna poecie, nie była i nie jest zdolną do czynu zbrojnego, widział możność odrodzenia Narodu i przyszłej odbudowy Polski, w biernej ofierze złożonej przez tę właśnie generację, a specjalnie przez Anhellego, najdoskonalszego jej reprezentanta, w którym siebie zresztą przedstawił. Przez ogrom cierpienia zniesionego w spokoju i rezygnacji i stanowiącego ekspijację i oczyszczenie duszy Narodu, ma Anhelli i jego generacja umożliwić następnym pokoleniom dokonanie dzieła odbudowy Kraju. A cierpienia te są istotnie nadludzkie. Czy można sobie wyobrazić kogoś bardziej nieszczęśliwego jak Anhelli, osamotniony, wśród lodów Syberii, pozostawiony sam sobie, wśród nocy syberyjskiej, nie mający nawet pewności, czy ofiara jego przyda się na co. I Dante nie wymyśliłby większych katuszy. Odkupi jednak „Anhelli" Polskę, nie napróżno dał mu poeta Chrystusową postać. Odkupienie to zaś nastąpi w chwili powszechnej rewolucji, kiedy zmartwychwstaną narody i „lud przeważy". Bierna ofiara! Tak interpretował „Anhellego" już Krasiński, kiedy pisał do Gaszyńskiego z Wenecji 1838 roku: „Anhelli to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają".

Akcję poematu, o ile wogóle o niej może być mowa w utworze tak subtelnym, i niematerialnym, umieścił poeta na Syberii, nadając jednak temu pojęciu zakres znacznie szerszy. Przez Sybir rozumie on całą Polskę, łącznie nawet z emigracją. Jeżeli koncepcja tego rodzaju wydawać się może zbyt śmiałą i fantastyczną, przyznać należy, że odpowiada ona lepiej dzisiejszej rzeczywistości, niż realnym stosunkom w okresie popowstaniowym. Wszak dzisiaj granica między Polską i Rosją nie mniej jest problematyczna, niż za czasów carskich, co zaś do emigracji żyje ona pod okiem Moskwy, o wiele więcej niż Wielka Emigracja z 1831 roku.

Pesymizm Słowackiego co do zdolności do czynu generacji epoki romantycznej byłby dzisiaj może nie na miejscu w stosunku do generacji obecnej, która odegrać może jeszcze czynną rolę w ukształtowaniu się losów Narodu. Jest jednak wielce prawdopodobne, że obecne pokolenie okupuje swymi cierpieniami lepszą przyszłość Narodowi, że do pewnego stopnia „męka nasza może być odkupieniem" i przygotować lepszy byt pokoleniom przyszłym.

Nie tutaj miejsce omawiać zarzuty podniesione w „Anhellim" przeciw Mickiewiczowi, zarzuty zgoła nieusprawiedliwione, pomawiające wielkiego poetę o usypianie woli w Narodzie przez swój mistycyzm, podczas gdy sąd ten właśnie odnieść można do Słowackiego, który nigdy nie był człowiekiem czynu jak nie mógł nim być jego Anhelli. Co raczej podkreślić należy, to subtelne rozróżnienie poety między melancholią ze słabości, (którą błędnie przypisywał Mickiewiczowi) i melancholią z mocy (którą nie mniej błędnie sobie przyznawał). Rozróżnienie to ma jednak dla nas, dzisiejszych ludzi, niemałe znaczenie. „Melancholia" nasza jest usprawiedliwiona, mamy aż nadto wiele do tego powodów, ale winna ona być z mocy, „skrzydłami ludzi wysokich" a nie „kamieniem ludzi topiących się". Przede wszystkim nie powinniśmy tracić nadziei i zapominać słów poety: „Ale miejcie nadzieję, bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je, ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych".

Żyjemy w epoce raczej nieromantycznej, wyrażone w ‚Księgach' poglądy Mickiewicza o mesjanistycznych zadaniach emigracji, apostolskim powołaniu tejże nie znajdują echa w naszej emigracji, podobnie jak nie trafiają nam do przekonania zapewnienia Słowackiego o Chrystusowej misji Anhellego „opętanego przez Anioła". Ale wiemy, że Mickiewicza poglądy nie straciły nic ze swej wartości, kiedy poeta żąda od emigracji, aby była „duszą Narodu polskiego", kiedy wzywa do ciągłego wysiłku i doskonalenia się, wobec wielkich zadań, jakie ją czekają, i nadziei, jakie na niej reszta Narodu pokłada. Wzrusza nas i przekonywa głęboka wiara poety, kiedy mówi: „Przetoż wy zaczynajcie radę i zmowę obyczajem przodków, idąc na Mszę i do Komunii, a co wtenczas uradzicie mądre będzie". Nikt z nas nie wątpi w prawdę słów Mickiewicza, że „cywilizacja prawdziwa, godna człowieka, musi być chrześcijańska", że „świat pokłada nadzieję na narodach wierzących, pełnych miłości i nadziei", że „wy powołani jesteście, abyście powrócili w Kraju waszym i w całym Chrześcijaństwie urząd i naukę". Wierzymy Słowackiemu, kiedy mówi: „Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje, bo jest czas żywota dla ludzi silnych". Nade wszystko zdajemy sobie sprawę, że my na emigracji winniśmy razem z Szamanem być stróżami Narodowego Znicza i strzec świętości tradycji narodowych, usymbolizowanych w „Anhellim" w przejętej z Dantego cudownej jabłoni, której owoce Szaman, zanim wróg zdołał z nich wziąć dziesięcinę, zamienia w gwiazdy nietykalne dla niego.

Zapewne możnaby się dopatrzeć w końcowej scenie „Anhellego" zapowiedzi dzisiejszej Polski, w której „lud przeważa". Nie o takiej jednak Polsce marzył Słowacki, bo brak w niej właśnie — jak dotąd — owej jabłoni obwieszonej gwiazdami. Polska, którą miał na myśli, to tylko taka, o jakiej czytamy w głośnym liście Kardynała Sapiehy i Ks. Prymasa Wyszyńskiego: „Polska będzie prawdziwie ludowa, sprawiedliwa i miłująca swych obywateli, jeśli nie będzie gwałcić ich sumień i skończy walkę z Bogiem".

Alfons Bronarski

BEATA OBERTYŃSKA

Kiedyś

Co po mnie kiedyś tu zostanie, gdy czas mnie śmierci wyswata?
Nic.. Puste miejsce, które zapłynie dech żywy wielkiego świata..

Czego mi będzie żal najbardziej, gdy spojrzę wstecz z Tamtej Strony?
Tej nie namianej — tej niedopitej — piękności rzeczy stworzonych.

A wdzięczność — za co — razem ze mną ów Most Tajemny przekroczy?
Za te niesyte, nienacieszone, te widzieć mogące oczy..

A — jako radość mi największa — co stąd w pamięci zostanie?
To całe moje — pożal się Boże — to całe moje pisanie..

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

Nurt

Chowałem się zdala od rzeki,
w morzu pszenic, w oceanie traw,
sadu nie było — niebo pachniało miekiem,
wieczorem bydło piło staw.

A deszcze nie pomogą na tęsknotę za wodą,
trzeba było bez strumienia tyle lat,
za pługami jesienią ziemię widać od spodu
buraczany, kartoflany świat.

Chodziłem nieszczęśliwy pod wiatr po oziminach
i szukałem, chciałem trafić na ślad —
moja wina, rodzice, to moja wielka wina,
wiedzą o tym i siostry, wie i brat.

Nie znałem tej rzeki,
co wiedzie w kraj daleki,
co płynie rozhukana jak ta krew,
nie znalazłem przy dworze,
Nie znalazłem i w borze.....
Byłem w borze, nie widziałem drzew.

jego rozkazu, samorzutnie, odruchowo, cała stolica ruszyła na dworzec, by odbić dzieci i zabrać do domów. Zamknięto sklepy, przekupki porzuciły stragany, opustoszały warsztaty. Restauratorzy zamknęli swoje jadłodajnie, fryzjerzy zakłady. Kilkodziesięciotysięczny tłum obległ Warszawę Wschodnią, Warszawę Zachodnią i dworzec towarowy w Szczęśliwicach. W tłumie tym przeważały kobiety, każda z węzełkiem ciepłych szmat, butelką mleka, nierzadko zupą w garnuszku dla nakarmienia oczekiwanych. Postawa tego tłumu matek współczujących innym matkom była groźna, nowe fale napływały nieustannie ze śródmieścia i Niemcy szaleli z wściekłości. Jak zwykle wobec wypadku nieprzewidzianego, potracili głowy. Zaklinali przez megafon tłum by się rozszedł, zapewniali, że żaden pociąg z dziećmi nie został wysłany, że to wszystko nieprawda. Nikt im nie wierzył. Grozili, że poczną strzelać. Nikt się nie poruszył. Nareszcie zatrzymali pociąg w Garwolinie o dwie godziny drogi przed Warszawą i tam nawpół żywe z mrozu dzieci wyładowano.

Niemniej wymowną była akcja ratowania Żydów, wciąż niedoceniana, przemilczana lub nieznana. Najniebezpieczniejsze i najmniej wdzięczne zadanie konspiracyjne, przeprowadzone do końca. Gdyby nie pomoc i poświęcenie Polaków, ani jeden Żyd nie zostałby żywy na ziemiach polskich. Oczywiście, że i tutaj zdarzały się szakale wykorzystujące tragedię żydowską, lecz ogół społeczeństwa narażał życie własne oraz swych rodzin, bezinteresownie, z czystej miłości bliźniego. Rzecz charakterystyczna, ci co przed wojną nawoływali najzapalczywiej do bezwzględnej walki z Żydami, przodowali w tym dziele pomocy i powszechnie znane było powiedzonko: „Każdy Polak w Generalnej Gubernii ma swojego Żyda, prócz endeka i oenerowca, którzy mają po dwóch Żydów".

A pomoc rodzinom rozstrzelanych, rodzinom więźniów, Opieka nad więźniami! Słowo „Pawiak" pozostało we wspomnieniu nietylko jako symbol śmierci i przemocy, lecz symbol braterstwa i narodowej wspólnoty. Każdy, kto się dostał w te nasiąkłe krwią mury, korzystał z czujnej, ofiarnej pomocy społeczeństwa, dostarczającego mu „grypsy", lekarstwa, pożywienie. Nawet gdy był osadzony w „izolatce", umiano do niego trafić z zastrzykiem i dobrym słowem. P. Giertych ma słuszność, mówiąc, że każdy akt podziemny wymagał wspólnictwa długiego łańcucha ludzi, jednako narażonych, jednako zainteresowanych losem nieznanego im więźnia, gdyż więzień ten był Polakiem, a to wtedy wystarczało...

Co do sprawy trucizny miałam okazję na tych samych łamach wypowiedzieć, jaki był stosunek katolickiego społeczeństwa do tej sprawy. Tamże wymieniałam bez ogródek, wiele przerostów i błędów konspiracyjnych, szczególnie jaskrawych w ostatnim okresie podziemia. Nie będę ich zatem powtórnie przytaczać. Bo winy były, wielkie winy i błędy były, lecz chodzi o słuszne szale i o sąd sprawiedliwy, a nie jednostronny.

Jakim sposobem wybitny publicysta, pisarz o tak szlachetnej tonacji jak Jędrzej Giertych, mógł popełnić równie krzywdzącą pomyłkę? Przyczyna zdaje się tkwić w tym, że p. Giertych, jak sam pisze, bawił w kraju krótko i to w r. 1945, a więc w okresie likwidacji podziemia i sporządzania bilansu minionych czterech lat. Bilans ten był niewesoły. Warszawa nie istniała i wielu mniemało, że nigdy już nie powstanie. Najlepsza, najszlachetniejsza młodzież poległa. Bohaterowie nie żyli, za to wyroili się masowo szabrownicy. Łobuzy i rzezimieszki podszywali się pod żołnierzy A.K. prezentując legitymacje zrabowane zmarłym. „Las" partyzancki przekształcił się w las bandycki. Chwalebna gloria znikła, pozostały z niej czady snujące się nad ziemią. Był to okres powszechnego załamania, żalu do siebie i drugich, zajadłej, samobiczującej krytyki. I wśród podobnego nastroju, przybyszowi nie znającemu poprzednich lat konspiracji, mogło się zdawać, że szkaradne nadużycia stanowiły treść podziemia.

Zaprawdę, z ogromną ostrożnością i wielkim szcunkiem należy podchodzić do tej epoki, niepodobnej do żadnej innej i której prawdziwie pojąć nie zdoła nikt, kto jej nie przeżył. Dopóki historia nie wypowie swego sądu, należy jej się przynajmniej — cisza. W niezliczonych mogiłach śpią gromadnie polegli, których zasadniczą cechą była młodość i którym nie śniło się nigdy, że Polak, rodak, nazwie ich kiedyś „zdziczałymi mordercami". Przeciwnie, ginąc wierzyli, że zasłużyli się dobrze Ojczyźnie i że dusze ich powiedzie do Nieba św. Barbara, Patronka Podziemia.

Zofia Kossak

ALEKSANDRA POLESKA

MIŁOŚĆ ZIEMSKA I NIEBIESKA

CZYLI WYPRACOWANIE NA ZADANY TEMAT

ANGLICY, którzy mają na kontynencie opinię narodu nieinteligentnego, poprzez wieki spokojnego rozkoszowania się literaturą wyrobili sobie upodobanie do t. zw. smaczków literackich. Polacy nie mogą im ciągle wybaczyć, że zainteresowania ich leżą raczej w konstrukcji dzieła niż w jego treści, podczas, gdy dla nas często, jeśli nie zawsze zagadnienie „o co w tej książce chodzi“ ma większe znaczenie, niż „jak to zostało pokazane“. Rodzimi krytyty chętniej oceniają książkę z moralnego, niż literackiego punktu widzenia. Taką postawę do spraw artystycznych można by nazwać „romantyczną“ (jakoś w żadnej dziedzinie nie możemy się oderwać od tego słowa) nasi zaś gospodarze odznaczają się skłonnościami „klasycznymi“.

Oba te terminy nie mają nic wspólnego z podobnymi określeniami, odnoszącymi się do pewnych okresów z historii literatury. Tutaj chodzi o zasadniczą postawę do życia i jego spraw najważniejszych — problemów kultury i sztuki. Pisarze „romantyczni“ i czytelnicy, których można by obdarzyć tym samym przymiotnikiem — interesują się więcej t e m a t e m dzieła niż jego f o r m ą. Taki autor cały wysiłek wkłada w to, aby wymyślić nową fabułę, nieznane dotychczas zdarzenie psychiczne czy stan psychiczny, a czytelnik, aby prędzej pochłonąć akcję. W sztuce pojętej „klasycznie“ historia może być stara jak świat — sposób jej opowiedzenia musi być całkowicie świeży i nowy.

Ktoś zauważył dowcipnie, że właściwą założycielką „romantycznej“ szkoły pisania była Szeherezada. Biada nieszczęsnej, gdyby co noc nie opowiedziała sułtanowi nowej bajki — straciłaby swą piękną głowę, a my nie mielibyśmy baśni z tysiąca i jednej nocy... Po Szeherezadzie wielu ludzi wybierało ten sam sposób opowiadania — żeby tylko wspomnieć dwóch poważnych (w sensie artystycznym) autorów — Dickensa i Maupassanta. Z drugiej strony typowymi przedstawicielami szkoły „klasycznej“ są Szekspir i Goethe — żaden z nich nie przejmował się tym, że przywłaszcza sobie legendę ludową lub też zapomniany romans włoski. Ale największe rekordy zaniedbania pod tym względem pobili starożytni. — Sofokles brał po prostu wątek, znany od dziecka każdemu, nawet najmniej wykształconemu mieszkańcowi Grecji, np. historię króla Edypa, i na nim budował tragedię, opartą wyłącznie o c h a r a k t e r bohatera. Nie przejmując się tym, że posądzony będzie o brak inwencji, cały swój wysiłek koncentrował na tym, aby dobrze znana treść wypełniła się czymś nowym, niespodziewanym, aby widzom na moment zabrakło tchu z przerażenia... Nie jest wykluczone, jak twierdzą niektórzy krytycy, że naumyślnie wybierał popularne zdarzenia, aby ludzie mogli swobodnie śledzić głębię psychologiczną zamiast rozpraszać uwagę na nic nie znaczących szczegółach.

Obie szkoły pisarskie mają oczywiście swoich geniuszów i swoją rację istnienia. Według starego określenia: „tous les genres sont bons, hors le genre ennuyeux“ — każdy sposób jest dobry, byle nie był nudny. W muzyce ta różnica pomiędzy nastawieniem klasycznym, a romantycznym wybija się jeszcze wyraźniej. Jeżeli odbiorca słucha muzyki wyłącznie poto, aby rozkoszować się „melodią“, to takie nastawienie jest typowo romantyczne. Natomiast bardziej wyrobiony słuchacz całą uwagę skupi na tym, jak melodia, czyli temat muzyczny został rozprowadzony przez zręczne przetworzenia, harmonię i barwy. Pierwszy dozna być może spontanicznej przyjemności podczas gdy drugi tracąc odrobinę z tej spontaniczności będzie miał więcej satysfakcji intelektualnej. Najbardziej klasycznymi utworami muzycznymi są fuga i sonata (a w orkiestrze symfonia) — te „najmniej melodyjne“ w znaczeniu popularnym. Tutaj artysta ten sam wątek pokazuje w różnych kombinacjach — fantazjując trochę, można by powiedzieć, że przez wyszukiwanie coraz to nowych sposobów interpretacji tematu — artysta uchwycił samą istotę życia — wielość i złożoność zjawisk pozornie prostych. Wyrobiony i subtelny słuchacz przeżyje taki sam wstrząs, jak przy czytaniu dobrze znanej historii, ale opowiedzianej tak, że otwiera okno na nowy zupełnie świat.

Tak się dziwnie złożyło, że pisarze polscy należą w większości do szkoły „romantycznej“, angielscy zaś w przeważającej ilości do szkoły „klasycznej“.

Skutki praktyczne tego rozwiązania? Gdy u szerszej publiczności polskiej nie znajdujemy prawie żadnego zainteresowania zagadnieniami warsztatu pisarskiego — to w tym kraju istnieje olbrzymie zamiłowanie do wykrywania tajemnic techniki, do eksperymentów na ten temat, żartów i intelektualnych rozrywek. Wydawcy i krytycy często bywają inspiratorami w tej dziedzinie i tak John Fothergill wpadł przed wojną na pomysł, aby szeregowi znanych autorów podsunąć gotowy temat z prośbą o napisanie noweli, nieprzekraczającej pewnej ilości słów. Osnowa miała być następująca:

„Pewien młody mężczyzna koresponduje z nieznajomą i ta wymiana listów daje mu wytchnienie od prozy życia. Później poznaje jakąś panią, żeni się z nią i zapomina o swej tajemniczej korespondentce. Przez jakiś czas jest szczęśliwy, potem następuje przesyt i rozczarowanie. Wtedy podejmuje znów korespondencję i dopiero przypadek wykrywa, że pisywał do własnej żony“.

Trudność skonstruowania takiej noweli widoczne są na pierwszy rzut oka: jak obiec w ciało tak niby prostą, a właściwie skomplikowaną treść? Jak uniknąć banału sytuacyjnego? W jaką psychikę wyposażyć bohaterów, by wydawali się ludźmi z krwi i kości, a nie manekinami? Zaiste największym wrogiem autora jest jego wydawca! Komu innemu mogłaby wpaść do głowy treść tak obłędnie trudna, zaledwie trzymająca się gruntu nad otchłanią nieprawdopodobieństwa? Anglicy nie lubią się cofać przed trudnościami — przynajmniej w dziedzinie literatury — spośród tych, co nadesłali odpowiedzi, znajdujemy nazwiska takie jak Elizabeth Bowen, G. K. Chesterton, Storm Jameson, Sheila Kaye-Smith, Margaret Kennedy, Frank Swinnerton i Rebecca West. Jednak wielu zdolnych nawet autorów nie podołało zadaniu — właściwie dwóch tylko wyszło z sytuacji obronną ręką: — L. A. G. Strong, który dał obraz współczesnego życia, przejmujący w swym nagim realiźmie, i G. K. Chesterton, który stworzył rzecz o fantastyczno-groteskowym zabarwieniu. Oto jak rozwija swoją nowelę Strong, nazwawszy ją trafnie „Kwartetem na dwa głosy“:

W niezmierzonej, kosmicznej niemal pustce wielkiego Londynu błąka się dwoje młodych ludzi, on i ona. Oboje marzą o wielkiej miłości, ale ich serca są zbyt małe i kończy się na trywialnym romansie i domowych niesnaskach. Najpierw wydawało się, że potrafią zniknąć z oczu znajomym oraz rodzinie i ukryć swoją „grzeszną miłość“ przed światem stwarzając idealny dom, gdzie ludzie nie mają dostępu. Jednak rzeczywistość jest silniejsza od marzeń: wytęskniona towarzyszka przeobraziła się na codzień w natrętną samicę, a natchniony poeta w mizernego kochanka, zdręczonego brakiem pieniędzy i kataram. Pierwszy ucieka mężczyzna od nieznośnej atmosfery, aby w ciszy gabinetu pisać listy do „Lenory“, subtelnej nieznajomej, z którą korespondował kiedyś za pośrednictwem agencji matrymonialnej. I tak pisują do siebie płomienne listy z dwóch sąsiednich pokojów, nie wiedząc, kto jest właściwym adresatem.

"G.K.C."

Rys. specjalnie dla ŻYCIA: HILL

GILBERT KEITH CHESTERTON

Aż pewnego poranku piorun z jasnego nieba: poczta przynosi dwa listy równocześnie w identycznych kopertach agencji! Dziewczyna pierwsza domyśla się prawdy:

— Vivian, to ty? Ten rycerski kochanek, drżący z niecierpliwości, aby mnie porwać w ramiona? Ha, ha, ha!

Ten śmiech wprawia go w szał wściekłości:

— Ty, Lenora? Niewinna, niedoświadczona dziewczyna, nie śmiejąca napisać słowa „miłość“? Ha, ha, ha!

Następuje burzliwa scena, po której powinni odejść od siebie, ale siła przyzwyczajenia i lęk przed pustką jest jeszcze silniejszy teraz, gdy rozwiała się iluzja romansu czekającego tuż za progiem. I zostają ze sobą, aby codzień zagryzać się na śmierć, niezdolni do wyrwania się z zaklętego koła, do którego wtrąciła ich niecierpliwa żądza przeżyć za każdą cenę. W genialnym skrócie pokazuje tu autor całą szarzyznę współczesności, bankructwo życia „utility“, gdzie wszystko wolno, gdzie nie ma żadnych pęt ani hamulców, ale gdzie właśnie ich brak stwarza tak bezgraniczną nudę, iż ludzie muszą się ranić do krwi, aby wogóle czuć swe istnienie.

Gilbert Keith Chesterton widział świat zupełnie inaczej. Z pogodą mędrca — co po ścieżce katolicyzmu doszedł do łagodnego zrozumienia rzeczywistości, a który równocześnie nic nie stracił z dziecięcej świeżości zdziwienia — nazwał swoje opowiadanie z jakże charakterystyczną pokorą: „Gdzie rozum nie sięga“.

Akcja toczy się w Ameryce. Znać wymagana treść wydała się wielkiemu artyście zbyt prostą, aby można ją wtłoczyć w ramy stosunków angielskich. Natomiast Ameryka, której naiwny idealizm i świeżość reagowania podziwiał głęboko (w tym samym stopniu co nienawidził angielskiej wyschłości uczuciowej) stanowiła dobrą scenę do niezwykłej historii. W tej Ameryce wszystko się zdarzyć może!

Opowiadanie zaczyna Chesterton akcentem wspaniałej satyry na wielki kapitalizm. W miasteczku Bison City, U. S. A., grupa lokalnych businessmanów spożywa razem obiad. Rozmowa, oczywiście o interesach, bo Amerykanie „posiadają tę szlachetność, która pozwala im kochać nawet te pieniądze, które do nich nie należą“, osłonięta jest hipokryzją, każdy z milionerów udaje, że nie chce osobistego wzbogacenia się a tylko dobra ludzkości... Sypią się mowy. Wreszcie zmuszają do zabrania głosu najbogatszego człowieka okolicy. John Crake wstaje z ponurą twarzą i powiada tak:

„— Dżentelmeni, przyszliśmy tu poto, aby się wzajemnie okłamywać i ja też zacząłem od największego kłamstwa, nazywając was dżentelmenami. Oszukujemy się wzajemnie w interesach, ale nie pojmuję, dlaczego mamy to samo czynić podczas obiadu. Każdy wie, że chodzi o zysk, a nie o ideały. Kto dba o ideały? Nie ja!“

Po tym incydencie Crake otrzymał całą paczkę listów, przeważnie wyrażających oburzenie moralne spowodu jego wybuchu i zalecających „trochę spirytualizmu“, jako antidotum na cynizm. Ale jeden był na inną nutę: przyznawał mu rację!

„— Coś trzeba zrobić, aby ludzie przestali się wzajemnie okłamywać... Odwaga dziś znaczy jedynie gotowość do ryzykowania cudzym dobrem... Jeśli nie potrafimy się wyzwolić z więzów tego koszmaru, stracimy resztkę tego życia wewnętrznego, jakie posiadamy...“

Crake czytał list i zdawało mu się, że czyta własny pamiętnik. Anonimowa autorka zdaje się znać go lepiej, niż on sam siebie... Wie nawet to, czego Crake zaledwie się domyśla: że dlatego tak nie cierpi ideałów, bo sam jest niepoprawnym idealistą...

Korespondencja ciągnęła się przez długi czas, ale Crake nigdy nie starał się odszukać tej, co wyleczyła go swym wpływem z pogardy dla codzienności i nauczyła patrzeć na świat radosnymi oczyma. Życie wyglądało teraz inaczej, jakby widziane poraz pierwszy... Aż kiedyś w czasie przechadzki ujrzał Crake rudowłosą dziewczynę, co w podmiejskim ogrodzie, jak Don Kiszot z wiatrakami, walczyła z bielizną rozwieszoną na wietrze...

Po ślubie z rudowłosą Mary — Crake wycofał się z interesów i zamieszkał na farmie. Korespondencja z nieznajomą urwała się. Przeszło wiele lat spokojnych, pełnych po brzegi swobodnego szczęścia. Pewnego dnia jednak Crake obudził się ze świadomością, że coś się zaczyna psuć. Kochał ciągle swoją żonę, ale zabrakło nagle owej subtelnej wymiany myśli, czegoś nieoczekiwanego niezwykłego, chociażby codziennego wyczekiwania na listonosza... Crake odszukał adres nieznajomej, napisał do niej kilka słów i wyszedł, aby wrzucić list do skrzynki.

Na szerokiej, amerykańskiej drodze natknął się na swego dawnego sekretarza, który pomny na zastarzałe urazy, chciał go już dawno poróżnić z Mary. I teraz, widząc list w ręku Crake, szepnął mu jadowicie, że żona jego przechowuje listy obcego mężczyzny. Blady z wściekłości Crake wbiegł spowrotem do domu i zastał Mary pochyloną nad biurkiem.

— Od kogo dostałaś list? — pyta w pasji.

— A to do kogo? — odpowiada żona wskazując na list, który ciągle jeszcze trzymał w ręku, a potem dodaje rozkazującym tonem:

— Daj mi go!

— Dlaczego miałbym ci go dać? — Crake jest już na moment przed wybuchem.

— On, dlatego tylko, że jest do mnie zaadresowany!...

I Chesterton pamiętając zawsze, że drobne i nic nieznaczące sprawy nabierają ważności dopiero wtedy, gdy spojrzeć na nie z perspektywy wieczności, kończy nowelę paradoksem, podobnie jak poeta posługuje się metaforą, gdy chce w skrócie wyrazić rzeczy niewyrażalne:

„Z tej krótkiej historii można wysnuć conajmniej 37 morałów. Jeden z nich brzmi tak: jedynie ten, kto obszedł cały świat, trafi najpewniej do swego domu. Tam bowiem, gdzie kończy się wszelka mądrość ludzka, zaczyna się życie. Ongiś sam Bóg pochylił głowę, aby wejść przez niskie drzwi w godzinie, kiedy Słowo stało się Ciałem“.

Aleksandra Poleska

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

ŚLUB SPADOCHRONIARZA

Sfrunąłem, ptak ognisty,
na skrzydłach spadochronu —
i łowiły mnie gwizdy
kul i ręce plutonów.
Ja, piorun — lasy paliłem,
Serafin — kruszyłem wieże,
i oto mój żagiel leży
u boku twego, miła.
Noc objęła nas piękna
z księżycem, stojącym w oknie.
— Chodź! — pociągnęłaś mnie wzrokiem
jak miękką dłonią za rękaw
Kamienną nawą idziemy
pod sklepieniem z organów.
Masz gwiazdki w ślubnym welonie
z mojej baretki za rany.
A z kościoła prosto w obłok
wzleciałem zachwycony —
i lecę z tobą gołąbko
w sukni ze spadochronu.

CANTO 15

Chleb świętojański w strąkach potu...
Jedz go, dziewczyno. W lokach lnianych
niebo, jak dwa kolczyki złote
i jak pragnienie wiatr, przed Panem
klęczący zwartym żywopłotem.
Bywaj, słoneczna pomarańczo!
U kolan cykadami tańczą
promyki — dzieci roześmiane.

W godzinie świateł wielorakich
hełm tropikalny noś, a wtedy
oczy zasłoni cień rozwagi
jak czarczaf, który twarz kobiety
ukrywa przed promieniem nagłym.
Schowaj w tym cieniu jak w szkatule
urok spojrzenia, aby czule
powitać nową Ziemię Świętą.

WIT TARNAWSKI

PIONIER KATOLICKIEJ POWIEŚCI

ZNAMIENNYM zjawiskiem dla obecnych czasów chaosu i przełomu jest to, że powieściopisarze katoliccy wybijają się zarówno tematyką swoją jak i talentami na czoło twórczości powieściowej w wielu krajach Europy. W Anglii wystarczy wymienić Grahama Greene'a, Evelyna Waugh'a Bruce'a Marshalla; w Polsce Gołubiewa, Żukrowskiego, Kisielewskiego, Dobraczyńskiego, Zawieyskiego; we Francji choćby François Mauriac'a, Daniel-Ropsa i nieżyjącego już Bernanosa.

Tutaj pragnę dać zwięzłą sylwetę Mauriac'a jako tego, który pierwszy wyrąbał drogę i zdobył powszechny szacunek dla powieści katolickiej w XX wieku i któremu zawdzięczamy samą nazwę katolickiego powieściopisarza. Warto zaznaczyć, że Mauriac zaczyna budzić coraz większe zainteresowanie w Anglii, może dlatego, że jest on pod wieloma względami bliski głośnemu Greene'owi. W ostatnich dwu latach wyszedł tu szereg jego dzieł w doskonałych przekładach, a literacka krytyka angielska poświęciła im entuzjastyczne sprawozdania.

Postać Mauriaca jest ciekawa i ważna nie tylko dlatego, że idzie o pisarza największej miary, ale że zagadnienia jakie postawił w swej pionierskiej twórczości jak i bezdroża, po których się błąkał, odnajdujemy potem w przeróżnych odmianach u innych twórców katolickich.

Świat wizji Mauriac'a nie bywa pogodny, ani spokojny i nie darzy spokojem. Świat ten nie wydaje się nawet dla wszystkich bezpieczny. Na wielkim pisarzu-prekursorze potwierdza się odrazu i ze szczególną siłą zasada, że najgłębsze dramaty chrześcijaństwa i popęd do artystycznego ich przedstawienia nie rodzą się w duszach zrównoważonych i ukojonych. Można by rzec, że wielu z tych pisarzy szuka i znajduje Boga — bo nie ma dla nich gdzieindziej ratunku.

Ale może nikt z pośród nich — jak zobaczymy dalej — nie przebył drogi równie opornej i żmudnej, może nikomu nie było tak ciężko pogodzić własnej niedobrej wizji świata z katolicką prawowiernością, jak Mauriacowi. Jest to w gruncie postać tragiczna. Trudne zwycięstwa uczą jednak więcej i budują bardziej od niekosztownych triumfów.

A oto sylweta psychiczna i literacka—jak ja ją widzę—tego największego z żyjących dziś pisarzy katolickich Francji, oczywiście w wielkim skrócie, bez żadnych szczegółów, ni uzasadnień.

Każdego, kto się w Mauriacu dokładnie rozczyta, musi wprędce uderzyć dziwność i aż niesamowitość jego katolicyzmu, tak że przychodzi nieraz ochota zapytać, czy jest to wogóle katolicyzm.

Świat powieściowy Mauriaca składa się z reguły z dwu poziomów.

1. Piekło życia z jego oschłością, ciasnotą i mrokiem, wstrząsane potężnymi, niszczącymi namiętnościami. Ten poziom namalowany bywa żywo, po mistrzowsku, z wielkim znawstwem i trzeba powiedzieć umiłowaniem tematu („Teresa Desqueyroux", „Kłębowisko żmij", „Czarne Anioły".).

2. Ponad piekłem jest u Mauriaca także niebo, a raczej jego odbicie w duszach ludzkich — sztuczne, ubogie, podane w stereotypowych, prostych szablonach, a często ukazywane tylko z daleka i dyskretnie (i wtedy wypada jeszcze najlepiej). Mauriac ogarnia je tylko myślą, nie czuje go a w przedstawieniu bywa płytki i nieszczery („Powrót do Boga").

Wyjście z piekła, z którego ludzie słabi i ponoszeni przez swoje namiętności, nie sposób, żeby się sami wyzwolili, dokonuje się na ogół za pomocą aktów łaski — niezasłużonej i niespodziewanej. Co więcej łaska ta spływa prawie wyłącznie na mroczne charaktery, na nieprzeciętnych w złości, gdy nigdy prawie nie jest dana mdłej zasłudze.

Mauriac — artysta, świetny na pierwszym poziomie, chybia zupełnie i razi na drugim, a ułatwiony sposób w jaki łączy oba poziomy — tylko przez akt łaski Boskiej, niemal bez własnej zasługi człowieka — irytuje i demoralizuje zarazem.

Mauriac zdaje się niedowidzieć, że działanie łaski jest tajemnicą dla człowieka. Nadużywając tej tajemnicy jako generalnego rozwiązania Mauriac jakby odbierał łasce jej charakter nadprzyrodzony i czynił z niej środek zabezpieczający niemal automatycznie grzesznika — przez co mimowoli zachęca do trwania w grzechu. O ile szerszy i pokorniejszy zarazem jest w swoim podejściu Greene, który wierzy w zmiłowanie Boskie nad każdym grzesznikiem, lecz nie przysądza sobie prawa orzekania o tym.

Mauriac zdaje się sam dobrze o tym wiedzieć, jak niedoskonały, jak sztuczny jest nieraz świat jego odczuć i dążeń religijnych. Dlatego największa jego pasja, gniewne inkwizytorstwo i wprost nienawiść skierowane są przeciw wszelkim formom nieszczerej i niedoskonałej religijności — przeciw suchym formalistom, przeciw zakłamanym apostołom, przeciw niedorosłym kapłanom katolicyzmu („Losy"). Jest w tym jakby bolesne śledzenie własnej słabości i prześladowanie jej u drugich — zjawisko częste w dziejach twórczości.

Należy teraz zapytać w jaki sposób Mauriac, z takim podłożem, odkrył w sobie powołanie katolickiego pisarza? W każdym swoim utworze dotyka on przecież jawnie lub skrycie zagadnień religijnych i każdego ze swych bohaterów usiłuje, prędzej lub później, doprowadzić do Boga i do katolickiego Kościoła. Myślę, że wyjaśnienia można szukać przede wszystkim w tym, że pisarz za wiele widzi w życiu zła i brzydoty, zbyt dręczące ma ich wyczucie, ażeby mógł w takim piekle wytrzymać, ażeby nie musiał rwać się ku wyjściu, ku gromadnemu wyzwoleniu — i znajduje to w Bogu i w katolickim poglądzie na świat.

W ten sposób jednak pierwiastki religijne w duszy Mauriac'a rodzą się przede wszystkim drogą kontrastu, z przeczenia złu, z potrzeby obrony — w pewnej zaś mierze zostały narzucone przez katolickie wychowanie. Religijność jego nie ma natomiast podstawy we własnej intuicji i popędach, jego zbliżenia do Boga wydają się czysto intelektualne, a pozatem brak mu wyraźnie zdolności przeżywania i opisu wrażeń metafizycznych. Przypomina on rysownika rozporządzającego tylko tuszem i bielą, który się zawziął, ażeby dać widzom wyobrażenie o barwach.

Zdawało by się, że pisarz, który znajduje takie opory w samym sobie, nie posiada zbyt wielu danych do prowadzenia innych ludzi. Istotnie — tak znamienne dla twórczości Mauriaca — umiłowanie występnych, płacenie im łatwym zbawieniem nie za zasługi, lecz tylko za niewykorzystane wewnętrzne możliwości, a wreszcie bezwzględny atak na wszystkie niedoskonałe formy religijności, czy życia rodzinnego — co ogółowi wyda się często po prostu atakiem na samą religię, czy instytucję rodziny — wszystko to sprawia, że Mauriac jest nie bardzo wygodnym i nie dla wszystkich właściwym szermierzem katolicyzmu. W dużym stopniu wywodzi się to stąd, że Mauriac nie znosi przeciętności. W gruncie woli on nieprzeciętność w złem, aniżeli przeciętność w dobrym. Oczywiście wikła mu to jeszcze bardziej wykonywanie zadań pisarza katolickiego.

Natomiast trzeba stwierdzić, że Mauriac, jako pisarz katolicki, ma jedną mocną stronę, która go mimo wszystko na takiego pisarza pasuje. Umie on jak mało kto ukazać ciasność, brzydotę, okrucieństwo życia i udrękę samolubnych namiętności, umie nam tak obrzydzić więzienie wypełnione „kłębem żmij", w którym przebywamy, że musi to budzić tęsknotę do Wybawcy, do jakiegoś wyższego, lepszego świata, bez którego nie możnaby po prostu znieść dotykalnej rzeczywistości. Specjalnością i pasją Mauriac'a jest przedstawienie dusznej i zawistnej atmosfery życia rodzinnego, w której ludzie tłuką się, jak ptaki w klatce („Genitrix", „Kłębowisko żmij"). Nasuwa się nawet przypuszczenie, że Mauriac'owska zła wizja życia mogła się zrodzić pośród ciasnoty i małostkowości środowiska, w którym pisarz za młodu wyrastał.

Zdyskredytowanie doczesności — oto jeden walor kaznodziejski pióra Mauriac'a. Ale łączy się z nim drugi, już prawdziwie chrześcijański. Umie Mauriac z wielką wyrozumiałością i sercem wyśledzać jasne promyki wśród nocy zła, umie w gmatwaninie najgorszych popędów odkryć jakiś zaczątek lub odruch dobra, szczerego współczucia, bezinteresownej miłości i umie mądrze ukazywać, że są to cechy i zapowiedzi lepszych przeznaczeń człowieka. Słowem Mauriac, pasjonujący narrator piekła życiowego potrafi stworzyć nastrój i nawet przekonanie, że to piekło nie jest czymś ostatecznym i jedynym — że musi się szukać wyjścia z niego i że człowiek ma w sobie na to zadatki.

Jest jeszcze inna droga, na której Mauriac stara się usprawiedliwić i ocalić ten niedoskonały i występny świat. Usiłuje on ze ślepym niemal uporem interpretować wszystkie ziemskie pasje człowieka (przede wszystkim miłość doczesną), choć małość ich i ohydę tak dobrze zna i odczuwa — jako punkt wyjściowy do osiągnięcia Boga, jako niedoskonałe formy uczuć religijnych, albo daremną próbę ucieczki przed nimi („Pustynia miłości", „Kłębowisko żmij", „Rodzina Frontenac").

A nie łatwe to i rozpaczliwe czasem zadanie przystosować świat jaki jest — często zaś gorszy, aniżeli jest naprawdę — ponury świat widziany oczyma Mauriac'a — do pojęć religijnych, szukać w nim sensu religijnego. To też im więcej czyta się Mauriac'a, im bliżej się go poznaje, tym bardziej ponad uczuciem niechęci, gniewu, ironicznej krytyki, jakie nieraz budził, zaczyna przeważać uczucie podziwu, szacunku, a zarazem współczucia dla tego tragicznego pisarza, który podjął się zadania dla siebie szczególnie trudnego, nieraz wręcz przeciwnego jego naturze. I trzeba przyznać, że przeprowadza to zadanie z niezwykłą wytrwałością, z umiejętnym wykorzystaniem wszystkich cech swego wielkiego talentu, szerokiej inteligencji, niezadowolenia z życia i nawet niechęci do ludzi — że nieraz osiąga na tej trudnej drodze zadziwiające wyniki i umie głęboko poruszyć katolickie sumienie. Umie stać się taranem do rozbijania starej, niedość doskonałej formy, by stworzyć wyższą i lepszą. Ale droga samego Mauriac'a kończy się zawsze u progu tej doskonałości, do której prowadzi. Uduchowionych stanów wewnętrznych, prawdziwych zbliżeń do Boga, Mauriac ukazać już nie potrafi; ilekroć zaś tego próbuje, uderza w nieszczery lub płytki ton.

Mauriac to niby Jan Chrzciciel powieści katolickiej XX wieku, który zapowiada przyjście Boga, ale nie jest mu dane żyć w Jego bliskości.

Wit Tarnawski

FR. MAURIAC — Przekład za zgodą autora MARII KRZYSZTOPORSKIEJ

CZY CHRZEŚCIJANIN JEST Z TEGO ŚWIATA

CZY chrześcijanin jest z tego świata? — Przyznaję, że zrazu stropiło mnie to pytanie pozorną naiwnością i narzucającą się zbyt łatwą odpowiedzią: „Oczywiście, że chrześcijanin jest z tego świata! Wystarczy, byśmy spojrzeli na siebie samych".

Gdy jednak przezwyciężyłem pierwszy odruch niezadowolenia, zdałem sobie sprawę, że ci, którzy wpadli na pomysł, żeby postawić tego rodzaju pytanie, nie mylili się ani co do wagi, ani co do naglącej potrzeby, jakiej wymaga od nas wszystkich. W rzeczywistości pytanie to rzuca nas natychmiast w sam gąszcz naszej historii osobistej, ale także historii Kościoła.

Jeżeli zastanawiam się nad sobą samym, jeżeli, jak to zawsze czynić należy, wychodzę od siebie samego, to aż nazbyt jest prawdą, że jestem z tego świata, skoro Akademia Francuska jest z tego świata, skoro Kapituła Orderu Legii Honorowej jest z tego świata, skoro subwencjonowane teatry, wielkie dzienniki, skoro wydawcy są z tego świata, skoro z tego świata jest mój dom, moja zagroda i ci, których kocham. Z pewnością jesteśmy z tego świata, jeżeli śmierć, taka bliska, wydaje nam się rozdarciem, jakby zrąbaniem wielkiego, starego dębu, który jest związany z królestwem umarłych tysiącem korzeni: korzeni osobistych korzyści, niewątpliwie, lecz także korzyści przywiązania.

Przez całe swoje życie przywiązywaliśmy się, to prawda i nie byłoby w tym nic dziwnego ani gorszącego, gdybyśmy z drugiej strony przez całe swoje życie nie legitymowali się Bogiem Ukrzyżowanym, który wymaga od swych uczniów, aby opuściwszy wszystko, wzięli drewno Jego Męki i szli za nim. Zainstalowaliśmy się w tej sprzeczności i bynajmniej nas nie krępowała. Nie dość na tym: korzystaliśmy z niej, żyliśmy z niej i to nie tylko my, pisarze katoliccy! Lecz niewątpliwie my przede wszystkim! Nie ciągnęliśmy zysków z trzydziestu srebrników Judaszowych, lecz może eksploatowaliśmy przelotny pocałunek, dany Chrystusowi i otrzymany od niego w najlepszych chwilach naszego życia. Zdrada przez pocałunek, to cząstka Judaszowa; lecz wykorzystywanie pocałunku Bożego, jeżeli wolno tak się wyrazić, oto nasza cząstka, oto conajmniej cząstka niektórych spośród nas, pisarzy katolickich, i to cząstka bynajmniej nie piękna! U twórców fikcji artystycznych istnieje pewien rodzaj przywiązania, który należałoby omówić osobno, bo sam w sobie stanowi temat bardzo ważki, który tutaj mogę tylko napomknąć: jest to przywiązanie do własnego dzieła. Ilu spośród nas bardziej kocha swoje dzieło, niż własną duszę! Pomyślmy tylko: ta namiętność, która dosłownie doprowadziła takiego Flauberta, takiego Prousta do ofiary całopalnej na rzecz własnego dzieła, żyje i w nas. Czy istnieje choć jeden poeta, choć jeden dramaturg, choć jeden powieściopisarz, który by złożył swoje dzieło w ofierze Chrystusowi? W najlepszym razie dopiero wówczas milknie, gdy już nie ma nic do powiedzenia, ub, jak Racine, gdy już wszystko powiedział.

Nie my tylko, zwykli ludzie świeccy, mamy sobie wiele do wyrzucenia. Nawet duchowni, którzy w wielkodusznym porywie młodości postanowili wszystko opuścić, którym zdawało się, że oddają wszystko, i oni budzą się niekiedy w połowie życia, równie przywiązani do świata, jak gdyby świata nie byli opuścili. Gdyż zakony są również z tego świata, a zakonnik może być wybitną osobistością w nowoczesnym świecie. Zdarza się nawet, że jest modny, że podoba się temu światu, za który Chrystus nie chciał się modlić. Nie tylko nie krępuje go habit, lecz korzysta z uznania, z czci, z zaufania, z opinii prawie zawsze łaskawej. Najprostsze jego słowa, które u świeckiego przeszłyby niepostrzeżone, swobodniejsze gesty nabierają akcentu i znaczenia po prostu dlatego, że namaszczony jest tym znakiem, który go wyróżnia i którym się posługuje. W istocie żądanie Chrystusa, abyśmy wszystko porzucili, zdarza się nawet u tych, którzy odpowiedzieli na jego wołanie, z prawem ciążenia niemal niepokonalnym. „Prawo ciążenia i łaska" oto tytuł pięknej książki, który sam przez się, lepiej niż wszelkie komentarze pozwala zrozumieć ten opór, jaki staram się tutaj określić, a który, Bogu dzięki, świętość przezwycięża w niezliczonych duszach.

Wiem dobrze, że nie wszyscy jesteśmy wezwani do życia doskonałego i że słowa „Rzuć wszystko i idź za mną" skierowane są do tych, którzy dążą do doskonałości. Ale to rozróżnienie wydawało mi się zawsze sztuczne. Byłbym niemal skłonny wówczas dopiero osądzić życie chrześcijańskie, gdy jest u schyłku, by je potępić na podstawie pozornego powodzenia i wedle tego, co Pascal nazwał „rozkoszne i zbrodnicze używanie świata"; tak, byłbym skłonny być surowym, jak Bernanos, dla wiekowych chrześcijan, obsypanych odznaczeniami i zaszczytami wszelkiego rodzaju (proszę mi wierzyć, że siebie spośród nich nie wyłączam), gdyby z jednej strony w praktyce te zaszczyty nie okazały się tym czym są, a więc prawie zawsze „wiatrem i dymem" i gdyby przede wszystkim tak liczne zwierzenia nie były mi dowiodły, że istnieje moc krzyży niewidzialnych, że pozorne triumfy niektórych ludzi kryją tajemne klęski, upadki, których oni są jedynymi świadkami, czasem męczarnie prometejskie, znoszone na szczytach, nawiedzanych gromami i niedostępnych oczom świata. My, których nie stać na to, by dobrowolnie rozpiąć się na krzyżu, my, którzy wręcz przeciwnie, idąc za popędem natury szukamy wszędzie i we wszystkim tego, co nas urzeka i co nas zachwyca, oto jesteśmy do tego krzyża ściągani siłą, poprzez miłość zdradzoną, przez choroby, wreszcie przez starość, owo powolne i bezpowrotne niszczenie ciała, „już w trzech czwartych zwiotczałego" jak mówi Bossuet, podczas gdy serce zachowuje nieuleczalną młodość. „Gdyby Bóg własnoręcznie dał nam mistrzów, woła Pascal, o! jakżeż trzeba by ich słuchać całym sercem! Konieczność i bieg wypadków są nimi niezawodnie".

Tak, konieczność i bieg wypadków są naszymi mistrzami. W tym oświetleniu przełomy w dziejach ludzkości (a są epoki, jak nasza, złowrogo uprzywilejowane) mają jak gdyby to na celu, by wyrwać siłą z chrześcijanina to, czego on dobrowolnie nie ma siły się wyrzec. „Pielgrzymi na ziemi", ongiś było to tylko przenośnią dla większości ludzi. Dzisiaj ogromne rzesze wysiedleńców, te tłumy niezliczone wygnane z własnych domów, zagród, z własnej ojczyzny, stada błądzące w stanie wiecznego koczownictwa, wśród których każdy z nas może kiedyś się znaleźć (któż bowiem zna dzieje dnia jutrzejszego?), oto przykład, oto straszliwa lekcja poglądowa, ku której wypadki, ci mistrze dani nam z ręki Bożej, skłaniają naszą uwagę.

Zapewne niejeden z moich słuchaczy zareagował natychmiast na tę lekcję, wy, których dom został ograbiony i spalony, którzy straciliście skromną schedę, jaką każdy z nas otrzymuje od tych, którzy byli przed nami, schedę bez wielkiej może wartości, lecz dla serca niezastąpioną. Ileż razy od lat dziesięciu słyszałem słowa: „Straciłem wszystko..." Tak więc dzieje ludzkości, dzieje pełne zbrodni takie, jakie kształtuje pycha ludzka, każą nam uprzytomnić sobie, że jesteśmy na tej ziemi tylko po to, aby się od niej oderwać, czy to dobrowolnie, czy też wbrew naszej woli.

A jednak na postawione pytanie musimy dać odpowiedź: tak, chrześcijanin jest z tej ziemi i to nie tylko przez swoje pożądania i przez grzech. Jest z ziemi w dosłownym tego słowa znaczeniu: twór ulepiony z mułu, z błota, na który tchnął Duch i z którego powstało arcydzieło, jakim jest człowiek. Z prochu ziemi jesteśmy i do prochu powrócimy. Ten właśnie proch zmartwychwstanie. Jesteśmy z ziemi i jakkolwiek krótkie może być nasze życie osobiste, rodzaj ludzki trwa, a na tym krótkim odcinku przestrzeni i czasu, na którym jesteśmy prochem żywym, musimy raz po raz i na wszystkich płaszczyznach rozwiązywać zagadnienia ziemskie. Wybaczcie mi, że przypominam te prawdy elementarne, ale to jest nieodzowne! Mamy żony, dzieci, jesteśmy synami jednej ojczyzny, łączy nas braterstwo pracy w określonym zawodzie. A oskarżenie, którym przeciwnicy Chrystusa obciążają jego sługi od pierwszego dnia, od chwili, gdy chrześcijanie zostali okrzyczani przez swych pierwszych prześladowców wrogami rodzaju ludzkiego, do tego się sprowadza, że jakoby nie chcą być z tego świata, że odwracają się od niego na rzecz projekcji własnej tęsknoty i własnego lęku, którą mienią Bogiem. Znacie ten zarzut przeniewierstwa. Lecz przede wszystkim rozumie się, najzręczniejsi z nas (tak brzmi zarzut marxistów) dlatego tylko zachęcają ubogich i nędzarzy do spoglądania ku niebu, aby tym lepiej zainstalować się w rozkoszach beztroskiego posiadania. I jest aż nazbyt prawdą, że niektórzy katolicy zrobili wszystko co w ich mocy, aby lud w to uwierzył. Co do nas, wiemy, że oderwanie się, od dóbr tego świata, że wyrzeczenie, nakazujące nam przeciwstawiać się wszelkim żądzom w naszym życiu osobistym, daje nam tym większą swobodę do poświęceń osobistych na rzecz naszych braci, że dla nas to właśnie nazywa się współdziałaniem z łaską i że w dniu ostatecznym, jak pisze święty Jan od Krzyża, „wedle miłości będziemy sądzeni".

Czujemy dobrze, że sprzeczność między naszym obowiązkiem obywatelskim, a nakazem wyrzeczenia jest tylko pozorna. Nasz Bóg jest miłością. Udział chrześcijanina w życiu społecznym powinien być normalnym rozkwitem tej miłości. Niestety, nie dzieje się tak w praktyce, ponieważ choć jesteśmy chrześcijanami, to nasz wybór polityczny, nasze przekonania społeczne są tylko pozornie dalszym ciągiem naszej wiary. Przeważnie powody naszej przynależności politycznej pochodzą z innych źródeł, jak tradycja, przesądy, interesy klasowe, nienawiść rasowa; one stwarzają w nas te uprzedzenia, od których najlepsi chrześcijanie nie zawsze zdolni są się oderwać, i które zręcznie pokrywają budującymi pretekstami. Istnieje metoda, wywodząca politykę z Pisma Świętego, mniej naiwna niż u Bossueta, lub, jak mówił Leon Bloy, modna w gronach ludzi dobrze myślących, którzy doszukują się pretekstów, aby z rezygnacją zgodzić się na doczesne potępienie trzech czwartych ludzkości. Lecz istnieje także inna odmiana bałwochwalstwa u ludzi z przeciwległego krańca, skłaniających się do rozwiązań skrajnie lewicowych. Są oni skłonni wiązać los prawdy na tym świecie z losem jednej partii; nadbudowują niejako nad prawdą objawioną inny dogmat z porządku doczesnego, przyznają mu prawa nad sobą i nie poświęciliby go, dobrze to czujemy, za nic na świecie.

Przyznajmy, że zarówno na prawo jak i na lewo jesteśmy straszliwie „z tego świata". Na niczym nie zależy nam tak bardzo, jak na naszych poglądach prawicowych, czy lewicowych. Jeśli już nawet oderwaliśmy się od wszystkiego innego, właśnie to zbyt często jeszcze trzyma nas na uwięzi, te poglądy, które w rzeczywistości są namiętnościami i to z tych najgwałtowniejszych, które najzręczniej wynajdują sobie wzniosłe wymówki. Zawsze zresztą sądziłem, że chrześcijanin prawicowy, jeżeli działa w dobrej wierze i jeżeli jest szczerym w stosunku do siebie samego, łatwiej rozpozna mętne źródła swej namiętności, szczególnie, jeżeli należy do klasy uprzywilejowanej. Po prawej nierzadko dzisiaj znajdują się chrześcijanie, mający wyrzuty sumienia. Prawdę mówiąc, wyrzuty sumienia trawią ich już od dawna: w swoim czasie powodzenie idei Maurassa w chrześcijańskich środowiskach mieszczańskich tłumaczyło się po części potrzebą oparcia na rozumie i uzasadnienia intelektualnego istniejącego ustroju. Przeciwnie, katolikowi z lewicy lub ze skrajnej lewicy łatwiej jest ubrać swoje uprzedzenia i nienawiści w budujące pobudki i wziąć je za ten głód i pragnienie sprawiedliwości, które na Świętej Górze zostały pobłogosławione i otrzymały obietnicę nasycenia.

Jakkolwiek by nie było, faktem jest, że jedni i drudzy, jesteśmy w wielkiej mierze niezdolni do stosowania wyrzeczenia duchowego w sferze politycznej. Ideologie w takim stopniu angażują ciało i krew, że wojny stawały się totalne w miarę, jak stawały się konfliktami ideologicznymi. Wojny religijne były zawsze najbardziej zażarte; a to co nam wszystkim zagraża dziś śmiercią, to wojna religijna na miarę planetarną.

Odrzucamy oczywiście oskarżenia Nietzschego i Marxa. Nie, Kościół Katolicki nie odwrócił się od ziemi w tym sensie, jaki oni nasuwają. Jego nauka społeczna, miejsce, jakie zajmuje w organizacji pracy, olbrzymie dzieła miłosierdzia, jakie prowadzi od wieków w najbardziej opuszczonych okolicach kuli ziemskiej, to wszystko, pomimo pozornych kompromisów z niesprawiedliwymi ustrojami, nie da się podać w wątpliwość. A może nawet, (lecz obawiam się zgorszyć moich słuchaczy), może nawet nasze pokolenie zbytnio skłania się do podkreślania czynnika społecznego. Słuchając niektórych katolików można by sądzić, że tłumy wypełniające nasze kościoły znaczą niewiele, o ile to nie są tłumy robotników. To olbrzymie nieszczęście Kościoła, jakim jest odstępstwo proletariatu, przejmuje do tego stopnia wielu katolików, i to spośród najlepszych, że zapominają czasem, iż Bóg nie ma względu na osoby, że przedziwna godność ubogiego i robotnika w Kościele nie powinna obniżać w naszych oczach chrześcijan z innych warstw społecznych, że dzisiaj, wiadomo, niedostatek, ubóstwo, to dobra pospólne, najsprawiedliwiej rozdzielone i że ubodzy Chrystusowi noszą czasem rękawiczki, a nawet starę płaszcze futrzane.

Choć słusznie pragniemy zbić oszczerstwa Marxa i wykazać przez nasz wysiłek społeczny, że religia nie jest opium dla ludu, to jednak nie wolno nam zaniedbywać tego, co mimo wszystko pozostaje istotą Dobrej Nowiny, na co przede wszystkim winniśmy kłaść nacisk, a czego, wierzcie mi, ludzkość w roku 1950 od nas oczekuje.

Gdy słyszę głosy wielkich dostojników Kościoła, którzy z ambony omawiają zagadnienia społeczne i rozpatrują w świetle Ewangelii problemy państwa, stosunek kapitału i pracy, władzy świeckiej i Kościoła, nie mam najmniejszych wątpliwości co do pilnej potrzeby pogłębiania tego rodzaju zagadnień. A jednak jestem pewien, że uczucie lekkiego rozczarowania, jakiego doznaję, łącznie ze szczerym podziwem, jest czymś, co podziela wielu w tym olbrzymim tłumie — olbrzymim, bo obejmującym niewidocznych słuchaczy radiowych — którzy w istocie o jedno tylko proszą, dla jednej tylko rzeczy tłoczą się u stóp ambony, włączają głośniki na to tylko, aby im ktoś oświadczył, że mamy Ojca w niebiesiech, że zostaliśmy odkupieni i że grzechy nasze będą nam odpuszczone. Czy sądzicie, że ci, którzy są w kościele, w głębi serca pragną słyszeć o syndykatach? Napewno nie: lecz o przebaczeniu i o Odkupieniu.

Nie chciałbym, żeby moje słowa szerzyły zniechęcenie, nie ufam smutkowi, idącemu w parze z wiekiem, do którego doszedłem. A jednak, ważąc dobrze moje słowa, sądzę, że w obecnym momencie historii nadzieja ludzka, w tym co dotyczy ziemi, ma skruszone skrzydła. Miała ona swój olbrzymi wzlot w latach 1789 i 1790, najpiękniejszy okres rodzaju ludzkiego, jak sądzili Francuzi, upojeni tamtymi latami; a potem, przeszło sto lat później, powstał w Rosji ten drugi potężny zryw nadziei ziemskiej: Rewolucja październikowa.

I co z tego wynikło? Na gruzach Europy stawiamy sobie dzisiaj to pytanie. Wszyscy w części ponosimy odpowiedzialność za kostnice i krematoria, których dymy się nie rozpływają. Tysiąc dziewięćset lat po śmierci Chrystusa i Jego Zmartwychwstaniu mieszkaniec świata koncentracyjnego, jakim jest człowiek współczesny, dosięgnął ostatnich granic zezwierzęcenia, co nie byłoby niczym jeszcze — ale także pełnej świadomości zła: co jest wprost przerażające. Zapewne ta wizja apokaliptyczna wystarcza, aby nas przekonać, że w tym, co dotyczy ziemi, odwrócona od Boga ludzka nadzieja ma skruszone skrzydła. Lecz gorzej jeszcze: ci, którzy przeżyli, nie nauczyli się niczego z tych czterech lat okropności. I jeżeli oczy ich nie otwarły się pod ciosami tych gromów, to kiedy się otworzą? Na połowie globu totalizm święci większe niż kiedykolwiek triumfy; dwa imperializmy stoją oko w oko, pionki na szachownicy są już rozstawione do przyszłej gry, a my badamy możliwości kombinacyj, które przeciwnikom proponuje Azja, wiedziona przez komunizm i Niemcy, odradzające się i już groźne. Głupi machiawelizm Imperiów nie pozwala im zrozumieć, że broń, którą dysponują, zniweczyć może sam przedmiot rozgrywki.

Co dzisiaj znaczy posiadać wiarę p o l i t y c z n ą, nadzieję p o l i t y c z n ą? Pomijając już nawet klęskę pewnych odłamów prawicy, związanych z katastrofą narodową w

MARIAN BOHUSZ SZYSZKO

KILKA OGÓLNIKÓW O TREŚCI I FORMIE W SZTUCE

NIE wiadomo: czy częściej czytamy i słuchamy dyskusji (na wszystkich szczeblach) o stosunku „Treści" i „Formy" w sztuce, czy też stwierdzamy doskonałą mętność w pojmowaniu tych pojęć i ich wzajemnego stosunku.

Przyjaciel mój, dr. W. F., pisze w przewodniku dla pielgrzymów do Rzymu („Rzym umocnieniem naszym") o kaplicy Sykstyńskiej; „Jesteśmy w kaplicy jedynej na kuli ziemskiej: nie tyle ze względu na artyzm zwłaszcza arcydzieł genialnego Michała Anioła, ile raczej ze względu na genialny skrót nie tylko dziejów ludzkich ale i dziejów kuli ziemskiej".

Przypuśćmy: sceny z plafonu i z ołtarzowej ściany Sykstyny, na tematy zadane, i te same, które tam są uwidocznione, od Stworzenia Świata do Sądu Ostatecznego, wykonał je nie Michał Anioł ale jakiś podrzędny malarz z XVI w., np. Vasari. Czy Sykstyna byłaby wtedy kaplicą „jedyną na kuli ziemskiej przez genialny skrót dziejów", sformułowany na jej murach? — Zapewniam, że istnieją setki świątyń na kuli ziemskiej, gdzie te same tematy sykstyńskich fresków zostały podane w równie doskonale przemyślanej kolejności i o których nikt nie wspomina, bo nie rozpromienił ich **geniusz formy twórczej**. Zresztą tematyka Sykstyny nie jest rewelacją pierwszoźródłową. Takim źródłem pierwotnym i istotnie jedynym, nieprześcignionym i nieporównalnym jest Pismo Święte. Sykstyna jest „jedyną na kuli ziemskiej" właśnie dzięki **tylko** (a nie „nie tyle") tytanicznemu geniuszowi Michała Anioła, który, tematom uwidocznionym gdzieindziej tysiące razy, dał **formę** nieprześcignioną, formę na własną miarę. Teza tak oczywista, że doprawdy — mówienie o niej jest krępujące: w sztuce, temat, nie związany z twórczą **formą**, jest niczym.

Natomiast, nie tak prostą jest odpowiedź na pytanie, czy może być zadeterminowane prawdziwe dzieło sztuki przez formę pozbawioną „tematu". Człowiek, jako tako wyrobiony filozoficznie, uśmiechnie się przede wszystkim z politowaniem nad niepoprawnością powyższego zdania; bo czyż można mówić o istnieniu „formy" bez przedmiotu, a skoro mówienie o formie implikuje istnienie przedmiotu, do którego ona się odnosi, już sam ten przedmiot jest „tematem".

Naturalnie „temat" rozumiemy w naszym nieścisłym formułowaniu (a ścisłym nie może być ono bez precyzyjnego ustalenia omawianych terminów, na co nie stać nam ani miejsca ani przygotowania...) jako treść narracyjno-anegdotyczną. Otóż typowym przekonaniem, zakorzenionym w pojęciach ludzi nie obeznanych ze zjawiskami sztuki, jest wiara, że istnieje hierarchia takich tematów narracyjno-anegdotycznych, która ma swoje odbicie w hierarchii dzieł sztuki, wyrażających te tematy... Nie tylko akademicy od XVII do XIX wieku wierzyli, że malarstwo historyczne lub religijne jest wyższą klasą od malarstwa martwych natur. Jest to błąd, który demaskuje metoda empiryczna, oparta o bezpośrednie obcowanie z dziełami sztuki. Klasycznym przykładem jest naprzykład sławne „Krzesło" Van Gogha z londyńskiej Tate Gallery, o ubóstwie tematu narracyjno-anegdotycznego, zaiste trudnym do prześcignięcia. Krzesło kuchenne... Na nim kawałek zmiętego papieru ze szczyptą tabaki... Mnie ten obraz pobudza do modlitwy, każe kontemplować cud istnienia, jest objawieniem szczęścia z daru wzroku i stwierdzeniem związku między tym darem właśnie a innym: darem myśli. Podobnie, jak i wszystkie dzieła Cezanne'a: najpotężniejsze przykłady nikłości tematu anegdotycznego w plastyce, wobec bezmiernych treści duszy ludzkiej, materializujących się w ujęciach oczu i przetworach myśli.

Na „czczy formalizm" „sztuki burżuazyjnej", który rzekomo zakorzenił się na Zachodzie, piorunują z jednej strony bolszewicy (wystarczy przeczytać pierwszy z brzegu artykuł w pismach reżymowych na tematy sztuki), z drugiej — liczni publicyści i odbiorcy sztuki we Francji, Włoszech, Anglii, nawet Ameryce. Ale najjaskrawsze i najgroźniejsze poplątanie pojęć zasadniczych „Treść" i „Forma" notujemy w twórczości wielu plastyków (z nieprawdziwego zdarzenia), którzy chwyty i ekstrawagancje techniczno - wirtuozyjne biorą za ewokację „nowej formy", a np. surrealistyczne wypociny anegdotyczne za ewokację „nowej treści".

Oto kilka tez porządkujących.

W sztuce nie ma hierarchii tematów, nie znaczy, że malarz malujący bitwę Aleksandra Macedońskiego z Persami wybrał temat hierarchicznie wyższy (i trudniejszy!) od malarza, który namalował liść akantu i dwa kamienie na polu tej bitwy. Wszystko zależy od tego „jak" a nie od tego „co". Nieprawdą jest nawet, że obrazy równie doskonałe w **treściach twórczych** mają różną hierarchię, jeżeli jeden przedstawia bitwę, a drugi jabłko i serwetę. Arcydzieło „Krzyżowcy w Konstantynopolu" Delacroix nie jest wyższe w hierarchii sztuki od arcydzieła Cézanne'a „Jabłka w koszu". Jeden i drugi obraz, poza zewnętrzną tematyką określoną tytułem, mają tematykę wewnętrzną, zasadniczą, o tej samej hierarchii: duszę twórcy, metafizyczną konieczność wykrywania tajemnicy widzialnego świata **własne** stwarzanie jego surogatu. Stwierdzenie, że nie ma hierarchii tematu w ocenie dzieł wielkich twórców nie jest twierdzeniem, że wybór tematu dla ich charakterystyki jest obojętny. Jest rzeczą **właściwą** dla talentu Michałowskiego, że malował on konie i byłby on innym twórcą, gdyby malował naprzykład tylko zachody słońca, lub abstrakcyjne arabeski; ale o klasie twórcy zawsze stanowi tylko „jak" opowiada on o temacie przez siebie wybranym, a nie jaki temat wybrał.

„Temat" dzieła sztuki to nie to samo, co jego „treść". Ta ostatnia wiąże się najściślej z całą osobowością twórcy. Jeżeli pismo, jak twierdzą grafologowie, obejmuje ukryte dyspozycje i wypracowania człowieka, o ileż w pełniejszej i głębszej relacji do potencjału wewnętrznego twórcy jest jego sztuka.

Jest właściwie tylko jeden istotny temat w sztuce: opowieść o „Ja" artysty, choćby on najskromniej chciał to „Ja" ukryć. Istotna treść dzieła pokrywa się z zakresem tego „Ja" w znaczeniu dyspozycyjnym i w znaczeniu wypracowania, które w „przeświętej serca ludzkiego ciemnicy" zostało dokonane.

Dzieło nigdy twórcy swego nie przerasta; to tylko frazes piękny „on przeszedł siebie w tym dziele": natomiast zawsze, choć w różnym stopniu, jest prawdą: „w dziele swoim nie dorósł on do siebie". Najmniejsza różnica między własnym zakresem twórcy a realizacją w dziele sztuki — jest najwyższym celem osiągalnym.

Dla uporządkowania faktów, związanych z przejawami sztuki współczesnej, należy wyłączyć z jej obrazu wszystkie poronienia, które niewyrobiony odbiorca traktuje narówni z dziełami Bonnarda, Matisse'a, Picassa, Rouault'a, dziełami, które stwierdzają, że wielka forma sztuki współczesnej, gotowa dać godny wyraz najgłębszym treściom duszy dzisiejszej, — istnieje.

I chodzi tylko o to, aby te treści istniały. Gdy będą — nie jest konieczne, aby tematami „dobranymi" do idei głosiły jej chwałę... Van Gogh modli się malując krzesło...

Trawestując zdanie Mickiewicza: „o ile rozszerzycie dusze wasze — o tyle rozszerzycie granice (sztuki waszej)".

Marian Bohusz Szyszko.

40 roku, można stwierdzić, że i na lewicy nie ma już nadziei, skoro partia komunistyczna, polaryzująca klasę robotniczą nie nasuwa innego dostępu do rewolucji proletariatu, jak triumf panslawizmu. U bram „Państwa Harmonii", o którym śnił młody Péguy, stoi nienasycony Moloch. Socjalista nie ma już żadnej nadziei, że ujrzy wschodzącą zorzę pełnego socjalizmu, zanim nie zostanie nasycony niezaspokojony głód Rosji Sowieckiej.

Są to prawdy oczywiste, dostępne nawet dla maluczkich. Mimo strat chrześcijaństwa, którego straszliwy bilans w krajach, objętych mackami Rosji Sowieckiej jest nam dobrze znany, te prawdy oczywiste zmuszają nawet niewierzących do spojrzenia nowymi oczami na matkę ludzkości, święty Kościół niezmienny, który trwa na posterunku wpośród narodów zdruzgotanych i zrozpaczonych: ponieważ Kościół jest z ziemi, zapewne, wkorzeniony w tę ziemię zbrodniczą, nasiąkłą krwią, ale iż jest również z nieba, że, jak ongiś śpiewaliśmy przy I. Komunii św., sam jest niebem, które nawiedziło ziemię i wzniosło na niej swój przybytek.

Nie łudźmy się myślą, że pobijemy komunizm na jego własnym polu. Trzeba go tam niewątpliwie ścigać i zapanować nad nim w miarę możliwości. A przede wszystkim nie dopatrujcie się w moich słowach krytyki nowych metod apostolstwa, które są chwałą Kościoła francuskiego, a jeszcze bardziej diecezji paryskiej i jej czcigodnego i kochanego zwierzchnika. Nie traćmy jednak nigdy z oczu tego, że nietylko ziemskiego chleba oczekują dusze w połowie XX wieku. Gdy mnie zapytano, jakie słowa z Ewangelii wydają mi się dzisiaj najlepiej dostosowane do obecnej doli człowieka, myślę, że wybrałbym tak czułe, prawie błagalne zapytanie Pańskie: „I wy także chcecie mnie opuścić?" i odpowiedź Piotra: „Panie, a do kogo pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego".

Tak, chrześcijanin jest z tego świata, z tej ziemi, która przeminie, której przemijanie dokonuje się w naszych oczach, ale na tej ziemi otrzymał słowa, które nie przeminą. I nie ma on na tym świecie innego posłannictwa, jak rozszerzać płomień tych słów i życiem swoim dać im świadectwo. Jest niejako wzięty w dwa ognie między zapowiedzią zniszczenia i obietnicą wieczności. Aby nie upaść na duchu, bynajmniej nie potrzebuje zachować nadziei w ziemskim tego słowa znaczeniu. Przypominam sobie słowa, jakie pisał do mnie pewien młody paryski ksiądz, który poległ na polu chwały w nieszczęsnej rozprawie 40 roku: „Nie mam już żadnej ludzkiej nadziei bo cnota nadziei nie jest ludzką nadzieją (l'espérance n'est pas l'espoir)". Nawet jeżeli straciliśmy ludzką nadzieję, nie straciliby-śmy ufności w Bogu. Jedynie chrześcijanin może nadać pełny sens sławnym słowom Posępnego: „Nie trzeba mieć nadziei, aby przedsiębrać..."

Nie, nie trzeba wierzyć w trwałe ugruntowanie Państwa, aby się mu poświęcić i służyć mu z całego serca. W warsztatach Kardynała jeszcze nie wykończone kościoły zostały zbombardowane podczas ostatniej wojny, a mimo to Kardynał trwa przy swoim dziele. Chrześcijanin uspołeczniony, wikary z przedmieścia, ksiądz robotnik wiedzą dobrze, że ich wysiłek już na ziemi uobecnia królestwo Boże i jego sprawiedliwość, rękojmię obietnicy, która została nam dana.

Na jakie zniszczenie wystawiają nas bałwochwalcy techniki? Jest to tajemnica laboratoriów. Ale nasza tajemnica, którą inni ludzie przeczuwają, a której my nie mamy prawa zachowywać dla siebie, w tym się mieści, że, na przekór wszystkim zbrodniom, że poprzez tyle krwi, czasami naoślep i poprzez łzy idziemy naprzód, zbliżamy się do tego Dnia ponad wszystkie inne dni, gdy Znak Syna Człowieczego ukaże się ponad ludzkością triumfującą i na zawsze zmartwychwstałą!

François Mauriac

GRAHAM GREENE

PRZEMOCY

PORĘBA. Kilka chat z błota i trzciny — dwie rozwalone. Stadko świń ryje ziemię; stara kobieta przenosi z chaty do chaty płonącą głownię i roznieca małe ogniska pośrodku każdego klepiska, by wnętrze wypełnić dymem i odpędzić moskity.

Kobiety mieszkają w dwóch chatach, świnie w dalszych; w ostatniej, nierozwalonej lepiance, gdzie złożono zbiór kukurydzy — stary mężczyzna, mały chłopiec i plemię szczurów. Stary stoi teraz pośrodku poręby, przyglądając się obnoszeniu ognia: płomień migocze w ciemnościach; obrzęd powtarzany przez całe życie o tej godzinie wieczora. Chłop ma siwe włosy, siwą szczeciniastą brodę, ręce brunatne i kruche jak zeszłoroczne liście; robi wrażenie niezmiernej trwałości. Cóż może go zmienić, skoro wegetuje na samej krawędzi bytu? Jest już stary od wielu lat.

Obcy wszedł na porębę. Na nogach ma buty — kiedyś miejskiego kroju, czarne, ze spiczastymi noskami; teraz pozostały z nich tylko wierzchy; bose stopy zastępują podeszwy. Jest w koszuli i w czarnych, podartych spodniach. W ręku ma torbę podróżną — jak posiadacz sezonowego biletu. Osiągnął już prawie stan trwałości, choć niesie na sobie blizny czasu; zniszczone buty mówią o innej przeszłości, rysy twarzy o nadziejach i obawach o przyszłość.

Stara kobieta z płonącą głownią zatrzymała się między chatami i patrzy na obcego człowieka. Ten wszedł na porębę z głową spuszczoną, przygarbiony, zda się świadom niebezpieczeństwa Stary człowiek ruszył naprzeciw; pochylił się i ucałował rękę przybysza

— Czy możecie mi dać hamak do spania?

— Nie, ojcze, my biedni; hamaki są tylko w mieście.

— Głupstwo. Byle się gdzie położyć. Czy mogę dostać — — trochę wódki?

— Tylko kawy, ojcze. Nie mamy nic więcej.

— Coś do jedzenia?

— Nie mamy jedzenia.

— Dobrze, mniejsza z tym.

Z chaty wyszedł chłopak; przygląda się, przyglądają się wszyscy. To jakby na walce byków: zwierz zmęczony — czekają co będzie dalej. Nie są to ludzie bez serca; oglądają rzadkie widowisko: coś nędzniejszego od nich.

Ksiądz pokuśtykał do chaty. Wewnątrz, powyżej kolan było ciemno; ognisko żarzyło się słabo. Chatę wypełniała do połowy sterta kukurydzy; szczury harcowały szeleszcząc suchymi liśmi. Było tam legowisko ulepione z gliny, nakryte matą; dwie skrzynki zastępowały stół. Przybysz położył się, a starzec zamknął drzwi od środka.

— Bezpiecznie tu?

— Chłopak czuwa na straży. On wie.

— Oczekiwaliście mnie?

— Nie, ojcze. Ale już mija pięć lat jak nie było tu księdza... musiał przyjść w końcu.

Podróżny zapadł w ciężki sen, a stary przykucnął na klepisku i rozdmuchiwał ogień. Ktoś zastukał od zewnątrz: ksiądz zerwał się natychmiast.

— Wszystko w porządku — rzekł starzec. — To tylko kawa dla ojca.

Podał ją księdzu — szary wywar z kukurydzy dymiący w blaszanej puszce. Ale ksiądz nie mógł pić — był za bardzo zmęczony. Położył się na boku i leżał cicho. Szczur przyglądał mu się z pomiędzy liści.

— Byli tu wczoraj żołnierze — powiedział chłop. Dmuchał w ognisko, dym strzelał w górę i wypełniał lepiankę. Ksiądz zaczął kasłać, szczur szybko uskoczył w stertę — jak cień ręki.

— Chłopiec, proszę ojca, nie był ochrzczony. Ksiądz, który tu był ostatnio żądał dwóch pesów. Miałem tylko jednego peso. Teraz mam tylko pięćdziesiąt centawów.

— Jutro — rzekł ksiądz znużonym głosem.

— Czy będzie msza — — jutro rano?

— Tak, tak.

— I spowiedź, ojcze. Czy wysłucha ksiądz naszej spowiedzi?

— Tak, ale teraz pozwól mi zasnąć.

Odwrócił się na grzbiet i zamknął oczy, by je uchronić od dymu.

— My nie mamy pieniędzy dla ojca. Inny ksiądz, Padre José...

— Dacie mi coś z ubrania — powiedział ksiądz niecierpliwie.

— Mamy tylko to co na sobie.

— Weźmiesz moje na zamianę.

Stary zamruczał coś do siebie, spoglądając z ukosa na oświetloną płomieniem część poszarpanych spodni.

— Jeśli już trzeba koniecznie... — powiedział.

Przez kilka minut spokojnie rozdmuchiwał żar. Oczy księdza zamknęły się znowu.

— Po pięciu latach nazbierało się tyle do spowiedzi.

Ksiądz usiadł nagle:

— Co, co takiego?

— Nic, nic, przyśniło się coś ojcu. Chłopiec ostrzeże nas, gdyby przyszli żołnierze. Mówiłem tylko...

— Czy nie pozwolisz mi zasnąć na pięć minut?

Położył się znowu. Z którejś z kobiecych chat dochodził śpiew: „Poszłam, poszłam na pole i znalazłam różę..."

Stary chłop przemówił miękko:

— Byłaby wielka szkoda, gdyby żołnierze przyszli zanim zdążymy... Taki ciężar na biednych duszach, ojcze...

Ksiądz podciągnął się na posłaniu i siadł wsparty o ścianę.

— A więc dobrze! — rzekł z pasją. — Zaczynaj. Wysłucham twojej spowiedzi.

Szczury chrobotały w kukurydzy.

— No, jazda. Nie trać czasu, pospiesz się. Kiedy ostatni raz...

Starzec ukląkł w pobliżu ogniska. Poprzez porębę szedł śpiew którejś z kobiet: „Poszłam, poszłam na pole — moja róża tam zwiędła..."

— Pięć lat temu. — Przerwał, by dmuchnąć w żar. — Tak trudno sobie wszystko przypomnieć.

— Grzeszyłeś nieczystością?

Ksiądz podkurczył nogi pod siebie i oparł się wygodniej o ścianę chaty. Szczury, oswojone już z ludzką mową, szeleściły znów kukurydzą. Stary człowiek z trudem dobywał grzechy, dmuchając w ogień.

— Żałuj za grzechy — powiedział kapłan, — i odmów — odmów — — czy masz różaniec? — Więc odmów Tajemnice Radosne.

Oczy księdza zamknęły się, wargi i język potykały się o słowa absolucji, nie były w stanie jej dokończyć... poderwał się jednak.

— Czy mogę przyprowadzić kobiety? — usłyszał głos starego. — Już pięć lat...

— Dobrze, niech przyjdą. Niech przyjdą wszyscy — krzyknął ksiądz z gniewem. — Jestem waszym sługą.

Zasłonił oczy ręką i zaczął płakać. Stary otworzył drzwi chaty: nie było zupełnie ciemno pod wielką kopułą rozgwieżdżonego nieba. Poszedł do kobiecych lepianek. Stukał i mówił:

— Chodźcie. Musicie się wyspowiadać. Trzeba być uprzejmym dla księdza.

Kobiety lamentowały, że są zmęczone — lepiej rano.

— Czy chcecie go obrazić? — powiedział. — Cóż sobie myślicie: pocóż przyszedł tu do nas? To bardzo świętobliwy kapłan: siedzi teraz w mojej chacie i opłakuje nasze grzechy.

Wypychał je jedną po drugiej: wlokły się przez porębę w stronę chaty starego, który usiadł przy ścieżce prowadzącej do rzeki, aby zastąpić chłopca strzegącego brodu przed wojskiem.

* * *

Świtało już na dobre: lekkie pióra kolorów ulatywały w niebo; karabin w rękach żołnierza skierowany był jeszcze lufą do góry: balonik szarego dymu wisiał u muszki. Czy taki będzie początek męki?

Z wszystkich chat opieszale wychodzili mieszkańcy; najpierw dzieci: zaciekawione i wcale nie wystraszone. Mężczyźni i kobiety z minami ludzi już skazanych przez władzę — władza ma zawsze rację. Nikt nie patrzył na księdza. Oczy wszystkich utkwione były w ziemię — czekali. Tylko dzieci przyglądały się koniowi, jakgdyby był najważniejszą z obecnych tam istot.

Porucznik wydał rozkaz: „Przeszukać chaty!" Czas płynął bardzo wolno: nawet dym po wystrzale zdawał się wisieć w powietrzu nienaturalnie długo. Kilka świń chrząkając powychodziło z chat, a indyk, pełen nadętej godności, wkroczył w sam środek koła, nastroszywszy swe brudne pióra i potrząsając długim krwistym wisiorem u dzioba. Żołnierz podszedł do porucznika, salutując niedbale.

— Wszyscy już wyszli — zameldował.

— Znaleźliście coś podejrzanego?

— Nie.

— Szukać jeszcze.

Czas zatrzymał się znowu jak rozbity zegar. Porucznik wydobył papierośnicę, zawahał się przez moment i schował ją z powrotem. Znów zbliżył się policjant i raportował: „Nic nie wykryto".

— Uwaga! Słuchajcie! — krzyknął porucznik.

Zewnętrzny pierścień policjantów zacieśnił się, spychając chłopów w małą gromadkę przed dowódcą; tylko dzieci pozostawiono w spokoju. Ksiądz ujrzał swe własne dziecko tuż przy koniu porucznika: dziewczynka sięgała trochę wyżej od jego buta; wyciągnęła rączkę i dotknęła skóry.

— Szukam dwóch ludzi — zaczął porucznik. — Jeden z nich to bandyta, yankes, morderca. Widzę, że go tu nie ma. Wyznaczono nagrodę za jego głowę w wysokości pięciuset pesów. Miejcie na niego oko.

Przerwał i powiódł wzrokiem po ludziach: ksiądz czuł ten wzrok na sobie, choć patrzył w ziemię jak inni.

— Ten drugi — mówił dalej porucznik, — to ksiądz. — Podniósł głos: — wiecie dobrze co to znaczy — To zdrajca Republiki. Każdy kto go ukrywa jest także zdrajcą.

Nieruchomość chłopów zdawała się gniewać oficera:

— Jesteście szaleńcami, jeśli wierzycie jeszcze w to, co mówią wam księża. Oni chcą tylko waszych pieniędzy. Co Bóg uczynił dla was? Czy macie dosyć żywności? Czy wasze dzieci nie głodują? Zamiast dać jeść — bajdurzą wam o niebie. O, wszystko będzie dobrze, gdy pomrzecie — powiadają. A ja wam mówię: będzie dobrze, gdy oni pomrą. Ale musicie mi pomóc.

Dziewczynka trzymała wciąż rękę na bucie porucznika. Spojrzał na nią z posępną czułością.

— To dziecko — rzekł z przekonaniem, — jest więcej warte niż rzymski papież.

Policjanci stali wsparci na karabinach: jeden z nich ziewnął. Indyk zasyczał i ruszył w stronę chaty.

— Jeśli widzieliście tego księdza — powiedzcie. Wyznaczono nagrodę siedmiuset pesów za niego.

Nikt się nie odezwał. Porucznik ściągnął konia i pchnął go w stronę chłopów:

— Wiemy, że jest w tym okręgu. Słyszeliście pewnie, co przytrafiło się komuś w Concepción.

Jedna z kobiet zaczęła płakać.

— Podchodzić jeden po drugim — rzekł oficer, — i podawać nazwiska.

— — Nie, nie kobiety: tylko mężczyźni.

Zbliżali się w milczeniu: porucznik pytał: „Nazwisko? Zajęcie? Żonaty? Gdzie żona? Czy wiesz co o księdzu?" Jeszcze tylko jeden człowiek oddzielał księdza od głowy konia. Kapłan na pół przytomnie czynił akt skruchy: „... moje grzechy, przez mękę i ukrzyżowanie mego Zbawcy... ale przede wszystkim dlatego, że chcieli..." Już stał przed porucznikiem — „postanawiam już nigdy Cię nie obrazić..." Był to akt formalny — człowiek musi być gotowy na wszystko; było to jakby pisanie testamentu — może tak samo bezwartościowe.

— Nazwisko?

Przypomniał mu się człowiek z Concepción.

— Montez — odpowiedział.

— Czy widziałeś księdza?

— Nie.

— Czym się zajmujesz?

— Mam trochę gruntu.

— Żonaty?

— Tak.

— Gdzie żona?

— To ja — krzyknęła nagle Maria. — Poco pan tyle pyta? Czy on wygląda na księdza?

Porucznik spojrzał na coś, co trzymał na kuli siodła: chyba na starą fotografię.

— Pokaż ręce — powiedział.

Ksiądz wyciągnął swe dłonie: były twarde jak ręce robotnika. Nagle porucznik pochylił się z siodła i powąchał oddech tamtego. Była cisza wśród chłopów — niebezpieczna cisza: zdawała się zdradzać lęk... Oficer spojrzał znowu na zapadniętą, nieogoloną twarz i znów na fotografię.

— Następny — powiedział.

Ksiądz odchodził już na bok.

— Poczekaj! — Porucznik położył rękę na głowę Brygidy i łagodnie pociągnął ją za czarne, sztywne włosy.

— Patrz na mnie. Znasz wszystkich w tej wiosce, prawda?

— Tak — rzekła mała.

— Kim jest ten człowiek? Jak się nazywa?

— Nie wiem — odparło dziecko. Porucznik wstrzymał oddech.

— Nie znasz jego nazwiska? To obcy?

— Ona głupia! — krzyknęła Maria. — Ona nie zna nawet własnego nazwiska. Proszę ją zapytać kto jest jej ojcem?

— Powiedz: kto jest twym ojcem?

Dziecko wpatrzyło się w porucznika, a potem zwróciło wiedzące oczy na księdza. „Panie, odpuść mi, żałuję za grzechy" — powtarzał w myśli kapłan, zaciskając kciuk na szczęście.

— To on. Ten tutaj — powiedziała dziewczynka.

— Dobrze, następny.

Badanie szło dalej jak poprzednio: nazwisko? zajęcie? żonaty? Słońce wychyliło się już znad lasu. Ksiądz stał skrzyżowawszy ręce na piersiach: śmierć znowu odroczono. Miał wielką pokusę rzucić się przed porucznika i wydać samego siebie: „jestem tym, którego szukasz". Czy rozstrzelają go zaraz? Złudna nadzieja pokoju kusiła go. W górze, wysoko, krążył sęp: stamtąd ludzie musieli zdawać się dwoma stadami drapieżnych zwierząt, które w każdej chwili mogą się rzucić na siebie: czarna plamka na niebie czekała na padlinę. Nie, śmierć nie była końcem cierpienia: wierzyć w pokój — to byłby rodzaj herezji.

***) Trzy fragmenty z powieści „The Power and the Glory" osnutej na tle prześladowań Kościoła w Meksyku.**

TŁUM. STAN. PAŁĘCKI

CHWAŁA*)

Ostatni mężczyzna został przesłuchany.

— Czy nikt z was nie chce mi pomóc? — spytał porucznik.

Stali, milcząc, przy rozwalonym wzniesieniu dla orkiestry.

— Słyszeliście pewnie, co stało się w Concepción. Wziąłem stamtąd zakładnika... a gdy przekonałem się, że ksiądz ukrywał się w okolicy, rozstrzelałem go pod pierwszym drzewem. Dowiedziałem się prawdy, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto później się rozmyśli: może ktoś tam z Concepción kochał się w żonie tego człowieka i chciał go usunąć z drogi. Zresztą pobudki mnie nie obchodzą. Ale wiem, że potem znaleźliśmy wino w Concepción... Może i tu jest taki, co pragnie waszego kawałka gruntu, albo krowy. Dużo bezpieczniej powiedzieć zaraz. Bo i stąd wezmę zakładnika.

Przerwał, po czym ciągnął dalej:

— Nawet nie potrzebujecie mówić, jeśli jest tu, między wami. Zwróćcie tylko oczy na niego. Wtedy nikt nie będzie wiedział, kto go wydał. On sam nie będzie wiedział — jeśli boicie się jego przekleństw. No! — to wasza ostatnia szansa.

Ksiądz patrzył w ziemię: nie chciał utrudniać zadania temu, który go wyda.

— Dobrze — rzekł wreszcie porucznik. — Wobec tego wybiorę sobie człowieka. Sami sobie winniście.

Cofnął się w siodle i patrzył w gromadę. Jeden z policjantów oparł karabin o wzniesienie i poprawiał owijacz na nodze. Chłopi patrzyli w ziemię: każdy chciał uniknąć wzroku oficera. Ten przestał nagle panować nad sobą.

— Dlaczego mi nie ufacie? Nie chcę śmierci żadnego z was. Dla mnie — czy tego nie rozumiecie? — jesteście więcej warci od niego. Pragnąłbym dać wam... — uczynił gest: bezwartościowy, bo nie widziany przez nikogo — dać wam wszystko.

— Ten. Ty, zabieram ciebie — rzekł po chwili głuchym głosem.

Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć:

— To mój chłopiec! To Miguel! Nie bierzcie mojego syna!

— Każdy jest czyimś mężem lub synem — rzekł ponuro oficer. — Wiem o tym dobrze.

Ksiądz stał cicho ściskając dłonie: kiście rąk zsiniały mu od gwałtownego zacisku. Czuł nienawiść kiełkującą wokoło: on nie był niczyim mężem ni synem.

— Panie poruczniku — powiedział.

— Czego chcesz?

— Starzeję się coraz bardziej i niewielki ze mnie pożytek w polu: weźcie mnie.

Stado świń wybiegło zza rogu chaty, nie przejmując się niczym. Żołnierz skończył ze swym owijaczem i wyprostował się. Słońce znad lasu migotało na butelkach wody sodowej w sklepiku.

Wybieram zakładnika — rzekł porucznik, — a nie próżniaka, który chce bezpłatnego mieszkania i utrzymania. Jeśli jesteś niezdatny w polu — nie nadajesz się na zakładnika.

— Związać ręce tamtemu — rzucił rozkaz, — i odprowadzić na bok.

Policja odeszła szybko: zabrali ze sobą dwa czy trzy kurczaki, indyka i człowieka imieniem Miguel.

— Zrobiłem, co było w mojej mocy — powiedział ksiądz głośno. — Wydać mnie to w a s z a sprawa. Czego się po mnie spodziewacie? Moja rzecz — nie dać się złapać.

* * *

Ksiądz usiadł na podłodze trzymając butelkę z wódką. Odkręcił korek i pociągnął. Alkohol nie działał na niego, jak gdyby był wodą. Opuścił butelkę i zaczął szeptać coś w rodzaju generalnej spowiedzi.

„Dopuściłem się cudzołóstwa" — zaczął. Formalistyczne zdanie nie miało żadnego znaczenia: brzmiało jak sentencja z gazety: coś takiego nie budzi skruchy.

„Spałem z kobietą" — rozpoczął znowu i spróbował wyobrazić sobie innego księdza pytającego go: „Ile razy? Czy była zamężna?" „Nie". Machinalnie pociągnął następny łyk wódki.

Gdy poczuł płyn na języku, ujrzał swe dziecko, nadchodzące ze światła: smutną, nieszczęśliwą, za dużo wiedzącą twarz.

„O Boże — powiedział, — poratuj ją. Potęp mnie, zasługuję na to, ale pozwól jej żyć na wieki". Taką miłość powinien czuć dla każdej duszy na świecie; cała obawa i pragnienie zbawienia skupiło się niesłusznie na jednym dziecku. Zaczął płakać. Było to, jak gdyby przyglądał się jej z brzegu — tonącej powoli dlatego, że on nie umiał pływać. „Oto, co powinienem odczuwać zawsze i dla każdego" — myślał. Próbował skierować uwagę na mieszańca, który go wydał, na porucznika, nawet na dentystę, z którym kiedyś rozmawiał parę minut, na dziewczynkę z plantacji bananów — przywoływał długi łańcuch twarzy, jak gdyby przepychając je siłą przez drzwi swojej pamięci. Oni wszyscy też byli w niebezpieczeństwie.

„Boże, poratuj ich wszystkich" — modlił się, ale znowu wrócił myślą do dziecka, stojącego na tle śmietnika: wiedział, że modli się tylko za nią. Znowu porażka.

Powrócił do spowiedzi: „Upijałem się — nie zliczę, ile razy; zaniedbywałem wszystkie me obowiązki; grzeszyłem pychą, nie byłem miłosierny..." Słowa wpadały znów w ton formalny, pozbawione były znaczenia. Nie miał spowiednika, który by skierował myśl od formuły do faktu

Popił wódki. Skurcz żołądka poderwał go na nogi: zbliżył się do drzwi i spojrzał przez kraty na gorący, oświetlony księżycem kwadrat podwórca. Widział policjantów uśpionych w swych hamakach — jeden z nich nie mógł zasnąć i huśtał się leniwie w górę i na dół, w górę i na dół. Dziwna cisza leżała wszędzie — nawet w więziennych celach. Zdawało się, że cały świat usunął się na bok taktownie, by nie patrzeć jak będzie umierał.

Macając ścianę powrócił na swoje miejsce w najdalszym kącie; usiadł i postawił butelkę między kolanami. „Gdybym przynajmniej nie był tak bezużyteczny..." — rozmyślał. Osiem ciężkich, beznadziejnych lat wydało mu się karykaturą służby Bożej: trochę udzielonych Komunij świętych, trochę spowiedzi i zły przykład bez ustanku. „Gdybym miał, choć jedną duszę zdobytą, by móc powiedzieć: patrz, oto, co uczyniłem..." Ludzie umierali za niego: zasługiwali na świętego kapłana; odczuł za nich posmak goryczy, że Bóg nie zechciał posłać świętego. „Padre José i ja" — myślał, — „Padre José i ja". Pociągnął znów z butelki. Wyobrażał sobie zimne twarze świętych, odrzucających go.

Noc dłużyła mu się bardziej, niż poprzednio spędzona w więzieniu, bo był sam. Gdyby nie wódka, którą skończył około drugiej nad ranem, nie byłby w stanie zasnąć. Mdliło go ze strachu, czuł bóle żołądkowe, usta wyschły po alkoholu. Zaczął mówić głośno do siebie: nie mógł dłużej znieść ciszy.

„To wszystko dobre... dla świętych" — uskarżał się płaczliwie; i później: „Skąd porucznik mógł wiedzieć, że to trwa tylko sekundę? Jak długa jest sekunda?" Wreszcie zaczął szlochać, bijąc lekko głową o ścianę. Dali szanse księdzu José, ale jemu nigdy nie stworzyli żadnej okazji. Może spaskudzili całą tę sprawę po prostu dlatego, że wymykał się im tak długo? A może naprawdę sądzili, że nie przyjmie warunków, na które zgodził się Padre José — że odmówi zawarcia małżeństwa, że jest zbyt dumny. Kto wie, gdyby podsunął tę myśl — może by wymknął się jednak? Nadzieja ukoiła go na chwilę: usnął z głową wspartą o ścianę.

Miał dziwny sen. Śnił, że siedział w kawiarni przed wysokim ołtarzem Katedry. Około sześciu dań rozstawiono przed nim: jadł chciwie. Zapach kadzidła i dziwne uczucie lekkości. Potrawy — jak zwykle jedzenie w snach — nie miały zdecydowanego smaku, ale wiedział, że po zjedzeniu ich, otrzyma najlepsze danie. Jakiś kapłan kręcił się przed ołtarzem odprawiając Mszę świętą, lecz on nie zwracał na nią uwagi: nabożeństwo już go nie obchodziło. Wreszcie talerze stały już próżne. Ktoś zadzwonił na Sanctus, celebrans ukląkł przed podniesieniem Hostii. Ale on siedział ciągle, nie przejmując się Bogiem — tam nad ołtarzem, jak gdyby to był Bóg dla innych, nie dla niego. Nagle kielich, stojący przy nim, zaczął napełniać się winem. Spojrzawszy w górę, spostrzegł, że usługuje mu dziewczynka z plantacji bananów. „Przyniosłam wino z pokoju ojca" — powiedziała. „Chyba go nie ukradłeś?" — „Nie zupełnie" — odparła swym dobitnym i dźwięcznym głosem. „To bardzo ładnie z twej strony" — rzekł. „Ale ja zapomniałem twój kod — jak to go nazwałaś wtedy?" „Morse". „Oczywiście: Morse. Trzy długie uderzenia i jedno krótkie". W tej chwili zaczęło się stukanie: stukał kapłan przy ołtarzu, stukali niewidoczni wierni wzdłuż nawy — trzy długie, jedno krótkie. „Co to znaczy?" — zapytał. „Nowina" — powiedziało dziecko, wpatrując się weń upartym, odpowiedzialnym, zaciekawionym wzrokiem.

Gdy obudził się — świtało już. Czuł w sobie potężną nadzieję, która nagle i zupełnie opuściła go wczoraj na widok więziennego podwórza. Tego ranka miał umrzeć. Przykucnął na podłodze z pustą butelką w ręce i usiłował przypomnieć sobie akt skruchy. „Boże, żałuję za grzechy i proszę o przebaczenie... o, Ukrzyżowany... zasłużyłem na wieczne potępienie..." Myśli mieszały mu się, czepiały innych rzeczy: nie była to dobra śmierć, o jaką modlą się ludzie. Spostrzegł cień własnej postaci na ścianie celi: był to kształt niespodziewany i groteskowo nieważny. Jak strasznym był głupcem, gdy myślał, że jest dość silny, aby zostać, gdy inni pouciekali. „Jakim nieznośnym jestem człowiekiem i jakże nieużytecznym" — myślał. „Nie uczyniłem nic, dla nikogo. Jak gdybym się nie urodził". Rodzice jego pomarli dawno — wkrótce umrze wspomnienie o nim — kto wie, może pomimo wszystko nie godny był potępienia? Łzy zaczęły płynąć mu po twarzy: w tej chwili nie bał się piekła, nawet strach przed bólem pozostał gdzieś za nim. Czuł tylko bezmierne rozczarowanie: miał oto pójść do Boga z pustymi rękami, nie dokonawszy niczego. Zdało mu się w tej chwili, że przecież całkiem łatwo mógł zostać świętym. Trzeba było tylko trochę opanowania, trochę odwagi. Czuł się jak ktoś, kto ze szczęście, spóźniwszy się o sekundę na wyznaczone miejsce spotkania. Wiedział teraz, że w istocie tylko jedna rzecz liczyła się naprawdę: być świętym.

GRAHAM GREENE

Tłum. St. Pałęcki

C. VIRGIL GHEORGIU — Przekład autoryzowany MARII CZAPSKIEJ

KAPLICA OBOZOWA*)

DARMSTADT: piętnasty obóz koncentracyjny. Podobny do wszystkich poprzednich. Ale jest w nim ponadto kaplica prawosławna. Maleńka, zaimprowizowana kaplica.

Trajan Koruga i Johann Moritz zdjęli furażerki i wstąpili do kaplicy. Mieściła się pod namiotem. W głębi znajdował się ołtarz. Ikony były wyrysowane węglem i kolorowymi kredkami na tekturze.

Nie było tu nawet podłogi. Sama ziemia.

Poprzedniej nocy padał deszcz. Woda przedostała się pod namiot i zmieniła ziemię w błoto.

W środku kaplicy znajdował się krucyfiks naturalnej wielkości. Trajan ukląkł u jego stóp. Pan Jezus był wycięty z kartonu. Kolce cierniowej korony — z puszek konserwowych, pociętych w drobne paski.

Trajan Koruga wzniósł oczy ku dłoniom Chrystusa, rozdartym ćwiekami i ranie Jego boku. Malarz nie posiadał czerwonego koloru aby wyobrazić krew. Tam gdzie powinny być rany przylepił czerwony papier z opakowania papierosów Lucky-Strike. Nie zatarto czarnych liter, były jeszcze czytelne.

— Nigdy nie widziałem Cię tak boleśnie ukrzyżowanego, Panie Jezu! — powiedział Trajan. — Przyszedłem aby się modlić za swoje rany. Ale nie jestem już w stanie tego zrobić. Wybacz mi, Panie Jezu, jeżeli się najprzód pomodlę za Twoje rany z Lucky-Strike, które skrwawiły Twoje uda, stopy i dłonie. Są bardziej bolesne od moich z krwi i ciała. Pozwól mi najprzód pomodlić się za te kolce z blaszanych puszek, kolce tej cierniowej korony na Twojej głowie.

Oczy Trajana, błądząc po ciele Chrystusowym, odkryły na piersi Zbawiciela literę „M", odbitą czernidłem drukarskim. To było „M" z pudeł M e n u U n i t, z tektury tych pudeł zostało wycięte ciało Chrystusowe.

Trajan wstał i ucałował nogi Chrystusa.

— Czuję teraz, że przyjąłem ciało Twoje, mój Panie Jezu, Nasze wieczyste „Menu" nadziei, Panie, Ty, moje M e n u U n i t, nigdy lepiej nie zrozumiałem, że ciało Twoje jest naszym pokarmem. Jak to się stało, że więzień-malarz wpadł na tą myśl, aby wyciąć obraz Twoj w tekturze pudeł M e n u U n i t u? Jesteś teraz symbolem całej mojej tęsknoty za boskością, chlebem i wolnością.

Trajan był w stanie ekstazy. Nie widział już nikogo wkoło siebie.

Johann Moritz przyglądał się aniołom, zrobionym z lakierowanego papieru opakowania na papierosy, ikonom Najświętszej Panny o naszyjnikach wyrobionych ze złoconych pokrywek P u d d i n g ó w.

Moritz przeżegnał się przed ikoną świętego Mikołaja, który przypominał księdza Korugę.

Następnie ukląkł koło Trajana i przyglądał się czerwonym ranom Chrystusa.

— Panie, nie proszę Cię, abyś odjął od ust moich ten kielich. Wiem, że to niemożliwe. Ale błagam Cię, abyś mi pomógł spełnić go. Od roku mam go tuż przy wargach. Od roku jestem na granicy życia i śmierci. Od roku życie moje zdaje się być snem. Jestem poza czasem, a jednak wciąż żyję. Życie wszystkimi porami uszło z mego ciała, a jednak trwam przy życiu, oddycham, wlokę się z miejsca na miejsce, wprowadzam do ciała mego chleb i wodę, mimo że nie pragnę tych pokarmów. A wszystkie te cierpienia pochodzą stąd, że nie umiem sobie zdać sprawę z tego, czy jestem więźniem czy też wolnym.

Widzę, że jestem uwięziony, ale nie mogę w to uwierzyć.

Widzę, że nie jestem wolny, a jednak Duch mój powiada mi, że nie ma żadnej przyczyny, abym nie był wolny. Męka wynikająca z tego nieporozumienia jest nieskończenie cięższa od niewolnictwa. Ludzie, którzy mnie zamknęli, nie żywią w stosunku do mnie uczuć nienawistnych, nie chcą mnie ukarać, nie pragną mojej śmierci.

Po prostu chcą zbawić świat!

A jednak zamęczają mnie i stopniowo przyprawiają o śmierć... Zamęczają i stopniowo zabijają całą ludzkość. Nie ja jeden cierpię. Wiem o tym.

Ci, co rządzą światem, poczęli budować olbrzymie szpitale, aby leczyć rany ludzkości. Ale spod ich kielni nie wznoszą się szpitale tylko więzienia.

Wszystko się dzieje tak, jakby ich ktoś zaczarował.

Myślę i nic nie rozumiem.

Dlatego chciałbym umrzeć. Pomóż mi umrzeć, Panie.

Nie mam już sił znosić nadal tej udręki.

Godzina, do której mnie zaliczono, nie należy już do życia, nie jestem zdolny przejść przez nią, obciążony moim ciałem i krwią. To dwudziesta piąta godzina, godzina zbyt późna, by móc być zbawionym, zbyt późna, by żyć. Zbyt późna na wszystko.

Zamień mnie, Panie, w bryłę kamienia, ale nie wydawaj mnie na życie!

Jeśli mnie opuścisz nie zdołam nawet umrzeć. Spójrz na moje ciało i na mój umysł: i ciało i umysł pragną śmierci, ja zaś wciąż żyję. Świat już nie żyje, ale też nie umarł. Nie jestem marą, ale nie jestem również istotą żywą.

Trajan Koruga ujął swoją głowę w obie ręce. Johann Moritz dotknął nieśmiało jego ramienia gestem pieszczoty ale Trajan nic już nie czuł.

Tłum. M. C.

*) Jest to fragment książki rumuńskiego pisarza C. V. Gheorgiu p.t. „La vingt cinquième heure", o której w nrze 18 ŻYCIA daliśmy obszerną informację pióra prof. W. Folkierskiego. Do tej głośnej książki powrócimy jeszcze raz w recenzji Marji Czapskiej. RED.

VENI, SANCTE SPIRITUS...

Przybądź, Duchu Święty
I zlej z niebiosów
Promień twego światła.

Przyjdź, ojcze ubogich,
Przybądź, dawco darów,
Przybądź, serc światłości,

Przyjdź, pocieszycielu,
Słodki gościu duszy,
Słodkie pokrzepienie,

Tyś spoczynkiem w pracy,
Tyś ochłodą w skwarze,
Tyś pociechą w płaczu.

O światłości błoga,
Napełń wnętrze serca
Wszystkich Twoich wiernych.

Bez Twojego bóstwa
Nie ma nic w człowieku,
Nie ma nic bez szkody.

Obmyj to, co brudne,
Zroś to, co jest oschłe,
Ulecz, co zranione.

Ugnij, co oporne,
Ogrzej, co jest zimne,
Sprostuj to, co zdrożne.

Udziel Twoim wiernym,
Tobie ufającym,
Siedem świętych darów.

Daj zasługę cnoty,
Daj zbawienny koniec,
Daj wieczystą radość.

Amen. Alleluja.

(Sekwencja ze mszy św. na Zesłanie Ducha Świętego).

J. T. MILIK

Rękopisy hebrajskie sprzed dwu tysięcy lat *)

APOKRYFY, CERAMIKA I GENIZA

BY podane w tytule równanie z trzech niewiadomych x, y, z biblistycznych rozwiązać, musi cierpliwy czytelnik „ŻYCIA", który już z ulgą odetchnął po lekturze dwóch pierwszych części artykułu, skreślone niżej uwagi przebiec oczyma.

1. Apokryfy znane i nieznane.

Zacznijmy od niemniej enigmatycznego tekstu z mało znanego listu św. Judy Tadeusza, ostatniego w serii Listów Powszechnych. W wierszu 14. powiada natchniony pisarz: „O nich to prorokował siódmy po Adamie Henoch" i przytacza passus, którego napróżno szukalibyśmy w kanonicznych księgach St. Testamentu, tak obficie cytowanych w pismach Nowego Przymierza. Nie chodzi tu o dręczący egzegetów problem dopuszczalności tego rodzaju argumentacji biblijnej, lecz o stwierdzenie faktu, iż hagiograf, święty autor literatury nowotestamentowej znał i cenił dzieło nieprzyjęte do kanonu ani palestyńskiego (hebrajskiego) ani aleksandryjskiego (greckiego), i dlatego właśnie nazywane apokryfem. Zwie się on księgą Henocha. Ułożony przez anonimowego pisarza w II w. przed Chr. zawiera imaginacyjny opis wędrówek Henocha, dziadka Noego, w zaświatach (jak babilońskiego herosa Gilgamesza, apokryficznego Ezdrasza, klasycznego Odyseusza i Eneasza, chrześcijańskiego wędrownika z „Boskiej Komedii), wiele dziwacznej astrologii, ale ponadto szereg przepysznych parabol, wizji mesjańskich, których centralną postacią jest Syn Człowieczy, apokaliptyczny Zbawca Izraela, rodzaju ludzkiego i wszechświata. Przez 3 wieki (II przed-I po Chr.) trwała żywotność tego rodzaju literatury zwanej apokryficzną ze względu na jej charakter niekanoniczny, apokaliptyczną od zawartości treściowej, lub wreszcie pseudepigraficzną dla literackiego zwyczaju przypisywania autorstwa utworu wielkim postaciom Historii Świętej: patriarchom, wodzom, królom i prorokom. Apokryfy, choć czytane chętnie i przez chrześcijan pierwszych wieków, powoli wycofywane były z obiegu, jakoże niekanoniczne, i ginęły, osnute prochem zapomnianych gościńców, baśnie wędrownice przebrzmiałych tęsknot religijnych ukaranego Narodu.

Najcenniejsze zachowały się jednak we wtórnych (z greckiego) przekładach etiopskich — kompletnie dochowanych — i fragmentach tłumaczeń greckich, łacińskich, syryjskich, koptyjskich, cerkiewnosłowiańskich itd. W kościele rzymskim powagą niejaką cieszyły się Apokalipsa Ezdrasza, do dziś drukowana w apendyksach wydań Wulgaty i z której pochodzą liczne teksty liturgiczne, chociażby „Wieczny odpoczynek..."

Szczęśliwym trafem O. de Vaux odnalazł wśród fragmentów hebrajskich z Groty Manuskryptów drobny kawałek tekstu z księgi Jubileuszów z III albo II w. przed Chr. dobrze nam znanej z tłumaczenia w języku etiopskim i z częściowej wersji łacińskiej, a zawierającej parafrazę historycznych partii Pentateuchu. Nazwę swą zawdzięcza ten ciekawy apokryf chronologicznym ramom dla faktów od stworzenia świata do Synaju, ujętych w cykle 49-letnie, z kunsztownym i efektownym uplasowaniem objawień synajskich w ostatnim roku jubileuszu jubileuszów (49×49), tj. w roku 2401 od Słów „rzekł Bóg: stań się światło"!

Uczeni badacze Starego i Nowego Testamentu z niecierpliwością oczekują opublikowania bardzo zniszczonego i kruchego zwoju własności Mar Atanazego a dziś w USA z troskliwą pieczołowitością przez najlepszych specjalistów rozwijanego w pracowniach technicznych z urządzeniami dla kontrastowego nasycania powietrza wilgocią lub suchym ciepłem. Na podstawie odłączonego od całości fragmentu manuskryptu wiemy, że zawiera on apokryf bardzo bliski księdze Henocha. Co jednak najważniejsze, to język tego dzieła nie hebrajski, jak wszystkich innych rękopisów z groty, lecz aramajski. Dotychczas mało owocne wysiłki, pasjonujące wielu semitystów i egzegetów, rekonstrukcji aramajskiej praformy wypowiedzi — logiów Chrystusa, zdobędą teraz rzetelną podstawę badań dzięki księdze Lamecha (imię ojca Noego), bo tak nazwano prowizorycznie bezcenny dokument literackiej aramajszczyzny czasokresem stu lat odległy, a raczej bliski, językowi katechezy Janowej, Chrystusa i apostolskiej.

Inne apokryfy przedchrześcijańskie odkryte wiosną 1947 roku były dotychczas całkowicie nieznane, co więcej, nie domyślano się nawet ich istnienia. Ma swą wymowę fakt pojawienia się na „rynku księgarskim", w jakże odmiennym świecie, ksiąg, wydobytych z dwutysięcznego letargu zapomnienia przez pastucha analfabetę brzękiem tłuczonego dzbana na odludnym cmentarzysku rękopisów.

Pomijając wspomniany przedtem komentarz do Habakuka, nawiasem mówiąc o 600-700 lat starszy od dotychczas znanych tego typu kompozycji wczesnośredniowiecznej egzegezy żydowskiej, kilka słów należy się omówieniu trzech apokryfów, z których dwa są w Uniw. Hebrajskim w Jerozolimie, a trzeci, wraz z Hab. i Iz. opracowują do publikacji, oby jak najszybciej, uczeni amerykańscy.

Rozerwany na trzy części zwój, w próbkach tekstu znany z książki Sukiennika: „Zwoje ukryte w pieczarze pustyni judzkiej", zawiera nieznaną narazie ilość kantyków, tj. w poetycką formę ujętych modlitw i medytacji bardzo przypominających kanoniczne psalmy. Głębokie refleksje religijne o miłości człowieka i wszechmocy miłosierdzia Boga, zdumiewające jasnością intuicji obrazy szczęśliwości niebieskiej, patetyczne wizje kresu wieków, przerażające i krzepiące zarazem, mało mają równych sobie w dziełach St. Test., a dopiero w księgach Nowego otrzymują pełną i definitywną formulację, spełnione pleromatycznie w Chrystusie i przez Chrystusa.

Urywek z jednego hymnu:

Dzięki Ci składam, Panie,
boś wybawił duszę moją z dołu
i z szeolu zatraty wydobyłeś mnie
na wyże wieczności.
Chodzę po równej drodze, bezkresnej,
i wiem, że jest dla stworzonego
z prochu nadzieja
wspólnoty wiecznej.
Ducha pełnego przewin oczyściłeś
z wielkich występków,
by służąc Ci stał na (wskazanym)
miejscu wraz z wojskiem Świętych
i wszedł do towarzystwa w
zgromadzenie Synów Nieba.
Cisnąłeś dla człowieka los wieczności
razem z Duchami wiedzy,
by chwalił Twe imię w towarzystwie
wespół z nimi
i opowiadał dziwy Twoje wobec
wszystkich dzieł Twoich
A jam przecie zlepek gliny, czymżem
jest,
otoczony wodami, za kogóż
uważanym
i jakąż moc z siebie posiadam?...1)

"Wojna synów światłości z synami ciemności", tj. synów Lewiego, synów Judy i Beniamina przeciw hordom Edonu i Moabu i synom Ammona... Filistei i hordom Greków Syryjskich, zawiera opis życia i rytuału zorganizowanej na sposób wojskowy grupy pietystycznej (chasidim), szykującej się do decydującej rozprawy w obronie religii i niepodległości z Seleucydami, władcami helenistycznej Syrii (III i II wiek przed Chr.). Czy jest to apokaliptyczne widzenie bliskiej pragnieniami przyszłości prześladowanego Ludu, czy spoetyzowany obraz historycznego ugrupowania w łonie Izraela trudno jest, i chyba będzie, powiedzieć.

A oto część modlitwy arcykapłana przed bitwą, inspirowanej w drugiej części tekstami Izajasza:

Powstań mocarzu,
spędzaj jeńców, mężu przesławny,
i zgarniaj łupy, sprawco potężny!
Połóż rękę na plecach wrogów
a sztandar twój na karkach pobitych.
Zetrzyj narody nieprzyjazne,
a miecz twój niech pożre mięso
nieprawych...
Syjonie, ciesz się wielmi,
pokaż się w zgiełku radosnym,
Jeruzalem,
weselcie się, wszystkie miasta
judzkie!
Rozewrzyj bramy twe na zawsze,
by ci wwiedziono bogactwo narodów,
a królowie hołdy składali;
aby upadli przed tobą wszyscy
przeciwnicy
i proch nóg twoich lizali.
Dziewczęta ludu mego,
wybuchnijcie zgiełkiem wesela,
obleczcie szaty odświętne... (2)

Opracowany przez M. Burrowsa tzw. **Sectarian Document** jest jak dotąd zbyt mało znany, by można było o nim powiedzieć więcej ponad to, że zawiera on przepisy i rytuał wtajemniczenia, wykazy obowiązków i sankcji karnych, skład zhierarchizowanej organizacji członków grupy sekciarskiej, być może nazywającej się „Synami Nowego Przymierza" lub „Synami Sadoka", znanej dotychczas z jedynego dokumentu hebrajskiego znalezionego przed 50 laty w Kairze.

2. Ceramika i paleografia.

Na zakończenie należy jeszcze wspomnieć o trzech ważnych problemach ogólnych tyczących zwojów, dyskutowanych zawzięcie przez specjalistów w ciągu ostatnich dwóch lat, a mianowicie: autentyczności i datacji manuskryptów oraz pochodzenia księgozbioru. Że pierwszą reakcją oglądających w Jerozolimie zwoje szczęśliwców a również i uczonych dowiadujących się o nich z prasy było podejrzliwe wietrzenie fałszerstwa i obawa przed kompromitującym „kantem", jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Dzieje archeologii i epigrafiki współczesnej roją się od setek drobnych i większych, mniej lub więcej udanych, falsyfikacji. Wystarczy przypomnieć, że w lipcu 1887 r. został ofiarowany British Museum rzekomy oryginał Deuteronomium za bajeczną sumę jednego miliona funtów szterlingów przez osławionego Szapirę z Jerozolimy, zdemaskowanego w po dziś interesującej książce ojca archeologii nowożytnej Clermont- Ganneau: „Fałszerstwa archeologiczne w Palestynie". Zbyt jednak daleko posunięta jest aktualna znajomość starożytności, by wątpliwości takie mogły trwać długo. Upartych jednak przeciwników autentyczności nie brak do ostatnich miesięcy. Na łamach „Jewish Quarterly Review" z Zeitlinem i Lachemanem usiłujących wykazać mniemany „hoax" znaleziska walczy umiejętnie Albright, największy orientalista naszych czasów, sekundowany przez Burrowsa i Trevera. Nb. dwa lata temu powiedział prywatnie Albright komuś w Rzymie, że tylko jeden człowiek na świecie mógłby sfalsyfikować te rękopisy, a to — kończył bezosobowo — Mr. Albright. Znów w letnich miesiącach ubiegłego roku szpalty londyńskich „Times'ów" służyły za arenę wcale zajmujących zapasów gladiatorskich. Zbrojny trójzębem retiarius, prof. Godfrey Driver, starał się uwikłać w sieć argumentów przeciwnika w przyłbicy, Mr. Leveena z British Museum i przebić mydlaną bańkę przedchrześcijańskiej daty zwojów. Po odnalezieniu wszakże Groty i zbadaniu dzbanów nawet najostrożniejsi i wyczekującą dotąd postawę zajmujący uczeni opowiedzieli się za autentycznością „największego znaleziska rękopiśmiennego naszych czasów".

Czemuż to garnki, w dodatku pobite, mają w tego rodzaju badaniach rolę decydującą? Wspomnieć tu pokrótce należy o kryteriach chronologicznego oznaczania znajdowanych podczas wykopalisk na Bliskim Wschodzie materialnych resztek kultur i ludów dawno wymarłych. W Egipcie i Babilonii sprawa jest prosta. Prawie zawsze znajdują się inskrypcje hieroglificzne, papirusy hieratyczne i demotyczne, tabliczki pokryte pismem klinowym, które, na ogół datowane, umiejscawiają precyzyjnie epokę warstwy kulturowej. W Palestynie materiałów inskrypcyjnych znajduje się bordzo mało. Podstawą chronologii stała się ceramika — bardzo rzadko całe, prawie zawsze potłuczone, gliniane wyroby użytku codziennego lub artystycznego w nieprzejrzanych ilościach wynoszone skrzętnie przez archeologów ze śmietników, lepianek i pałaców zmartwychwstających pod uderzeniem łopaty miast i fortec starożytnej Palestyny. Metoda, wymyślona przez Sir Flinders Petriego na przełomie 19 - 20 wieku, udoskonalona przez dwie generacje uczonych, pozwala na podstawie obserwacji techniki wyrabiania masy glinianej, sposobu wytaczania garnka na kole, kształtów naczyń, polewy, rodzajów wypalania i elementów zdobniczych określić znajdowaną ceramikę, a więc i całą warstwę wykopaliskową, z dokładnością do stu lat. Otóż dzbany i przykrywki znalezione w Grocie są bezsprzecznie typu hellenistycznego, tzn. pochodzą z późnego II wieku, albo I wieku przed Chr. Do tegoż okresu należy także kilka lampek oliwnych znalezionych przez Hardinga i de Vaux. Od drugiej połowy I w. przed Chr. zaczyna się, a od połowy I w. po Chr. panuje niepodzielnie w Palestynie ceramika wzorowana na rzymskiej.

Drugim, niemniej ważnym, wskaźnikiem chronologicznym, umożliwiającym oznaczanie wieku dokumentów niedatowanych, jest kryterium paleograficzne, tzn. badanie rodzaju i nieznacznych na ogół właściwości kształtów liter, ponadto osobliwości przygotowywania pergaminu, technika kopiowania, sposoby robienia korekt i metody filologicznej obróbki tekstu. Najwybitniejsi dzisiaj znawcy paleografii starohebrajskiej, S. Birmbaum, W. F. Albright, E. L. Sukiennik, P. Kahle, J. Trever, jednogłośnie opowiedzieli się za przedchrześcijańską datacją zwojów ze względu właśnie na cechy pisma w nich zawartego. Są nawet próby, tych samych uczonych, określenia precyzyjniejszego czasu powstania kopii, z dokładnością do połowy a nawet ćwierci wieku. Są to jednak tylko próby. Mimo znacznych postępów w ostatnich dziesiątkach lat, epigrafika i paleografia starohebrajska nie może równać się z akrybią papirologii, gdzie margines błędu nie przekracza ćwierci wieku, ani z precyzją dyplomatyki średniowiecznej, datującej dokumenty i rękopisy z dokładnością do 20 - 10 lat.

3. Geniza czy schowek?

Jakiego pochodzenia jest księgozbiór odkryty nad Morzem Martwym? Prof. Sukiennik, a za nim i inni, twierdzili, że była to **geniza**, to jest miejsce gdzie wynoszono zużyte zwoje z synagog i domów prywatnych, by je potem periodycznie spalać. Tylko zapomnienie, jak było z genizą karaimskiej bożnicy w Kairze, mogło uchronić szpargały od zniszczenia.

Staranność wszakże, z jaką zabezpieczono manuskrypty, świadczy, że mamy tu do czynienia raczej ze schowkiem, gdzie umieszczono bibliotekę ze względu na niespokojne czasy. Być może było to za Antiocha IV Epifanesa (175 - 163), który nakazywał palić wszystkie księgi religijne, wyszukiwane przez tamtoczesnych „SSów" po domach i synagogach buntowniczej Judei.

Trudniej narazie powiedzieć kto mógł być właścicielem tego księgozbioru 200 - 300 zwojów, jednego z największych w starożytnym świecie. Chyba nie świątynia jerozolimska, ani synagoga prowincjonalna (np. Jerycha), bo za dużo jest ksiąg niekanonicznych. Możliwość ta byłaby wykluczona z całą pewnością, jeśliby rzeczywiście znajdowały się wśród fragmentów kawałki papirusów z literami greckimi.

Mało też prawdopodobne, by jakaś drobna sekta żydowska zamieszkująca pieczary i eremy pustyni judzkiej, posiadała tak bogatą „bibliotheca sacra", zawierającą kopie powstające w przeciągu 100-200 lat.

Podpisany skłonny byłby uważać, że biblioteka, narastająca stuleciami, należała do bogatej rodziny arystokracji żydowskiej z Jerozolimy, ortodoksyjnie poprawnej, (stąd wiele ksiąg kanonicznych), religijnie i literacko zainteresowanej we współczesnej twórczości apokoliptyczno—sekciarskiej, ale ostatecznie nie pogardzającej, jak większość narodu, rzetelnymi wartościami kultury i literatury greckiej.

...Na wieść o dekrecie Epifanesa o niszczeniu ksiąg, roztropny mecenas każe, w największej tajemnicy, wyszukać w bezludnej okolicy pustynnej dobrze ukryty kąt. Wkrótce, w bezksiężycową noc, po pustych uliczkach Świętego Miasta, wąskimi drożynami, zbiegającymi ku Morzu Martwemu, wąwozami i dolinkami dzikich pustkowi, posuwała się ekskortowana przez milczących mężów zbrojnych w kije i miecze, długa karawana osłów. Każde zwierzę dźwiga na sobie po dwa dzbany, kołyszące się łagodnie po bokach. Przybyto na miejsce. Łańcuch ludzi przesuwa szybko od ręki do ręki, stągiew po stągwi, z dołu do wąskiego otworu groty, a stąd ostrożnie w dół do wnętrza pustej dotychczas czeluści. W podłużnej rozpadlinie skalnej, przy chybotliwym świetle oliwnej latarki, właściciel stawia jedną przy drugiej, rząd po rzędzie ciężarne pergaminami amfory.

„Wrócę niedługo" — szepnął osierocony nobil jerozolimski, rzucając ostatnie spojrzenie na majaczące w ciemności zbocze posępnej góry...

Józef T. Milik.

*) Porównaj artykuły: „W grocie manuskryptów" nr. 10 (141) oraz „Pochyleni nad manuskryptem Izajasza" nr. 16 (147) „ŻYCIA".

(1) i (2): Tłumaczenia własne z hebrajskiego.

Jedno z najwartościowszych wydawnictw polskich na obczyźnie

ALMA MATER VILNENSIS

Prace Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie — w dziesiątą rocznicę przerwania normalnej pracy Uniwersytetu.

Estetycznie wydany zbiór sprawozdań, dokumentów i wspomnień z licznymi ilustracjami.

Cena 6/- i 6 d. przesyłka Na składzie:
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, Praed Mews, Lodon, W. 2.

POLACY W SZWAJCARJI ORGANIZUJĄ ZJAZD KATOLICKI

PIERWSZY w Szwajcarii Zjazd Katolicki odbędzie się we Fryburgu na Zielone Święta, w dn. 28 — 29 maja br.

Nie jest to wydarzenie małe, jest to natomiast wydarzenie wysoce zastanawiające. Właśnie w okresie, gdy liczba Polaków w Szwajcarii zmniejsza się skutkiem licznych wyjazdów za morza, gdy szeregi istniejących organizacyj polskich topnieją, jedynie zrzeszenia katolickie i ruch religijny wzrasta w sposób żywiołowy. Powstają nowe Koła P. K. S. U. „Veritas", Akcja Katolicka ogarnia największe ośrodki polskie, liczba praktykujących wzrasta w sposób przewyższający wszelkie oczekiwania. Dość powiedzieć, że np. w Zurychu niemal wszyscy Polacy przystąpili do Stołu Pańskiego w okresie wielkanocnym, czego nigdy dotąd nie obserwowano.

Powierzchownym tylko tłumaczeniem byłby fakt, że duszpasterstwo polskie w Szwajcarii zostało przeorganizowane, że księża w sposób bardziej systematyczny i częściej dojeżdżają do poszczególnych miejscowości. Gdyby społeczeństwo było obojętne, wynik byłby prawie żaden. Okazało się jednak, że tęsknota do Boga drzemie w sercach, a nieco bardziej sprzyjające okoliczności rozpaliły ją widomym, jasnym płomieniem, który objął polską masę uchodźczą w Szwajcarii.

W tej sytuacji Zjazd Katolicki, którego inicjatywa wyszła z paru ośrodków jednocześnie, stał się palącą potrzebą terenu. Inicjatywa napotkała serdeczne przyjęcie u przedstawicieli duchowieństwa. Protektorat nad Zjazdem objęli: X. Arcyb. Filippo Bernardini, Nuncjusz w Bernie, X. Biskup Lozanny, Genewy i Fryburga Franciszek Charrière oraz X. Biskup Józef Gawlina, Opiekun Uchodźstwa Polskiego, który przybędzie osobiście do Fryburga.

Główną pracę organizacyjną Zjazdu wzięło na siebie środowisko fryburskie. Obok przedstawicieli duchowieństwa z O. Prof. I. M. Bocheńskim, O. Kasjanem oraz X. J. Wawrzyńczakiem na czele, do roboty stanęli z zapałem „cywile". Przewodnictwo Komitetu Organizacyjnego objął p. Czesław Kalina. Komitet pozyskał współpracę delegatów w 9 głównych ośrodkach. Do Komitetu Honorowego weszli wybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa polskiego i szwajcarskiego w liczbie piętnastu.

W rozesłanej masowo odezwie Komitetu Organizacyjnego czytamy:

„...Chcielibyśmy, aby na Zjeździe było nas jak najwięcej, abyśmy mogli w jak najliczniejszej gromadzie wziąć udział — tak jak to czyniliśmy w Polsce — w wielkim nabożeństwie z polskimi śpiewami i kazaniem..."

„... Nasz Arcypasterz J. E. X. Józef Gawlina obiecał łaskawie przybyć na Zjazd i uzyskał u Ojca św. przywilej odpustu jubileuszowego dla uczestników Zjazdu, którzy nie mogą odbyć pielgrzymki do Rzymu."

„...W czasach dzisiejszych, czasach nawrotu prześladowań religijnych, gdy miliony katolików narażonych jest na szykany, a niejednokrotnie cierpienia i śmierć za Wiarę, gdy Kościół atakowany jest brutalnie przez ateuszów, obowiązkiem nas, ludzi żyjących w kraju wolności przekonań religijnych, jest zadokumentowanie gorącego przywiązania do Wiary i miłości do Boga.

„Po raz pierwszy od lat będziemy mieli sposobność spotkać się na Zjeździe, modlić się wspólnie, omówić sprawy, które nas łączą i określić zadania, jakie przed nami stoją.

„Polacy i Polki! Przybądźcie jak najliczniej do Fryburga!"

P.S.: Redakcja ŻYCIA, którą łączą tak serdeczne i bliskie węzły z „polskimi Szwajcarami" przyłącza się najserdeczniej do życzeń, jakie w dzień swego Zjazdu otrzymają Rodacy w Szwajcarii od zgrupowań polskich na uchodźstwie.

ZDZISŁAW MARYNOWSKI

STRACH PRZED ZDEKLASOWANIEM

KIEDYŚ, bardzo już dawno, bo przed trzydziestu laty, znalazłem się na wsi w towarzystwie kilku osób, którym zabrakło „czwartego„ do brydża.
— Nie umie pan grać? — zatroszczył sie bardzo poważnie starszy pan o senatorskiej postawie i wytwornych manierach. — To szkoda— Będzie pan miał smutną starość.

Troska o starość nie bardzo jeszcze wówczas doskwierała, gdy miałem ledwie dwadzieścia lat, lecz akcja zabezpieczająca ją rozpoczęła się — natychmiast.

Zaraz tego samego wieczora wtajemniczono mnie w zasady plafona. — Wielki reformator tej gry, Ely Culbertson był w owym czasie zapewne takim samym początkującym graczem, jak ja.

Przekroczyłem pięćdziesiątkę i... przestałem grać w brydża, jednak nie dla podkreślenia swej młodości. — Choć uważam się za młodego człowieka w dojrzałym wieku, nie mogę się oprzeć podobnemu uczuciu, jakie ma ktoś, kto lekkomyślnie roztrwonił połowę majątku, za to do drugiej połowy zabiera się teraz z powściągliwą ostrożnością doświadczenia, pragnącego ze smakiem wykorzystać jej wszystkie pozostałe możliwości.

W rozmowie z pewnym młodym, bardzo realnym, bardzo trzeźwym człowiekiem, którego fascynują wyłącznie zagadnienia gospodarcze i finansowe, pozwoliłem sobie użyć trawestacji życiowej mądrości mego mentora sprzed trzydziestu lat.
— Nie czyta pan powieści? Nie zna się pan na sztuce? To wielka szkoda. Będzie pan miał smutną starość, gdy pana już przestanie bawić robienie pieniędzy.

*

Obracając się wśród rodzimej inteligencji na obczyźnie, podziwiam gorączkową ruchliwość umysłu rodaków w dziedzinie upatrywania miejsca następnego etapu wędrówki. Co rusz ktoś wyjeżdża do Australii, Afryki, Urugwaju, Argentyny, Peru, Chile. Czy ja wiem dokąd jeszcze! — Po co? Że tam lepiej? Że ówdzie łatwiej? Że gdzie indziej weselej?

A potem przychodzą listy, że źle że trudno, że smutno, że oszukali, że okradli, że żyć nie dają.

Jest w tej gorączkowej ruchliwości istotnie coś gorączkowego. Coś z maligny. Jakieś gorączkowe przewracanie się z boku na bok, w poszukiwaniu lepszej, wygodniejszej pozycji na tym samym sienniku. Ale to nie siennik winien — to gorączka, która siedzi w nas samych.

Gorączka i zmora. Zmora — strach przed zdeklasowaniem ostatecznym. Szczytem marzeń emigracyjnych, puklerzem urojonym przed zdeklasowaniem jest Ameryka — kraj szansy, perspektywy — Stany Zjednoczone, broniące się zdecydowanie przed napływem nowych emigrantów. Nasi brydżyści, łupiący po nocach, po Orłach i Ogniskach robry za robrami, po staremu, po naszemu, nie podług zasad Culbertsona, lecz „na rozum", bo grając tą metodą, mniej myśleć potrzeba — myślenie, panie szanowny, rzecz męcząca! — radziby walić tam kupą, ufni w szczęśliwy przypadek, co to jednemu „patałachowi" pozwolił założyć szkołę brydżową w New-Yorku.

O, New-Yorku! — majaku zgorzkniałych, ucieczko stumanionych, nadziejo lekkomyślnych, obietnico niepokojem trawionych.

New-Yorku! — U.S.A! — wizjo dobrobytu! — tęczo bogactwa! — ułudo rozumu! — — —

*

Bogactwo ma dla ludzi urok nieprzeparty. W człowieku, mającym materialną możność wprowadzenia w czyn swoich, czasem nie ważkich, a czasem niewczesnych pomysłów, skłonni jesteśmy dopatrywać się wybitnej inteligencji, rozumu, nawet geniuszu. Obdarzamy go moralnym kredytem, gotowi jesteśmy ulegać jego autorytetowi.

Ameryka sama uwierzyła w swój geniusz. Stać ją na wszystko. Kupić może i wiedzę, i sztukę, i kulturę. Ma najsilniejsze teleskopy, największe samochody, najliczniejsze radiostacje, najbogatsze zakłady naukowe, monopol energii atomowej, bombę wodorową, największe drukarnie, największą produkcję filmową, najwyższą stopę życiową...

Stopa życiowa. To jest takie dość dziwaczne, nie sprecyzowane pojęcie. Bo to jest i własny samochód, i elektryczna lodownia, i automatyczna pralnia, i szynka w konserwach, i telefon, i radio, i telewizja, i własny domek, i róże na klombie, jedwabna piżama, ubranie zawsze prosto od krawca, luksusowe umeblowanie i wiele innych rzeczy. — I co jeszcze?

Widziałem film amerykański, w ktorym nie poślednią rolę odgrywało mieszkanie bohatera. — Nie pamiętam, czy był to znakomity aktor, wirtuoz, czy reżyser. W każdym razie ktoś należący do świata kultury. — Wielki pokój, w którym pośrodku stało wielkie biurko, otoczony był wielkimi szafami pełnymi wspaniale oprawnych książek. W toku akcji okazało się jednak, że szafy te zawierają... ubrania, bieliznę, sprzęt sportowy, bar podręczny i inne pożyteczne przedmioty. Książki zaś są świetnie, naturalistycznie namalowaną dekoracją. — Wysoka stopa życiowa kopała w oczy każdym szczegółem.

Wyobrażam sobie, że w takiej bibliotece doskonale można myśleć o interesach i spełniać obowiązek ciągłego powodzenia, które wisi zawsze i we wszystkich dziedzinach na cieniutkim włosku koniunktury. Żadne nie-materialistyczne tchnienie, gnieżdżące się czasem w prawdziwych książkach, nie zachwieje biznesowej równowagi ducha.

*

Ulubioną lekturą 65. milionów Amerykanow, jak twierdzi „Newsweek" z 24 kwietnia b.r., stanowią „comic strips", albo „the funnies". Są to bezmyślne, rysunkowe, ciągnące się w nieskończoność, sensacyjne historie, w których rysowani bohaterowie prowadzą dialogi, wydobywające się w postaci napisów z ich ust. Mimo powszechnego określenia — comics, czy funnies — nie są to wcale utwory humorystyczne. Są to sensacje o najprymitywniejszym poziomie rysunkowym, zaprawione erotyzmem i kryminałem. Królem autorów tej namiastki literatury jest Milt Caniff, którego produkcję dzierżawi Marshall Field na spółkę z Hearstem (dwaj potentaci prasowi), gwarantując mu, jako minimum, dwa tysiące dolarów tygodniowo.

Poważny tygodnik amerykański, poświęcając twórczości Caniffa aż trzy strony tekstu i omawiając jego popularność na rynku, stara się jednak zachować pewien umiar w zachwytach. — Dumas z Ohio jest określeniem, które nie wydaje się autorowi artykułu przesadą.

Przedstawiciel agencji Fielda, czy Hearsta posunął się jednak dalej w uznaniu dla tego „kartunisty". Sprzedając jakiemuś pomniejszemu wydawcy prawo do publikacji najnowszej „powieści" Caniffa pt. „Steve Canyon" na pniu, tak oto dumnie odparł jego ostrożną ciekawość, dotyczącą treści jeszcze nie wykończonego utworu: „Chciałby pan żądać próbki od Szekspira!"

Opis artystycznych metod pracy tej sławy, która nie cofa się przed przejrzeniem 30-tu książek, aby znaleźć szczegół stroju mandaryna chińskiego, jest zupełnie rozbrajający i odpowiada mniej więcej temu, jak reżyser z Hollywood, przedstawia nam czasem w filmie proces twórczy pisarza lub uczonego. Coś jak w niemieckim przysłowiu: wie sich der kleine Kohn Africa vorstellt.

*

W roku ubiegłym, nie wychodzący już obecnie londyński miesięcznik „Horizon" przyniósł doskonały, obszerny szkic o amerykańskich stosunkach wydawniczych i o amerykańskim pisarzu, który jest chyba najnieszczęśliwszą istotą na świecie. — Jeżeli sam nie chce ulec gustom publiczności, to musi ulec wymaganiom „literackiego" kierownictwa zakładu wydawniczego, które jest taką samą fabryką kalek w stosunku do utworów, jaką w stosunku do ludzi znajdujemy w „Operze za trzy grosze".

Jeżeli autor napisze, że bohater zbliżył się do okna, przez które widać było wzburzone fale morza, przypominające mu swym zachowaniem stan własnej duszy, a ironicznie patrzący na to księżyc, podszepnął mu mrożące krew w żyłach pytanie: „Po co to wszystko?" — to może być pewny, że kierownik literacki nieznacznie poprawi mu tekst, aby stało się jasne, że bohater zbliżył się do okna, przez które widać było rozsłonecznione morze, ściśle odzwierciedlające jego stan rozradowanej duszy, a śmiejące się słońce wywołało na jego wargi beztroski okrzyk: jakże piękne jest życie!

Cytata nie jest ścisła, gdyż przytaczam jedynie wrażeniowo, z pamięci i jestem pewny, że nie oddałem dostatecznie całej absurdalności „poprawek".

Wydawca tłumaczy się, że nie jest reprezentantem sztuki, lecz biznesu, a same koszta reklamy książki wymagają sprzedaży dziesięciu tysięcy egzemplarzy, dochód zas może się zacząć dopiero po iluś tam tysiącach, że więc książka musi odpowiadać „gustom" publiczności, które on rzekomo zna.

*

95 procent mieszkań amerykańskich posiada przynajmniej jeden odbiornik radiowy. Podług opinii czikagowskiego Sun - Time (tam własnie Caniff ogłasza swe „dzieła") więcej mieszkań posiada radio, niż telefony i łazienki. Ogółem czynnych jest 2.800 stacji nadawczych radiofonicznych, obsługujących 75 milionów odbiorników i 88 stacji telewizyjnych, obsługujących około 3 milionów odbiorników. — Dane z ubiegłego roku. Stacje nadawcze są częściowo własnością wielkich towarzystw i stanowią powiązane z sobą organizacyjnie sieci, jak NBC, CBS i inne, częściowo są to mniejsze, lokalne przedsiębiorstwa.

Ponieważ za posiadanie odbiornika nikt nic nie opłaca, więc stacje nadawcze pokrywają koszt programów z reklamy. W artykule p.t. „The State of American Radio", w ostatnim zeszycie „The BBC quarterly" Robert M. Hutchins, Kanclerz Uniwersytetu w Chicago, podaje, że w bieżącym sezonie dochód wielkich towarzystw z reklam wynosił 249 milionów w dziale radiofonii, a 28 milionów dolarów w dziale telewizji. W cyfrach tych nie są objęte dochody stacji lokalnych.

Jakie są tego skutki? — Że najlepsze godziny są przeznaczone na reklamy; że program kształcący jest spychany na godziny, w których nikt go słuchać nie może, lub wogóle kasowany; że żadna praca eksperymentalna nie jest prowadzona i że to co dociera do uszu słuchacza jest na najniższym poziomie, w imię jego rzekomych gustów i w imię skuteczności reklamy.

„Najlepszy program jest ten, który potrafi spowodować największą sprzedaż towaru" — powiada jeden z dyktatorów programu, dr. Duane Jones, szef wielkiej agencji reklamowej. Inny dyktator, W. Ratner, wiceprezes Columbia Broadcasting System twierdzi: Radio jest uczynione na podobieństwo narodu amerykańskiego. Krytycy gorszą się programem. W rzeczywistości gorszą się narodem Stanów Zjednoczonych. Masy lubią „comics", Betty Grable, płaską komedię, prymitywny dramat — to jest wulgarne, szybkie, proste, podstawowe. To odpowiada ludziom. Krytycy nie chcą widzieć smaku narodu. To amerykański system edukacyjny należy oskarżać, że nie podnosi poziomu kulturalnego narodu.

Prof. Hutchins odpiera te wykręty bardzo energicznie, dowodząc, że radio, będąc tak potężnym instrumentem edukacyjnym, działalnością swą przeciwdziała innym wysiłkom i bynajmniej nie odpowiada gustom ogółu. Ten wspaniały wynalazek, mogący być błogosławieństwem ludzkości, w rękach biznesu reklamowego staje się niszczycielem kultury.

Jeżeli jednak program radiowy jest tak nędzny i jeżeli to rzeczywiście nie prawda, że odpowiada złemu smakowi ludzi, to czemu tak wielu ludzi go słucha? Odpowiada na to G. Probst, dyrektor radia Uniwersyteckiego w Chicago, twierdząc, że wielu ludzi, nie słuchając programu, tylko dlatego nie zamyka odbiornika, że hałas płynący stamtąd „pomaga wypełnić pustkę amerykańskiego życia".

* * *

I jakoś nie mogę przejąć się marzeniami wielu innych rodaków o amerykańskim raju dobrobytu, wysokiej stopy życia, chroniącej od zdeklasowania.

Jakoś te największe na świecie drukarnie, oddające swe najwspanialsze możliwości na użytek pana Milta Caniffa; jakoś najpotężniejszy przemysł filmowy, przetwarzający pod kierunkiem pana Goldwyna, pana Zukora, czy Cymbalisty najwspanialsze dzieła literatury w karykaturę; jakoś te dwa tysiące osiemset stacji radiowych, które mogłyby dokonać wielkich dzieł kulturalnych, a zajmują się wytwarzaniem hałasu, dla wypełnienia... pustki życia amerykańskiego i jakoś nawet sam, naprawdę mądry i inteligentny, Culbertson, który z brydża potrafił zrobić przedmiot poważnych studiów — jakoś mi to wszystko nie odpowiada.

O Amerykanach mówi się, że to młody naród. Ale, dalibóg, jeśli Hutchins nie zwycięży Ratnera, René Claire Cymbalisty, a Szekspir Caniffa — to ten młody naród może mieć smutną, naprawdę zdeklasowaną starość.

Zdzisław Marynowski

UKAZAŁO SIĘ
drugie wydanie
POEMATU
Michała Pawlikowskiego
p. t. :
WIERZĘ W JEDNEGO BOGA
„Forma przejrzysta i wytworna"
CENA: 2/6 i 3 d przesyłka
Na składzie:
Katolicki Ośrodek Wydawniczy „VERITAS"
12, Praed Mews,
London W. 2.

Najnowsze książki

Ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski
EWANGELIE, ICH POWSTANIE I RODZAJ LITERACKI
Dzieło znanego biblisty. Wyd. II, Niepokalanów, 1949.
Cena 5/-

Ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski
PROLEGOMENA DO NOWEGO TESTAMENTU
Syntetyczne opracowanie podstawowych wiadomości o Nowym Testamencie i jego poszczególnych częściach.
Cena 18/-

Ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski
DZIEJE PAWŁA Z TARSU
Interesująco i pięknie napisana monografia św. Pawła.
Cena 18/-

Św. Augustyn
WYZNANIA
Tłumaczenie, wstęp i komentarz ks. prof. dra J. Czuja.
Jedno z najsłynniejszych dzieł w dziejach kultury chrześcijańskiej.
Cena 18/-

Biskup Karol Radoński
ŚWIĘCI I BŁOGOSŁAWIENI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO
Encyklopedia hagiograficzna.
Wydanie Księgarni św. Wojciecha.
Stron 528, okładka kolorowa ilustr.
Cena 18/-

Helena Morawska
ŚW. TOMASZ MORE
Monografia wielkiego kanclerza i świętego angielskiego
Cena 6/6

Ks. prof. dr Piotr Chojnacki
WSTĘP DO FILOZOFII I ZARYS ONTOLOGII
Katolickie ujęcie podstawowych wiadomości filozoficznych.
Cena 6/3

Wanda Ładzina
JADWIGA - WIELKA KRÓLOWA POLSKI
Ilustrowane czytanki historyczne, niezmiernie przydatne szkołom polskim.
Paryż, 1950.
Cena: 5 sh.

Ks. Ign. Podgórski
POD KORCEM
Życiorys prosty skromnego kapłana, ks. Józefa Kosibowicza ze Sromowiec Wyżnych.
Cena 3/6

Juliusz Kędziora
SZYMON SYN JONY
Piękna powieść o św. Piotrze.
Cena 15/-

Pia Górska
TARCZA I KAPTUR
Powieść z XIII wieku — z 8 drzeworytami E. Kuczyńskiego.
Cena 9/6

Artur Chojecki
OWOCE BOŻEGO SADU
Wiersze o Świętych Pańskich dla młodzieży.
Wydanie ilustrowane
Cena 4/-

Siostra Bronisława
O DZIECIĄTKU JEZUS
Książeczka dla dzieci z kolorowymi ilustracjami.
Cena 2/-

Wszystkie książki na składzie:
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, Praed Mews, LONDON W. 2.

Do każdego zamówienia prosimy dołączyć 6 d. na przes.

W każdym domu polskim
KATECHIZM PODSTAWOWY
Zamawiać
w KATOL. OŚRODKU WYDAWNICZYM „VERITAS"

NA MARGINESIE

W PARYŻU pojawił się na ekranie nowy rosyjski film „Bitwa pod Stalingradem". Cenzura francuska kazała wyciąć scenę stanowiącą dialog między Stalinem, Mołotowem i Churchillem w Moskwie w 1942 roku. Churchill informuje w niej, że wyładowanie wojsk sprzymierzonych w Europie w tym roku jest niemożliwe, natomiast nastąpi w 1943. Stalin domaga się pomocy w „interesie ludzkości" i zapytuje „jaką Churchill daje gwarancję, że zobowiązania jego nie zostaną pogwałcone?" Churchill nic nie mówi i zapala cygaro!

„Panie Premierze, nastaje Stalin, Związek Sowiecki i jego armia zatrzymają ofensywę niemiecką, ale odpowiedzialność za dziesiątki tysięcy nowych ofiar w Europie spadnie całkowicie na tych, który złamali uroczyste zobowiązania i nie dotrzymali obietnic". Churchill i Harriman wstają, żegnają się i wychodzą. Następuje długie milczenie, wreszcie Stalin mówi do Mołotowa: „Wszystko jest jasne... Chcą po prostu pierwsi dotrzeć do Bałkanów... Chcą widzieć nas zbroczonych krwią, by potem dyktować nam warunki. Chcą, byśmy wyciągali kasztany z ognia. Ale się mylą. Słowianie będą z nami!"

Zachód ogień zagasił a kasztany znalazły się w kieszeni Stalina.

*

GÓRNIK, Wiktor Markiewka wykonał roczną normę w ciągu 82 roboczych dni. Na jego ręce nadeszła z Moskwy od tokarza Aleksego Paszencowa depesza: „Z całego serca gratuluję Wam wielkiego sukcesu w pracy. Rad jestem zawiadomić Was, że wykonałem roczne zadanie w ciągu 4 miesięcy..." Wmieszał się w to „inicjator współzawodnictwa długofalowego w Polsce" który do obu bohaterów zatelegrafował: „Szczęśliwy jestem, że wraz z Wami wzmożoną pracą dobrze przysługujemy się sprawie pokoju". Na czym polega rekord „inicjatora". niewiadomo.

*

POZKAZ wojskowy nr. 26, wydany w Warszawie w dniu 1 maja br., a podpisany przez Konstantego Rokossowskiego jako „marszałka Polski" kończy się okrzykiem na cześć Wojska Polskiego, armii radzieckiej, Bolesława Bieruta i generalissimusa Stalina. Wojsko polskie jest nazwane „strażą pokoju i niepodległości socjalistycznego budownictwa naszej Ojczyzny". Naszej? Czyjej? Niech każdy sobie dośpiewa, gdzie jest ojczyzna Rokossowskiego?

Tuwim w pierwszomajowym numerze ‚Nowej Kultury' robi wysiłki, by na terenie „ojczyzn" się nie pośliznąć i płodzi taką złotą myśl: „Tylko bestie dążą do wojny, a dla bestyj nie ma miejsca wśród nas, uczciwych synów tej ojczyzny i wszystkich ojczyzn, z których się ludzkość składa". Pisząc „tej ojczyzny" Tuwim unika sprecyzowania o jaką chodzi. W razie potrzeby może nią być ojczyzna — Konstantego Rokossowskiego! x.y.z

Krzyżyki jerozolimskie

Posiadamy ograniczoną ilość pięknie wykonanych, srebrnych krzyżyków jerozolimskich

Cena 2/6 plus 6 d za porto

Veritas Found. Publ. Centre
12, Praed Mews, London W. 2.

LISTY DO REDAKCJI

W sprawie „Dzikich pielgrzymów"

Szanowny Panie Redaktorze!

W n-rze 19/150 ŻYCIA ukazała się notatka o przykrym zaniedbaniu, ze strony czynników polskich, przedstawienia Ojcu św. pielgrzymki polskiej, obecnej na audiencji w bazylice św. Piotra w W. Sobotę. — W związku z tym chciałbym poruszyć inną przykrą sprawę, która domaga się sprostowania, a conajmniej wyjaśnień.

Swego czasu ukazał się w „Gazecie Niedzielnej" komunikat Polskiego Komitetu Roku Świętego, dotyczący pielgrzymek do Rzymu. W komunikacie tym oświadczono, że pielgrzymi indywidualni — których nazwano pogardliwie „dzikimi pielgrzymami", —nie mogą liczyć na opiekę, ani żadne poparcie w czasie swego pobytu w Rzymie. — Tego rodzaju postawienie sprawy wykazuje zasadnicze niezrozumienie zarówno historycznych tradycji i idei Roku Św., jak i obecnej sytuacji Polaków na emigracji.

— Od najdawniejszych czasów istnienia Jubileuszu, do Rzymu podążały tysiące pielgrzymów, nie tylko w zorganizowanych pielgrzymżach, ale zwłaszcza indywidualnie i spontaniczność wędrówki wiernych do Wiecznego Miasta była zawsze jedną z podstawowych cech Anno Santo. Jeśli pielgrzymi łączyli się w grupy, to ze względu na bezpieczeństwo. Jednak indywidualni pielgrzymi nie byli „dzikimi", lecz pełnoprawnymi pielgrzymami.

Dziś na emigracji jest wielu Polaków, którzy zdecydowani są jechać w tym roku do Rzymu, mimo iż nie stać ich na wzięcie udziału w zorganizowanych pielgrzymkach (co byłoby i wygodniejsze dla nich samych, jak i ze względów prestiżowych „bardziej wskazane": — patrzcie ludy na zwartość polskiego społeczeństwa katolickiego na emigracji!).

Znam wiele osób, zwłaszcza pośród młodzieży akademickiej, które — korzystając z wakacji letnich — podążą do Rzymu wysiłkiem własnych mięśni — na rowerach. Może nawet nie tylko ze względów finansowych, ale przede wszystkim ze względu na ten wysiłek, który chcą ofiarować Bogu w siedzibie Jego Namiestnika. Czy ludzie ci są mniej godnymi pielgrzymami, mniej zasługującymi na pomoc i opiekę, niż „zorganizowani" pielgrzymi „kolejowi" czy „autobusowi"?

Rok Święty jest dla wszystkich wiernych. Każdy katolik, w Miłościwe Lato podążający do grobu Księcia Apostołów, jest pełnowartościowym pielgrzymem. Ci, którzy idą tam w pocie czoła, sami, bez pomocy najnowocześniejszych środków lokomocji, zasługują nie na epitety, ale na pomoc ze strony miarodajnych czynników, które w tym celu przede wszystkim się ukonstytuowały. Tak rozumie to Ojciec św. Trzeba tylko czytać, czytać pilnie, Jego Orędzie o Miłościwym Lecie. Trzeba, by zgłębili ducha tego Orędzia także i ci, którzy przebywają tak blisko jego Autora.

Piszę tych kilka słów, Panie Redaktorze, wierząc, że sprawa ta, napozór może taka błaha, jest ważna. Chodzi o to, by takie wydarzenia jak Rok Święty, były przeniknięte duchem chrześcijańskim pod każdym względem, także i jeśli chodzi o stronę organizacyjną.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Bolesław Taborski

(20, Cotham Rd., Bristol 6).

NAJWYBITNIEJSZE WYDAWNICTWA SZOPENOWSKIE OSTATNIEJ DOBY:

PROF. ZDZISŁAW JACHIMECKI

CHOPIN

Rys życia i twórczości

(Najlepsza muzykologiczna monografia Chopina)

Stron 387. Cena 20/- i 6 d przesyłka.

FRYDERYK CHOPIN

Biblioteka Narod. Opracowanie Prof. Z. Jachimeckiego.
Cena 6/6 i 6 d przesyłka.

Do nabycia w

Katolickim Ośrodku Wydawniczym „VERITAS",
12, Praed Mews, London, W. 2.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

POSTĘPY MEDYCYNY

Dnia 5 maja Król Jerzy VI, któremu towarzyszyła Królowa, dokonał otwarcia nowej siedziby Narodowego Instytutu Badań Lekarskich na przedmieściu Londynu Mill Hill. Parze Królewskiej pokazano pierwsze fotografie wirusów ospy i psittacosis (choroby papuziej).

Psittacosis pojawia się w Wielkiej Brytanii po raz pierwszy w r. 1928, kiedy we wschodniej części Londynu jeden z chłopców kupił swej matce na święta Bożego Narodzenia papugę — jak się okazało chorą. W krótkim czasie cała rodzina wymarła.

Badania nad istotą choroby, podjęte przez Narodowy Instytut Badań Lekarskich jeszcze w jego dawnej siedzibie na Hamstead, doprowadziły do wykrycia wirusa, powodującego psittacosis. W czasie eksperymentów prowadzący je dr McFarlane sam się tą chorobą zaraził, wyleczył się z niej jednak po dwóch miesiącach pobytu w szpitalu.

Król i Królowa odwiedzili również światowy ośrodek badań nad influenzą (World Influenza Centre), administrowany przez Instytut Badań Lekarskich z ramienia Światowej Organizacji Zdrowia. Kierownik zespołu, prowadzącego badania, Chińczyk dr Chu z Szanghaju, demonstrował hodowlę wirusów influenzy, szczepionych na kurze jaja.

Tego samego dnia poseł Erroll wspomniał w przemówieniu swym w Izbie Gmin o wykryciu substancji, nazwanej C F 9, która leczy zwykłe przeziębienie w ciągu jednej nocy. Jest to — zdaniem Errolla — odkrycie ważniejsze jeszcze od wynalezienia penicyliny.

Odkrycia tego — jak donoszą dzienniki — dokonał biochemik Artur M. Nicholls, pracujący w jednym z laboratoriów londyńskich. Wykryty został przez niego wirus choroby, powodującej bolesne owrzodzenia u psów. Okazało się, że zwykłe przeziębienie i inne choroby między innymi paraliż dziecięcy — powodowane są przez wirusy podobnego typu.

Zastrzyki, leczące przeziębienie, zastosowane zostały z powodzeniem w stosunku do sześciu pracowników laboratorium. Do tej pory jednak brak naukowego wykończenia badań. Mimo to przypuszcza się, że nowe lekarstwo niedługo już udostępnione będzie publiczności.

NOWY WIELKI OŚRODEK NAUKOWY W LONDYNIE

Herbert Morrison jako przedstawiciel rządu oświadczył w Izbie Gmin, że wkrótce podjęte będzie zorganizowanie w Londynie wielkiego ośrodka naukowego. Projektowane jest pomieszczenie w jednym wielkim budynku głównych instytucji naukowych i badawczych.

Oświadczenie to złożone zostało w związku z wnioskiem posła Price'a z Partii Pracy, który przypomniał że sto lat temu Książę Albert rzucił w związku z ówczesną wystawą powszechną w Londynie myśl położenia szczególnego nacisku na rozwój umiejętności technicznych. Urzeczywistnienie tej idei przyczyniło się w dużym stopniu do sukcesów przemysłu brytyjskiego.

„Mniemam — oświadczył Price — że pora jest sposobna do tego, byśmy podjęli nowy wielki wysiłek".

MUZEUM HENRY JAMESA

W ulubionym przez artystów i pisarzy, malowniczym miasteczku Rye w Kencie otwarte zostanie wkrótce muzeum Henry Jamesa w domu, w którym ten świetny powieściopisarz mieszkał w latach 1897 do 1916. Dom ten, zwany „Lamb House", podarowany został Fundacji Narodowej (National Trust) przez wdowę po Henry Jamesie. Fundacja zamierza zachować pracownię pisarza wraz z meblami, obrazami książkami i innymi zabytkami jako muzeum, które prawdopodobnie otwarte zostanie dla publiczności na przyszłą wiosnę. Koszta naprawy podniszczonego domu wyniosą ok. 5.000 funtów.

Stworzenie muzeum Henry Jamesa nasuwa smutne refleksje na temat spustoszenia, jakiemu uległa siedziba Józefa Conrada-Korzeniowskiego (tzw. Oswalds) w Bishopsbourne, również w Kencie — i na temat rozproszenia pamiątek po Conradzie. Conrad — jak wiadomo— pozostawał w bliskiej przyjaźni z Henry Jamesem, którego twórczość wysoko cenił.

ZAGROŻONE BUDYNKI

„Observer" i inne pisma podnoszą alarm na temat niebezpieczeństw, jakie grożą różnym zabytkowym budowlom w Anglii. Słynna katedra gotycka w Yorku (York Minster) uległa poważnym uszkodzeniom w wyniku szkodliwego działania dymów, przesyconych siarką. Na naprawę jej potrzeba 250.000 funtów, a na naprawę zagrożonej również katedry w Salisbury 200.000 funtów.

„Observer" wypowiada pogląd, że należy również uratować londyńską Albert Hall, zbudowaną 70 lat temu. Nie jest to budynek ładny, ale stanowi „część historii Londynu" Koszt jego wzniesienia wyniósł swego czasu 200.000 funtów. — na naprawę potrzeba aż 400.000 funtów.

Pismo wyraża nadzieję, że ratowaniem wszystkich tych budynków zajmie się tzw. Pilgrim Trust, który przy szczodrej pomocy finansowej z Ameryki ocalił już wiele cennych zabytków brytyjskich od zagłady.

STULECIE TOWARZYSTWA METEOROLOGICZNEGO

Królewskie Towarzystwo Meteorologiczne (Royal Meteorological Society) obchodziło świeżo stulecie swego istnienia. W związku z tym urząd meteorologiczny Ministerstwa Lotnictwa zaprosił grupę dziennikarzy, którym objaśniano, jak w ciągu dwu ostatnich stuleci rozwijało się obserwowanie i badanie zjawisk klimatycznych.

Dziennikarzom potwierdzono fakt zmian w klimacie, jakie zaznaczają się od pewnego czasu. Świat jest obecnie — jak się przypuszcza — cieplejszy, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich 500 lat. Jeśli tendencja ta się utrzyma, spodziewać się możemy zmniejszenia ilości zaburzeń atmosferycznych, — słowem życia „mniej burzliwego".

STUDIUM TEATRALNE

Wykonując uchwałę ostatnich Walnych Zjazdów Związku Zawodowego Artystów Scen Polskich Zagranicą, Naczelna Rada Artystów i Zarząd Głowny tego Związku, rozważają możliwość utworzenia Studium Teatralnego, którego zadaniem byłoby przygotowanie kandydatów do zawodu aktorskiego.

Studium miałoby charakter szkoły wieczorowej (między godz. 7-9 wieczorem), nauka byłaby płatna, okres trwania jest przewidziany na 12-18 miesięcy.

Pragnąc się zorientować w potrzebie takiego Studium, Związek Zawodowy Artystów Scen Polskich Zagranicą, prosi zainteresowane osoby o zgłoszenie na adres Związku: 55, Princes Gate, London, S.W.7., danych osobistych (wiek, studia, obecna sytuacja itd.), oraz życzeń (dni nauki, czas jej trwania itd.). Pozwoli to zakończyć prace przygotowawcze do otwarcia Studium w oparciu o bardziej konkretne podstawy.

SUBSKRYPCJA

na powieść Giertycha — ratami

Jak nas zawiadamia p. Jędrzej Giertych, do soboty dn. 6 maja włącznie wpłynęły do niego z terenu Wielkiej Brytanii 134 przedpłaty na jego powieść pt. „W Polsce między wojnami", której prospekt rozesłaliśmy naszym Czytelnikom wraz z jednym z naszych poprzednich numerów. Dla doprowadzenia wydawnictwa do skutku potrzebne jest zebranie nie mniej jak 1100 przedpłat, z czego nie mniej, niż 600-700 z terenu Wielkiej Brytanii.

Z kilku stron zwrócono się do p. Giertycha z prośbą o przedłużenie okresu przedpłaty, który zdaniem niektórych Czytelników jest zbyt krótki. Stosując się do tego życzenia, p. Giertych przesuwa termin przedpłaty do dnia 1 lipca, prosi jednak tych Czytelników, którzy są w możności zgłosić się wcześniej, by z tym nie zwlekali, wcześniejsze bowiem zgromadzenie poważnej części potrzebnego funduszu pozwoli na wcześniejsze rozpoczęcie druku. Termin, zamykający przedpłatę dotyczy nadesłania zgłoszenia i wpłacenia pierwszej raty; dalsze raty wpłacać można już po zamknięciu przedpłaty. Cena w przedpłacie za całość powieści (3 tomy), wynosi 15 szylingów (5 szylingów za tom). Po zamknięciu przedpłaty, cena będzie podwojona. Wpłacać można na raty. Pierwsza rata wynosi w zasadzie 5 szylingów, a dalsze, w odstępach miesięcznych, po 2 i pół wzgl. 5 szylingów, p. Giertych zgadza się jednak, by ci, dla których raty te są zbyt wysokie, zgłosili przedpłatę w ratach jeszcze drobniejszych i z mniejszym zadatkiem. Przedpłatę kierować należy w Wielkiej Brytanii wprost pod adresem autora: Mr. J. Giertych, 16, Belmont Road, Lndon, N. 15.

Poza Wielką Brytanią termin zamknięcia przedpłaty przesunięty jest proporcjonalnie do odległości.

OKAZJA!

PO ZNIŻONYCH CENACH
z nowego transportu — najl. gat. eksport.

NYLONY

	1 p. lotn.	2 p. polec.
51 Gauge, Perfect, Kayser-Baldor	12/-	22/-.
54 Gauge, Perfect, marki A. H. B.	12/-	21/-
54 Gauge, Luxury, marki F. E.	13/6	25/-

TO NAJLEPSZA POMOC DO KRAJU !
(wartość 2 par — 9 do 10.000 zł.)
Wysyła w dniu otrzymania zamówienia
HURTOWNIA NYLONÓW

FREGATA (Merchants) Ltd.
11, Greek Str., LONDON, W. 1.
Zapraszamy do obejrzenia wzorów.
Biuro otwarte codziennie (i w soboty) od 10 do 6 wiecz.

STREPTOMYCYNA

10 gramów: £ 2.14.0 20 gramów: £ 5.6.0

PENICYLINA

1,250.000 j. (oily) 14/- 1.000.000 j. (krystal.) 11/

CENY WRAZ Z PRZESYŁKĄ POLECONĄ DO KRAJU
(do 2 uncji lotniczo, za „express" 6 d).
Także wszelkie

LEKARSTWA

po cenach eksportowych (bez „Purchase Tax")
wysyła:

FREGATA (MERCHANTS) LTD.
11 Greek Street, London, W. 1. Tel.: GER 2522

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9...